

<http://cm.org.pl>



14/4

Własności

z  
Kości Napiórkowskiej  
Miejscowości 1911.

2230



# WBRĘW OPINII

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

Stanisława Grudzińskiego.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

TOM I.



WARSZAWA,  
NAKŁADEM MAURYCEGO ORGELBRANDA.

—  
1881.



ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, дня 31 Іюля 1881 года.

---

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska № 20.

1026.  
<http://rcin.org.pl>

JÓZEFOWI i MARYI

**HOLEWIŃSKIM**

W PRZYJACIELSKIM UPOMINKU SKŁADA

50 k cenil  
Autor.

50.





## I.

Święty Paweł — dzień to zwykle bardzo uroczysty w domu państwa Lipienieckich, gdyż sama pani ma na imię Paulina; — zwykle téż obchodzonym bywa hucznie i sąsiedztwo zjeżdża się jak na odpust, bo cała ta rodzina używa szczerego szacunku u ludzi. Dziś oprócz imienin inna jeszcze wypadła uroczystość: zaręczyny najstarszój panny Lipienieckiej, pięknej i rumianej Koci. Panna Kocia jest pieszczochą całej okolicy—wszystkie więc domy okoliczne wyprawiły swych przedstawicieli na dzisiejszą zabawę.

Dwór w Lipieńcach obszerny i znać że zamożny, choć wystawnym nie jest wcale. Oboje państwo, ludzie trochę dawniej daty, za pozorami nie gonią. Majątek ich starczyłby wprawdzie na wystawniejsze życie, ale to nie dla nich.—Zresztą ilekroć bywa o tém mowa, pan Jan, gospodarz domu przypominać ma zwyczaj, że go Bóg obdarzył sześciorgiem dzieci. Argument przekonywa-

jący. Za tém jednak nie idzie, żeby skąpić w chwilach tak uroczystych, jak dzisiejsza,—znac też, że niczego nie żałowano.

Kto inny przeraziłby się może widokiem mnóstwa osób przybywających co chwila, — zdawało się, że dom nie pomieści wszystkich. Gospodarstwo jednak nie troszczyli się o to, pewni, iż jak ich serca—i ściany dworu rozszerzą się dla przyjęcia gości. Oboje z wesołym uśmiechem witają przybyłych— a że tu wszyscy swoi i rzadko się kiedy ktoś obcy znajdzie, mały z gośćmi kłopot, bawią się i zbliżają nawzajem sami.

Pomna przedewszystkiem obowiązków gościnności, pani Lipieniecka kilka razy przypomniała Koci, że nie wypada stronić od ludzi i oddawać się wyłącznie swemu szczęściu,— będzie na to doryszyć czasu.

Bał proszęż wytłómaczyć młodemu sercu, że na używanie szczęścia będzie jeszcze dość czasu! Daremna robota,—do szczęścia serce lgnie, jak spragnione usta do kielicha, — młoda para ciągle się z sobą, niby przypadkiem, spotyka, a mają tyle ważnych i pilnych rzeczy do mówienia, że się wygadać nie mogą! Tyle do mówienia — a tymczasem zejdą się i — milczą, on czasem ukradkiem rączkę jęj uściśnie, ona mu się uśmiechnie, spojrzą sobie w oczy, szepną jakieś słówko obojętne i—już po ważnej i pilnej rozmowie.

Ot i teraz, w drugim, mniejszym pokoju, którego okna wychodzą na dziedziniec, przy oknie zna-

leżeli się znów przy sobie, panna Kocia i pan Józef. Sliczna para!

Ona zgrabna, pulchniutka, jak pączek, rumiana, jak jabłko, wesoła, jak kotka, blondynka o ciemnych oczach, patrzących na świat śmiało i wesoło, z częstym uśmiechem na twarzyczce zdobnej dwoma dołeczkami,— nie nadzwyczajnie cienka w pasie, z nieosobliwie małą rączką i nóżką—jest sobie dziewczęciem typowem, naszym, nie do romansu, ale do życia. A patrząc na nią nabiera się do życia ochoty.

On o sześć lat starszy od niej, mający więc lat dwadzieścia cztery, słuszny, kształtny, ogorzały, z twarzą otwartą i wesołą, nieco dobroduszną,— nie musiał być orłem w szkołach, ale zawsze był ukochanym kolegą—a oto od lat trzech jest dzielny i energiczny gospodarzem, dobrym sąsiadem, prawym chłopakiem—znają go z tego ludzie. Wioseczkę ma drobną, parentelę nie świetną, ale na to nie zważał pan Lipieniecki—i oddał mu córkę a wszyscy mówią, że dobrze zrobił. I to nie często się zdarza!

Zeszli się tedy i jakaż rozmowa?

— Ach! mój Boże, jestem dziś tak roztargniona, że w niczem mamie nie pomagam,—tylko co skompromitowałam się okropnie, bo wyobraź pan sobie, zamiast posadzić podsędkową na kanapie—pozwoiliłam jój usiąść na krześle a sama się na kanapie usadowiłam! Aż mi dotąd gorąco, takiego m raka spiekła...

— I nie bała się pani kanapy? toż to zła wróżba... dziewięć lat panieństwa!

— Nie,—chciałam właśnie pana nastraszyć,— z przekorą odrzekła.

— Cel chybiony, — pani się przestraszyła a ja wcale.

— Panowie zawsze grzeszycie zbytkiem pewnością siebie.—

— A panie duchem przekornym.

— A! kiedy tak, to zrobię na przekor panu i stanę się na dzisiejszy wieczór tak zawołaną gospodynią, że mnie ani razu nie zobaczysz.

— Za cóż taka kara?

— Za winę.

— To ja przeproszę!—i pomimo oporu ucałował jej rączkę.

— No, jakże można! panie Józefie — jeszcze ktoś zobaczy i śmiać się z nas będą.—Patrz pan— ktoś znowu zajężdża.

— To pan Łomnicki, ale nie sam, — nie znam tego drugiego jegomości!

— Ach, wiem już kto! — wspominał mi, że się spodziewa przyjaciela z Warszawy, jakiegoś pana Sępińskiego, którego ma ochotę wyswatać tu u nas.

— Dzięki Bogu, że się ów pan Sępiński spóźnił...

Panienska uśmiechnęła się i pośpieszyła na powitanie wchodzących gości. Z Łomnickim byli w najlepszej oddawna komitywie, miał on

bowiem dość już ustaloną sławę wujaszka powiatowego i do skojarzenia niejednej pary wpływem swym i zdolnością towarzyską się przyczynił. Témbardziej przeto ciekawie witano każdego, kogo tylko Łomnicki z sobą przywoził, należało się w nim bowiem spodziewać człowieka szukającego żony,—a gdzie panien huk, czyż może być człowiek taki obojętnym?

Jak na wujaszka powiatowego Łomnicki miał fizyonomię typową. Średniego wzrostu, przyzwyczajonej tuszy, starannie ukrywający niedyskretną łysinę fryzurą ciemnych, lśniących włosów, z twarzą pogodną, która zdradzała dobry byt i brak gwałtownych wrażeń, z oczami budzącemi zaufanie, błyszczącemi jeszcze młodzieńczo, z sumiastym, pięknym wąsem nad ustami łatwemi do uśmiechu,— Łomnicki przedstawiał piękny typ polskiego obywatela z téj już jednak generacyi, która-to wyższe wykształcenie odbiera, do uniwersytetu zagląda a czasem nawet z patentem w kieszeni bierze się do roli.

Jego strój odznaczał się zawsze elegancją w najlepszym smaku, ruchy zdradzały człowieka z najlepszego towarzystwa, ze szczególném upodobaniem do płci pięknej wcale się nie taił,— kto się tém gorszy a lepszym jest sam, niech nań kamień rzuci.

Zbliżająca się czterdziestka i opinia poważnego człowieka nadawała mu pewne prawa w towarzystwie panien, mamy i ciocie miały w nim zupełne

zaufanie, wyrażając sobie w myśli chęć gorącą, by raz wreszcie zaufanie to zebrał się zdradzić i z wujaszka powiatowego został mężem jednej z licznych pupilek.

Co zaś do panien, każda z nich wyznawała otwarcie, że ma słabość do Łomnickiego!

Jako przyjaciel domu Lipienieckich, oprowadził on swego towarzysza dokoła salonu, przedstawiając go damom i mężczyznom.

Kocia uważnie obserwowwała nieznanomego; miała w tém swój interes: jej saméj, jako już narzeczonej nie mógł on obchodzić, ale miała siostrę o rok od niej młodszą—może więc to los dla niej?

Wkrótce jednak powiedziała sobie, że nie,— p. Sępiński był już człowiekiem nie pierwszej młodości,— mógł mieć lat około czterdziestu,— więc dla Zośki za stary; powierzchowności przyjemnej i myślącej zdawał się być człowiekiem poważnym i sensatem— a Zośka roztrzepana i żywa jak żywe srebro;— więc nie, to nie dla siostry. Ale dla kogo?—zdawało się panie Koci, że z pomiędzy panien zebranych na dzisiejszej zabawie z pewnością jedną sobie wybierze;— więc którą? Zamysliła się nad tém naiwnie.

Jednocześnie oczy wszystkich panien i ich matek zwróciły się na owego gościa z Warszawy, któremu i nam przyjrzyć się wolno, choćby tylko dlatego by nie poprzestać na pobieżnej charakterystyce niedoświadczonego i żywego dziewczęcia.

Sępiński pod wielu względami stanowił kontrast

z Łomnickim. Najpierw wydawał się od niego starszym: nosił brodę, trzymał się nieco pochyło, jakby go uginały ciężary życia. Twarz nie miała młodzieńczej czerstwości Łomnickiego, jakkolwiek nie nosiła wcale cechy wyniszczenia i choroby. Słuszny, barczysty choć szczupły był jeszcze w sile wieku męskiego, — ale zarówno w rysach twarzy, jak w układzie, spojrzeniu głębokim i tęsknem—znać było człowieka, który dużo żył życiem wewnętrznem, duchowem i nie mało zaznał gorczy tego życia. — Fizyonomista powiedziałby odrazu, że człowiek ten we wszystkich swoich upodobaniach, namiętnościach i uczuciach musiał być głębokim i wytrwałym — co nie przeszkadzało temu, by na jego twarzy odbiła się łagodność charakteru i młodość duszy. Człowiek ten—dla Koci sensat tylko i uosobienie powagi, doświadczeńsze oko pociągał ku sobie i zajmował, jak zagadka psychiczna...

Tymczasem po odbytej ceremonii przedstawienia, Sępiński znalazł się pomiędzy dwiema pannami, z którymi należało zacząć rozmowę. Zadanie to, w ogóle nie łatwe, trudniejszym jeszcze było w tym razie, gdyż był on jak się zdawało człowiekiem nie bardzo obytym z tow arzystwem kobiecem lekkiej salonowej rozmowy prowadzić nie umiał, zacząć zaś wprost od jakiego poważnego przedmiotu nie wypadało. Rozmowa więc z trudnością zawiązywana nie kleiła się. Panny onieśmiałone widokiem nieznanego odpowiadały półsłówkami

i pół-uśmiechami,—nadobitek Sępiński trafił nie-szczęśliwie na takie, które bez pomocy mamy tylko z blizkimi kuzynkami rozmowę prowadzić mogły.

Gdy tak biedny warszawiak mozolił się nad wynalezieniem *perpetuum mobile*, jakim jest rozmowa towarzyska, Łomnicki odprowadził na stronę gospodarza i mówił z nim o swym protegowanym. Polecał go widocznie przyjaźni Lipienieckiego—a z zapału z jakim to robił wnosić można było, że polecał serdecznie.

Gości przybywało coraz więcej. Sępiński uwolniwszy się pod jakimś pozorem od towarzystwa milczących panien, usunął się do okna i zdaleka przypatrywał się zgromadzeniu. Smutny był,—nie mógł sam sobie zdać sprawy ze swego stanu. Tak bardzo pragnął życia rodzinnego, a tak trudno mu przychodziło zrobić krok stanowczy.—Czyliżby żądał za wiele? Chciał<sup>ę</sup> tylko znaleźć w przyszłej żonie swojej wykształcenie i serce,—czyliż to przesadne wymaganie? Mniejsza o wdzięki, które przeminają, mniejsza o majątek, którego nie potrzebował, mniejsza nawet o pochodzenie panny—nie myślał stroić się w herby i tytuły swej przyszłej żony,—chciał tylko takięj, któraby mogła podzielić z nim życie, życie prawdziwe: uczucia i myśli. Niestety,—spotykał lalki, albo dzieci. Lalek się bał, nie czuł się na siłach być mentorem swej żony, szukał takięj, któraby była do życia zupełnie przygotowaną—i nie znajdował.

Smutną zadumę przerwał mu przyjaciel, który



przemocą pociągnął go do tańca. Nie było rady, tańczyli wszyscy, trzeba było iść za ogólnym prądem. Łomnicki przedstawił go Zośce Lipienieckiej i narzucił go jęj na tancerza do kadryła. Pannienka którą powszechnie nazywano Zoską, była bardzo do siostry swęj podobną, tylko może ładniejszą od nięj.

Było to dziecko, które wszystkim kazało się kochać, a tak żywe, bystre, że choęby największą niedorzeczność powiedziała, nikt jęj tego nie mógł wziąć za złe.

Świeżo skończyła pensyę prywatną w okoliczném miasteczku, — grała, śpiewała, mówiła paru językami, czytała nawet trochę, ale temperament wrzący, tryskający zbytciem życia górował nad tępem wszystkim i robił ją—Zoską.

— Przyjacielu! — szepnął Sępińskiemu na ucho Łomnicki—masz typ przed sobą Zosi Mickiewiczowskiej,—poznaj i niech ci Bóg błogosławi.

Usiedli tedy przy sobie, czekając aż muzyka grać zacznie. Panna co chwila w inną obracała się stronę, mrugała na siostrę, śmiała się do ludzi, do nadziei tańca, do siebie samęj,—o czém tu z takim żywym srebrem mówić?

— Pani podobno niedawno powróciła z pensyi, będzie jęj zapewne z początku nudno na wsi?

— O nie! panie—ja się nigdy nie nudzę, zawsze jestem wesola.

— Tak być powinno, pani zaledwo żyć zaczy-

nasz, a kochana przez wszystkich możesz tylko zrywać kwiaty życia.

— To prawda, wszyscy mnie kochają! — odpowiedziało naiwnie dziecko. — Miłość ludzka to wielkie szczęście!

— Jak wielkie, o tém się pani dopiero potem przekonasz. Czuć się nie kochanym przez nikogo, to wielka boleść; miłość ludzka...

— Wstawajmy panie! już grają.

Sępiński zamilkł, oblano go niby zimną wodą. .

— Czy pan lubisz tańczyć? — zapytała Zośka, gdy po zrobionej figurze powrócili na miejsce.

— Lubię taniec o tyle, o ile pozwala na dłuższą i miłszą z paniami rozmowę.

— O! to ja zupełnie przeciwnie! Lubię taniec i lubię mu się oddawać duszą i ciałem! Rozmowa nawet mi przeszkadza...

— Więc mam milczyć? — z uśmiechem zapytał Sępiński.

— Jakto? czemu?... czy ja coś takiego powiedziałam?—prawie z przestachem ozwała się Zośka, mierząc go niespokojnem wejrzeniem.—Proszę mi darować!—dodała po chwili, błagalnie składając ręce—ja jestem taka roztrzepana, że często wstydić się i żałować muszę tego co powiem.

— Nie mam pani wcale za złe!

-- O! pan jesteś dobry,—ale, mój Boże, co też dan sobie o mnie myśli!

— Myślę, że się pani obmawiasz...

Nowa figura kadryła przerwała na chwilę rozmowę.

— Cieszy się pani z zamążpójścia siostry?

— O! bardzo! z góry już wyobrażam sobie, jak się będziemy wybornie bawić. Układamy już razem z panem Józefem cały szereg najrozmaitszych zabaw.

— I pewną jest pani szczęścia siostry?

— O! najpewniejsza! kochają się bardzo, oboje poczciwi z kośćcami,—czyż może im być źle? Pan Józef przyrzeka na przyszły rok wyjechać z żoną zagranicę i ja z nimi pojedę. Będziemy w Krakowie!—ach panie, jak o tém pomyślę, serce mi bije! Kraków, to moje marzenie, a jeszcze nigdy nie byłam. Ale patrz pan! nowi goście: pani Karpińska z panną Julią,—o! ta się panu z pewnością podoba!

Zapewnienie to zaintrygowało Sępińskiego — spojrzał więc uważnie na wchodzące damy. Starsza z nich, matka, małeńka, fertyczna w szerokiej pelerynie, wchodząc kłaniała się wkoło i dygała dość niziutko, jakby zastępując w uprzejmości córkę, która szła naprzód, wyprostowana, z podniesioną główką, dość protekcyjnie odpowiadając na ukłony młodzieży.

Panienka była ładną bardzo: zgrabna, szczupła, wysoka, cokolwiek sztywna, miała duże, czarne, wyraziste oczy, czoło gładkie, brwi wąskie, nosek charakterystyczny z rozdętymi nozdrzami, usta blado różowe, zaciśnięte, co twarzy nadawało mniej przyjemny wyraz złośliwości. Strój był dość oryginalny, posiadał bowiem pretensjonalną

skromność: biała sukienka zapięta aż do góry odsłaniała tylko śnieżną i pięknie utoczoną szyjkę, na której czerniała aksamitka, fantastycznie z tyłu uwiązana. W ciemnych włosach tkwiła gałązka bluszczu i takiemiż gałązkami ubrana była jakby odniechcenia suknia. Strojem tym wyróżniała się panna Karpińska z pomiędzy wszystkich towarzyszek.

— Dlaczego pani jest pewną, — zapytał Zośki Sępiński, — że mi się ta osoba podoba?

— Bo zdaje mi się, że pan lubi powagę — a Laura jest poważną, myślącą zawsze, poetyczną, bardzo czytaną i wykształconą, — słowem jest dla mnie ideałem... niedosięgniętym!

— Kocha ją pani?

Zośka zawahała się przez chwilę, wreszcie szybko powstała z krzesła;

— Pani! na nas kolej?

Odprowadziwszy tancerkę swoją na miejsce, po skończeniu kadryla, Sępiński spotkał się z gospodarzem domu, który go ujął pod ramię i zaprowadził przed świeżo przybyłe panie, by go im przedstawić. Skorzystał z tego, by poprosić pannę Laurę do następnego kadryla, poczem, widząc, że miejsca teraz przy niej nie było, odszedł do drugiego pokoju, gdzie go dopędził Łomnicki.

— Jakżeś się bawił?

— Dobrze, dziękuję ci.

— Jakże ci się nasza panna Zośka podobała?

— Bardzo miłe i naturalne dziecko, ale — dziecko!

— No, przecię nie chciałbyś starej baby,—a kobieta to wieczne dziecko.

— Żartujesz. Nie miałbyś pewnie odwagi ożenić się z dzieckiem.

— Mój drogi,—dotychczas jak widzisz, nie zdobyłem się na odwagę żenienia się z kimkolwiek.

— Miałeś ją kiedyś.

— Miałem — i ta, której wspomnienie odtąd w sercu noszę, dzieckiem tylko była, przyjacielu! Ale, dajmy temu pokój,— nadto święte wspomnienie, by je wolno było poruszać na balu.—Ot, ciekaw jestem, jak ci się panna Laura podoba, widziałem, że ją zaprosiłeś do tańca?

— Znasz ją dobrze?

— A kogożbym znał, jeżeli nie ją! to niewieści luminarz naszej okolicy. Zresztą, jestem wujaszkiem powiatowym a ona powiatową Deotymą.

— Jakto? poetka?

— Tak, nawet zdolna poetka.

— Jesteście z sobą dobrze?

— Nie mam racyi być źle.

— I cóż o niej myślisz?

— A, o tém potem, nie chcę cię uprzedzać—poznasz sam. Mogę ci tylko udzielić kilka ogólnych wiadomości: lat 22, mająteczek mocno odłużony, ojciec nie żyje, ma tylko matkę, — jedynaczka, kształciła się w domu, włada pięciu językami, gra

pięknie, jeszcze piękniej śpiewa—resztę zostawiam tobie samemu.

Gość z Warszawy, człowiek stateczny, zamożny i kawaler—musiał obudzić mocne zajęcie w pan-nach a szczególnie w mamach zgromadzonych na zabawie. O czém tu rozmawiać, siedząc przez noc całą na kanapie, obok dobrze znajomych sąsiadek, jeżeli nie o córkach i widokach na ich przyszłość? Więc po wszystkich kanapach toczyła się ożywiona rozmowa, której przedmiotem był Sępiński.—Właśnie jedna z mam otrzymała od kogoś bliższe informacye.

— Ma być człowiekiem zamożnym, urzęduje w jakimś towarzystwie, nie ma żadnej rodziny, używa jak najlepszej opinii,—człowiek bardzo wykształcony, prawy,—chce się ożenić na wsi, bo szuka osoby poważnie myślącej, rozsądnej, która mogłaby być dobrą żoną i matką a nie gonila za fraszkami i gałgankami.

Taka była ostateczna treść wiadomości, które szczegółowo rozbierano.—Któraś z pań podniosła kwestyą wieku: ma lat trzydzieści ośm—nie może się żenić z bardzo młodą panienką.—(Mama ta, mówiąc nawiasem, miała trzy cokolwiek przejrzałe już córki.)—Uwaga ta wszakże, z wyjątkiem jednej jeszcze mamy, nie znalazła aprobaty u innych.

— Ależ, kochane panie, — trzydzieści ośm lat u mężczyzny to najpiękniejszy wiek, to dopiero dojrzałość. Mężczyzna nie mający lat trzydziestu dziecko!

— Dziecko, moja pani, dziecko! Ja powiadam zawsze, że szczególnie w dzisiejszych czasach trzeba mieć dużo odwagi, żeby powierzyć los córki młodzikowi. Człowiek stateczny...

— Byle nie nałogowy!—dodała inna.

— No, to się rozumie,—człowiek stateczny, doświadczony, z wyrobionem stanowiskiem—dla młodej panią jest właśnie najstosowniejszym!—Będzie w nim miała męża, opiekuna, ojca!

— Tak, tak, rzecz prosta! — potwierdziło kilka głosów.

— Piętnaście, ośmnaście lat różnicy między mężem a żoną to najlepsza miara.

— Za dużo! za dużo! — odezwała się matka trzech cór,— jabym nie oddała takiemu młodej córki.

Mamy spojrzały po sobie i uśmiechnęły się ironicznie, tylko mama Karpińska, ponieważ głuchą była na jedno ucho a rozmowa toczyła się pół głosem,—nie mieszała się do niej. Któraś więc z pań spytała ją.

— Jakież pani kochanej zdanie?

— Dzięki Bogu dobrze,— trochę mi tylko reumatyzm dolega.

— Ale co pani myśli, kto z nas ma rację?

— Jaki? już na kolację? — no, to chodźmy, chodźmy!

Musiano dopiero zaczynać całą rzecz *da capo* — nareszcie porozumiano się.

— Więc cóż pani o tém myśli?

— Szkoda, że tu niema Lorci, onaby najlepiej nam wytłómaczyła. Powiadam kochanym paniom, ona się na wszystkim zna! To szczególnie dziecko!

— Ale jakże się pani samój zdaje?

— Myślę, że młody mąż lepszy od starego.

— Kiedyż tu właśnie była o tém mowa, że dziś młodemu niebezpiecznie oddawać córkę,— młodzież płocha a zmienna...

— A jakże, to bywa,—bywa!

— Więc starszemu człowiekowi lepiej, bezpieczniej.

— O! bezpieczniej, rzecz prosta, lepiej starszemu.

— Ależ, kiedy znowu—wołano z innéj strony—piętnaście lat różnicy to za dużo.

— Pięćdziesiąt lat? — o! za dużo, gdzież pięćdziesiąt!

— Piętnaście nie pięćdziesiąt!

— Piętnaście, to co innego, ale zawsze... Ciekawam bardzo co o tém Lorcia powie.

Dano za wygranę mamie Karpińskiej, zostawiając ją nieméj kontemplacyi córki, po czém zwykle następowała drzémka.

Tymczasem dano hasło nowego kadryla, Sępiński zbliżył się do panny Laury, podał jéj ramię i zajęli stanowisko swoje wpośród tańczących.

— Czy pana nie razi—przemówiła panna — ta niewłaściwość naszych prowincjonalnych zabaw że tylko sam taniec zbliża nas do panów i pozwala



się bawić rozmową. W antraktach towarzystwo się dzieli wschodnim zwyczajem a panowie przekładają cygaro nad rozmowę z nami?

— Owszém, uważam to za bardzo niewłaściwe, lecz będąc zupełnie obcym w tém towarzystwie, musiałem pójść śladem innych.

— Nie posądzałam téż pana o podobny egoizm, już choćby dlatego, że przybywasz z Warszawy, miasta przodującego innym w towarzyskości.

— Da się wszakże powiedzieć coś i na obronę młodzieży tutejszój. Przyzna pani, że swoboda to jeden z najważniejszych warunków dobrej zabawy.

— Niewątpliwie, jednak i pan nie zaprzeczysz, że sposób w jaki ktoś korzysta ze swobody daje wyborne świadectwo jego inteligencyi i usposobieniu. Jakże się panu towarzystwo nasze podoba?

— Dotychczas nie mam jeszcze prawa sądu.

— Daruj pan, nieuważném pytaniem postawiłam go w drażliwej pozycyi i dziękuję zarazem, żeś mnie nie ukarał jednym z tych utartych komplementów, któremi aż nadto hojnie szafują panowie tutejsi. Ale nie mówmy o nich!—nie uwierz pan jak miłem dla mnie zjawiskiem każdy gość z szerszego świata; w zapadłym tym kącie każda nowa postać, przynosząca z sobą cokolwiek świeższe pojęcia i wyobrażenia, jest jakby tchnieniem górskiego powietrza zaleciałego w stęchłą atmosferę kotliny.

— Czy tylko pani nie jesteś zanadto pesymist-

Wbrew opinii.

2

stycznie usposobioną dla okolic tutejszych... Co do mnie, wyznaję, że pomimo wszystkiego, co się zwykle o stanie prowincyi naszych mówi, wyobrażam sobie zawsze wieś, jako żywioł zdrowy, ożywczy, pełen samodzielnej siły i oryginalności.

— O! jeżeli idzie o oryginalność, zwłaszcza w tém pospolitem ujemnem znaczeniu wyrazu — téj prowincya nasza jest bogatą kopalnią, — oryginalów mnóstwo, ale smutna to oryginalność. Zresztą, może źle robię mówiąc tak otwarcie z panem, świeżo do nas przybyłym, może nawet nie mam do tego prawa, będąc istotą mocno towarzystwu tutejszemu niechętną; może to zakrawać na zemstę, uczucie którem się brzydzę...

— Pozwoli pani, że oświadczenie jej wezmę za żart. Czemżeby się pani mogła tak narazić swojej okolicy?

— Czém? tém czém ludzie ludziom najczęściej się narażają: prawdą, prawdomównością. Przywara to nie miła w każdym, tém wstrętniejszą w młodej kobiecie — nieprawdaż panie? I ja to czuję, ale, trudno! nie umiem kłamać, każda hipokryzya dla mnie wstrętną, —nie nagnę się do niej nigdy. Wierzysz pan teraz, że mówiłam na seryo?

Przedmiot rozmowy stawał się drażliwym i z konieczności należało ją niekiedy, przez wzgląd na otaczających, przerywać, wymagał wreszcie tego i taniec;—Sępiński więc miał czas zastanawiać się nad tą niezwykłą rozmową i robiła na nim dziwne wrażenie. Nie mógł prawie wierzyć, żeby to

młode dziewczę, tak pełne powabu, pełne świętego ognia, który się w oczach jej żarzył, mogło być przez ludzi prześladowane,—a jednak tak być musiało, mówił o tém żal głęboki i szczery, drgający w każdym słowie panny Laury.

— Przekonaną jestem.— ciągnęła po chwilowej przerwie,—że gdyby mi chodziło tylko o zrobienie na panu dobrego wrażenia, powinnabym mówić zupełnie inaczej,—tkliwe i naiwne dziewczątko wiejskie nierównie więcej posiada uroku od kobiety rozżalonej i zgorzkniałej. Mogłabym jeszcze pozować na takie dziewczątko, ale wszelkie pozowanie przeciwne mojej naturze, sądz pan o mnie co chcesz,—jestem jaką jestem.

— Wierzę w to święcie — odparł Sępiński,—fałsz i przesada nie przemawia takim głosem; wyznaję jednak, że przykro mi słuchać panią tak mówiącą. Wiara, ufność, skłonność do idealizowania są siłą duszy kobiecej,—zwątpienie nam panie zostawcie!

Panna Laura spojrzała uważnie w oczy mówiącemu, westchnęła, jakby pod natłokiem niemiłych wspomnień,—wreszcie łagodniejszym już, tkliwym głosem mówiła dalej.

— O! panie, cóżbym ja dała za to, żeby mieć tę wiarę i ten różowy pogląd na świat, który jest dla duszy rozkoszą. Cobym dała za to, żeby się mogła zamienić na przykład w bohaterkę dzisiejszego wieczoru, w pannę Kocię Lipieniecką. Nie dlatego, że za mąż wychodzi — o! przecież o to

mnie pan nie posądzisz, tego jednego może jój nie zazdroścę, ale ów błogi spokój, ta niezamącona niczém cisza młodego serca, marzenia unoszące się nad ziemią tak nisko, że je jak różnobarwne motyle ręką ujmować można—o! to wszystko jest wielkim skarbem!

— A czyż nabycie jego w pewnej przynajmniej części nie zależy od nas?

— O nie! nie byłabym w stanie kochać takiego pana Józefa, z naiwnością dziecka jemu powierzać mój los, cieszyć się nadzieją ślubnej sukni, hueznego wesela i karety własnej wtenczas, kiedy idzie o szczęście, o całe życie stawiane na kartę. Jakże okropne po takim śnie może nastąpić przebudzenie... jeżeli nastąpi. Bo są téż istoty śpiące przez całe życie...

— Myślałem sobie to samo, patrząc na tych dwoje dzieci—odezwał się Sępiński ze wzrastającym zajęciem—mojej własnej myśli nadałaś pani formę.

— Czy tak? — z nietajoną radością, zawołała panna Laura,—och! jakże się serdecznie cieszę! to tak miło mówić z kimś, kto nas zrozumie odrazu, komu nie trzeba tłumaczyć abecadła naszych pojęć i zasad. To jakby na obczyźnie spotkać się z rodakiem. Ach! dla mnie pod tym względem okolica moja jest obczyzną!

Nastąpiła nowa przerwa w rozmowie.

— Czy uwierzy pan, że bywają chwile, w których ja sama pytam siebie—czy nie zaślepią mnie

duma, że mam się za coś lepszego od innych, czy też istotnie nie jestem tą, za jaką mnie tu wszyscy mają.

— A za kogoż panią ludzie biorą?

— Alboż ja wiem! Jestem według nich dziwadłem jakimś, emancypanką, złośnicą, pedantką, fantastyczką...

— Może tym sposobem chcą powiedzieć, że jesteś pani poetką?

— Jakto? więc już i o tém panu powiedziano! Nie wiem, może pan potępiasz kobiety biorące się do pióra...

— Bynajmniej, pani! Od podobnego potępienia broni je choćby tylko nazwisko Klementyny Hofmanowej. Nie odmawiam kobietom prawa wspólnego z nami pracowania na polu myśli—i tu są zadania, którym panie łatwiej od nas podołać mogą.

— Ja tak daleko nie sięgam; piszę, bo myślę i muszę zwierzyć się przed kimś z moich myśli i wrażeń. Wśród świata, który mnie nie zadawalnia, tworzę sobie świat mój własny i żyję w nim i marzę o nim. Czyż to grzech? Każda myśląca i czująca istota musi mieć świat taki. Nieprawdaż?

— Niezawodnie, pani! ale trzeba też trochę uwzględnić niezadowolnie ludzi, gdy się wśród nich żyjąc; do innego ucieka świata,—wszyscy nie mogą być jednakowi.

— Prawda, panie! wielka prawda, ale czemuż mi prawd takich nikt nie mówi? Ja chcę prawdy, ja ją szukam, ona całym dążeniem mojem! A natomiast walczę na każdym kroku z zarzutami nędznymi, lichymi, które jątrzą a nie łagodzą.

— Może się pani z pozorami nie liczy?

— Może!—jestem za młodą, za żywą na to... Ale nie!... unikam pozorów, ile mogę. Bo, proszę pana—nazywam się emancypantką,—za co? Papierosów nie palę, konno nie jeżdżę, długie włosy noszę, bez rękawiczek nie wychodzę z domu, ręką atramentem nie walam, towarzystwa męskiego unikam—o co więc idzie? Na czym polega moja emancypacja? Chyba, że się nie stroję, że się w gałgankach nie kocham, że przekładam towarzystwo książek nad towarzystwo ludzi?—chyba to moja wina!

— Jesteś pani prawdziwą kobietą — ozwał się z uśmiechem Sępiński,—drażliwą i niewyrozumiałą. Wszak już to jedno, że pani jesteś autorką wystarcza ludziom, by ją zwano emancypantką. Wszak to rzecz tak prosta!

— Tak, ale nie wiesz pan wszystkiego, ksiądz proboszcz z ambony robił alluzye do mojej emancypacji,—czy i to proste? czy łatwo sobie i to wytłómaczyć?

Zapłonila się i miała łzy w oczach. Sępiński czuł się wzruszonym.

— Istotnie nie miałem pojęcia, by uprzedzenie aż tak daleko zajść mogło...

Rozmowa się przerwała na dłużej,—tymczasem kadryl się kończył.

— Spójrz pan — szepnęła Laura, kiedy Sepiński, odprowadziwszy ją na miejsce, dziękował, — wszystkie oczy na nas zwrócone. Gdyby słyszano połowę rozmowy naszej, starczyłaby ona za nowy przeciwko mnie argument, gorszono by się zarówno jęj treścią, jak i śmiałością moją. Ocalając pozory, muszę na potem odłożyć rozmowę dalszą z panem, jeżeliś pan ostatecznie nie zrażony jeszcze. Pójdę do panien—a pana szuka pan Łomnicki. Do widzenia!

— Przy mazurze, jeżeli pani pozwoli?

— Dobrze, dziękuję.

Skłoniła mu się z wdziękiem i odeszła. Łomnicki istotnie szukał przyjaciela.

— No i cóż? jakież wrażenie?

— Niezwykłe, wyjątkowe, ale daj mi ochłonać.

— Dobrze, jeszcze z sobą o tém pomówimy,—chodźmy teraz, gospodarz cię szuka, wypijemy zdrowie młodej pary.

Podczas kiedy mężczyźni za przewodem gospodarza i Łomnickiego przeszli do innych pokojów, mamy siedzące na kanapie zrobiły pospolite ruszenie i jak kokosze zwołujące do siebie kurczęta, zgromadziły przy sobie córki. Każda miała im coś do powiedzenia a treść téj nauki moralnej była mniej więcej taka:

— Mięj, moje dziecko, na uwadze tego p. Sę-

pińskiego; człowiek porządny, majątny, dojrzały, ze stanowiskiem, przedstawił mu się dobrze, wybierz go do jakiej figury w mazurze, kto wie co z tego być może, czas by już o mężu pomyśleć...

Czy wzięły to do serca córki?—nie wiem,—sądzę wszakże, że argumenta podobne najłatwiej trafiają do przekonania.

Wkrótce też Sępiński stał się jakoby punktem środkowym zabawy, rozmawiali z nim mamy, trącali się kieliszkami ojcowie, wdzięcznie spoglądały nań panienki, a kiedy przyszedł mazur, nie dało mu prawie chwili wytchnienia, panny procesjonalnie ciągnęły doń, wybierając do figur, w skutek czego rozmowa z panną Laurą ustawicznie przerywana, musiała spełznąć na niczym.

Wprawdzie i panna stała się milczącą i smutną czy zamyśloną, taniec nużył ją i nudził widocznie, sama jedna w całym zgromadzeniu zachowywała się obojętnie bez śladu zajęcia się zabawą, która i Sępińskiego nie zdawała się bardzo zajmować. Wypraszał się nawet od tańca, ale nie chciano o tém słyszeć.

Po północy towarzystwo udało się na kolację, i tu posadzono gości na honorowym miejscu, blisko narzeczonych i mam najpoważniejszych, gospodarz wniósł jego zdrowie, podochocona młodzież zaczęła go ścisnąć, wychylano kielichy na cześć warszawiaków, — panna Laura siedząca gdzieś na szarym końcu stołu, w otoczeniu mło-



dych panienek przelotnym tylko spojrzaniem spotykała się czasem ze swoim tancerzem.

Po wieczery parę godzin trwającej, zaczęły się znowu tańce coraz szaleńsze, wino się lało strumieniami, muzykusom pękały struny, z pod obcasów kawalerskich leciały obficie strzępki sukien panińskich, Kocia i Zośka szalały do upadłego—zдание było powszechnie, że podobnie wesołej zabawy dawno już nie pamiętano.

Sępiński czuł tylko znużenie i niesmak,—nigdy nie był wielkim zwolennikiem tańców a dziś okazał się mniej niż kiedykolwiek usposobionym,—maskował to jednak jak mógł a zachowaniem się swoim zachwycił wszystkich. Zdaje się, że na jego intencję ułożono projekt nowej zabawy w sąsiedztwie, gdzie były właśnie trzy dorodne córki, zapraszano go wszędzie, musiał dać słowo, że będzie na polowaniu,—serdecznościom nie było końca. Nie mogąc wszystkich posądzać o interesowność, musiał się czuć wdzięcznym za te oznaki uprzejmości, które istotnie więcej może w wesołym i gościnnym usposobieniu towarzystwa, niż w samym wyrachowaniu miały źródło. Bądź co bądź rad był jaknajprędzej już wyjechać i prosił o to Łomnickiego,—nie łatwe jednak było zadanie. W domu państwa Lipienieckich istniała jeszcze tradycja zdejmowania kół od powozów i zamknięcia bramy na kłódkę.

Dopiero około południa zaczęto się ruszać, a pierwsze hasło wyszło od pani Karpińskiej, która



wydrzemawszy się należycie na kanapie mniejby tęskniła do spoczynku, gdyby nie prośby i nalegania córki.

Na chwilę przed odjazdem, Sępińskiemu udało się zbliżyć do panny.

— Panie już stanowczo opuszczają towarzystwo?—zapytał.

— Czyż nie czas? nie uwierzy pan, jak jestem znużoną! Samotność po takim gwarze wydaje się rajem. Zresztą rzadko się nam zdarza sposobność podobnej zabawy, od której się nie można wymówić, tem więcej czuję zmęczenie, im mniej z niemi jestem oswojoną.

— Pani tańców nie lubi?

— Możebym lubiła w innych warunkach. Czasami szłał podobny ma wielki urok, ale na to potrzeba niezwykłego usposobienia. Od pewnego zresztą czasu najlepiej mi jest w domu, mam zajęcie, czytam, piszę, pracuję w ogrodzie, samotność skuteczne lekarstwo na wiele cierpień.

— Wyznanie to onieśmiela mnie do przerwania samotności pań...

— O! tak dalece niech znowu mnie pan nie uważa za anachoretkę,—owszem, mama moja rada będzie poznać go bliżej. Ona biedna niema żadnej przyjemności w większym towarzystwie, bo niedosłyszysz,—więc zawsze jesteśmy wdzięczne łaskawym, którzy o nas pamiętają.

— Bardzo, bardzo prosimy—odezwała się mama, krygując się z uśmiechem i ściskając dłoń Sępińskiego.

— Będziemy więc paniom służyć razem z Łomnickim.

— Bardzo, bardzo nam będzie miło — dodała mama, pontyfikalnie kłaniając się dokoła całemu towarzystwu.

Podał jój ramię gospodarz, pannie Sępiński, a gdy już zatrzaśnięto drzwiczki karety, panna pożegnała naszego bohatera wdzięcznem skinieniem główki i szeptem:

— Do widzenia.

Trzeba przyznać, że ślicznie wyglądała w oknie powozu, otulona w błękitną gazę fantastycznie udrapowaną, ze spojrzeniem powłóczystem wymownych oczu, z twarzą bladą ze znużenia i, zdawało się, rozmarzoną główką. W tym razie oddawano jój powszechnie sprawiedliwość, a Sępiński głos ogółu podzielił.

Z kolei zaszedł powóz Łomnickiego. Grono mężczyzn zebranych na ganku, z gospodarzem na czele wychyliło jeszcze strzemiennego, a wybladli z bezsenności muzykanci rzępolili na wiwat coś tak okropnego, że trzeba było sobie uszy zatykać, jeśli się choć trochę wrażliwości dochoowało.

Po długich uściskach i pożegnaniach— powóz nareszcie ruszył z miejsca a Sępiński, otuliwszy się w płaszcz, oparł głowę o poduszkę i przymknął oczy.

Kilka razy spojrział nań Łomnicki ciekawie, ale myśląc, że śpi, nie odzywał się wcale, tylko uśmiech ironiczny przemknął po jego ustach i powiedział,

jakby sobie tylko, znane przysłowie: w 20-m roku człowiek sam się żeni, w 30-m żenią go ludzie, w 40-m dyabeł swatem...

Mocne miał podejrzenie Łomnicki, że towarzysz jego nie śpi, ale udał, że wierzy.

W powozie Karpińskich sama pani spała tak głośno, że najmniejszej nie można było mieć w tym względzie wątpliwości. Panna Laura za to nie była senną wcale— owszem, przez okno karety spojrzenie jej płynęło gdzieś w dal, zdradzając zadumę i namysł. Po dłuższej chwili takiej wewnętrznej rozmowy, sięgnęła ręką do kieszeni powozu, wyjęła z niej okrągłe małe lusterko, przyjrzała się w niem uważnie, poprawiła z lekka włosy nad czołem i—uśmiechnęła się z zadowoleniem.

---

## II.

Nazajutrz po powrocie z Lipieniec, Łomnicki i jego gość siedzieli na ganku przed domem żywą zajęci rozmową. Przed nimi na stole szumił samowar i stały wykwintne przybory do herbaty, charakteryzujące zamożnego człowieka, który się kochał w estetyce powszedniego życia, i przyzwyczajał do fraszek i drobiazgów, nie mogąc się do istot ludzkich przywiązać.

Wiedziano o Łomnickim, że się kiedyś kochał w młodem i pięknem dziewczęciu, że już był z niem zaręczony, gdy nagle narzeczoną mu umarła. Odtąd żył jej pamięcią, że jednak biedna

natura ludzka samem tak idealnem, jak wspomnienie zmarłej, uczuciem zadowolnić się nie może, przeto i Łomnicki potrzebował wrażeń innych do życia i znajdował je w stosunkach z ludźmi, którym zawsze gotów był służyć radą, ręką i kieszenią.

To zajmowanie się gorące sprawami cudzemi stawało się coraz bardziej jego potrzebą, — gdy mu się odpłacono niewdzięcznością nie sobie z tego nie robił, wdzięczność tych, którym wyświadczył jaką przysługę, niezmiernie była mu miłą. Przy ognisku cudzego szczęścia grzał się sam—i to mu wystarczało.

Dom jego był niby punktem zbiorowym całej okolicy,— wszelkie sąsiedzkie sądy, kompromisa, narady u niego się odbywały, — miał wybornego kucharza, zasobną piwnicę, piękny ogród przez dzielnego prowadzony ogrodnika, konie, psy, broń najrozmaitszą, wszystko to służyło na zawołanie bogatym jego pomysłem.

Siedzieli obaj—gospodarz z fajką, gość z cygarem w ręku i była właśnie chwila milczenia, jaka zwykła następować w rozmowie, gdy ta potrąci o przedmiot ważny lub drażliwy. Sępiński patrzył gdzieś przed siebie, w pole rozciągające się daleko po za ogrodzeniem dziedzińca, Łomnicki machinalnie obracał w ręku piękną porcelanową filiżankę, przypatrując się wymalowanej na niej Dyannie.

— Uważam więc ze wszystkiego, że ci się naj-

więcej podobała panna Laura. Mówiąc szczerze to mnie nie cieszy.

— Domyśliłem się już tego dawno, ale powiedz czemu?

— Owszem, powiem ci najotwarciej, jak mi każe obowiązek przyjaciela. Gdybys przyjechał do nas bawić się tylko, bez zamiarów znalezienia tu sobie żony, — pierwszy bym zawiózł ciebie do Karpińskich, gdyż ze wszystkich naszych panien, panna Laura najczęściej posiada przymiotów towarzyskich. Mogłeś się o tém wczoraj przekonać, chociaż uważałem, że nie była w humorze i tańczyła nierównie mniej niż zwykle.

— Czyż zwykle tańczy dużo?

— Szalenie! — i w towarzystwie mężkiem zwłaszcza jest nieporównanie miłą i wesołą.

Sępiński się zamyślił.

— Otóż, powtarzam, najpierw bym zawiózł ciebie do Małej Łączki, gdybys się chciał zabawić, pobałamucić i rozerwać. Ale gdy szukasz żony — to co innego. Bądź pewny, że gdybys mi nie był przyjacielem i nie oddał się dobrowolnie pod moją opiekę, nie mówiłbym ci tego, bo mówić źle o kimkolwiek a szczególnie o kobiecie jest przeciwnem mojej naturze. Ale teraz muszę mówić prawdę — to obowiązek sumienia. Wolałbym jednak, gdybys mnie od niego uwolnił i uwierzył memu słowu, że panna Laura nie dla ciebie.

Uśmiechnął się Sępiński.

— Przyznaj, że w tym jednym razie, słowo twe

wystarczyć mi nie może. Panna zrobiła na mnie jaknajlepsze wrażenie—wyznaję. Umie poważnie myśleć, zna życie, wykształcona, rozumna—tyle mogłem poznać z pierwszego widzenia. To już dla mnie dużo. Gdyby przy bliższem poznaniu okazały się i inne zalety, jakichbym od żony mojej wymagał, nie potrzebowalibyśmy szukać dalej.

— Lecz czy chcesz poprzestać wyłącznie na własnej obserwacyi i własnej zaufałości bystrości, czy idzie ci także o zdanie ludzi?

— Owszem, chcę słyszeć,—trzymam się zawsze przysłowia: ludzi słuchaj a swoje rób. Mów więc co masz do powiedzenia, choć sądzę, że wyście się wszyscy na niej nie poznali.

— Żeśmy się nie poznali — to jej najmocniejsze przekonanie; widzę, że już i ciebie o tém przekonała. Mogłem się tego spodziewać, nie wątpię bowiem nigdy o zręczności panny Laury. Ale do rzeczy. Trzeba ci więc najprzód wiedzieć, że... zaczekaj, muszę się przekonać, czy kto nie słucha.

Łomnicki wstał, postąpił kilka kroków i uważnie oglądał się dokoła, poczem wrócił na miejsce.

— Nie ma nikogo, jesteśmy zupełnie sami. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że panienka ma dosyć wątpliwą sławę.

— Z jakich powodów?

— Ba! z jakich powodów!—rzecz to trudna do ujęcia a powtarzać kursujących plotek nie lubię i nie będę. Sądzę wszakże, że gdy na kilkanaście panien naszej okolicy o niej jednej tylko chodzą złe wieści,—to nie jest bez przyczyny.

— Niewątpliwie! jest przyczyna i jasna jak słońce. Panna Laura zarówno wykształceniem jak i usposobieniem wyróżnia się z pomiędzy wszystkich—powód to dostateczny by miano dla niej złą wolę, a gdy ta jest, wszystko się znajdzie.

— Na to nie wiem co ci mam powiedzieć, chyba to tylko, że pod względem wykształcenia panna Laura nie jest jedynym wyjątkiem w naszej okolicy; jest panna Przyborska, panny sędzianki równie a może i gruntowniej wykształcone, tylko mniej wymowne i nie literatki. Sława wykształcenia panny Karpińskiej obiega kilka powiatów,— o tamtych wiedzą najbliżsi znajomi— w tém cała różnica. Ależ myślałem, że potrzebujesz wykształcenia żony dla siebie nie dla ludzi.

— Wiesz co Erazmie— odezwał się z uśmiechem Sępiński—zrobiłbym cię prokuratorem sądowym.

— O ile mogę wnosić z dzisiejszej sprawy— odparł podobnie Łomnicki — prokurator bywałby ciągle pobity przez obrońcę. Ale żart na stronę; połóż na sercu rękę, mój przyjacielu, i ja to samo zrobię, i powiedzmy prawdę, czy owe wysokie wymagania moralne, jakie my mężczyźni stawiamy żonom naszym przed ślubem, czy owe warunki nie są poprostu oszukiwaniem się własnem w najlepszej wierze? Ładna twarzyczka, zgrabna figurka, zalotny uśmiezek, dowcipne słówko—oto są tarany, pod którymi wali się w ruiny cały gmach naszych teoryj małżeńskich. Niejeden filozof ożenił się z praczką, niejeden uczoney wziął swarliwą



przekupkę, dlatego, że były piękne, zgrabne, układne i miłe... Czyż nieprawda? Najprzód każdy z nas ufa święcie, że potrafi przerobić żonę, jak mu się podoba. Dalej, wierzy w nieomylność własnego instynktu, wreszcie kiedy już nie wystarcza, przychodzi wiara w fatalizm: śmierć i żona od Boga przeznaczona i—kwita.

— Więc chciałbyś zupełnie odsądzić rozum od prawa mieszania się do spraw małżeńskich? W takim razie los całego życia zależałby poprostu od fantazyi zmysłów!

— Broń Boże, nie odrzucam praw rozumu, ale niechże to będzie rozum praktyczny, bo inaczej wesółą teorią może bardzo smutną pociągnąć za sobą praktykę. Nie ma nic fałszywszego w mojem przekonaniu nad rozum, który się z doświadczeniem nie oblicza. Sofista, wytłómaczy ci i osłoni swoją powagą największą niedorzeczność, przekonana cię, kiedy trzeba, że dwa razy dwa pięć, i wtedy dopiero kapitalne zrobisz głupstwo, kiedy się do niego z największym wysiłkiem rozumu zabierasz.

Sępiński się śmiał serdecznie.

— Nie wiedziałem jeszcze, żeś tak bogaty w paradoksa. Wybornie używasz tego samego rozumu, przeciwko któremu powstajesz.

— A wiesz komu zawdzięczam moje wyrobienie w tym względzie? pannie Laurze. Z nią to zazwyczaj prowadzimy spory tego rodzaju—a powiadam ci, że w dyalektyce jest nieporównaną.

Wbrew opinii.

3

— Często u nich bywasz?— Dziwi mię, że nie o tobie nie wspomniała.

— A mnie to wcale nie dziwi, nadto jest przebiegłą, widziała, że jesteśmy z sobą w przyjaźni, a chwalić mnie nie miała za co. Zresztą, zaczekaj jeszcze, będzie może i o mnie mowa.

— Tymczasem mów mi dalej o niej.

— Dobrze, ale już zupełnie na seryo.—Opinia panny Laury zostawia dużo do życzenia, ale charakter jeszcze więcej. Nie widziałem w młodej kobiecie takiej przebiegłości i fałszu.

— Nie wierzę—zawołał Sępiński, powstając — jesteś uprzedzony.

— Nie wiem kto z nas dwóch bardziej uprzedzony: czy ja, co ja znam prawie od dziecka, czy ty, znający ją od wczora? Zresztą, wysłuchaj do końca—a potem zrób z tém, co chcesz. Przebiegłość panny Laury mierzyć się może tylko z jej ambicyą—przekraczającą wszelkie granice: nie ma istoty na świecie, którejby władzę ona uszanowała, co tylko jej nie pochlebia, co nie służy jej widokom—wszystko jest złe, głupie i zacofane. Nie istnieją dla niej żadne prawa—ani obyczajowe, ani moralne, ani ludzkie, ani Boże—jedno tylko zna prawo własnej namiętności i ambicyi. Świat jest głupi, ludzie podli, wszystko nędzne, matka zero, ona jedna tylko ma rozum, ma wiedzę, ma słuszość!

— Jeżeli tak jest—przemówił Sępiński spokojnie i ze smutkiem, widząc zapal Łomnickiego — to wina nie jej, ale wychowania.

— Tak, to wina wychowania! ale po co byś przyjacielu miał pokutować za winę dwojga głupich ludzi, którzy wyhodowali takiego bożka próżności?—Lepiej daj pokój, pozostań wolnym. Mówię ci szczerze i sumiennie.

— Wierzę ci i dziękuję—rzekł z namysłem Sępiński—wyświadczyłeś mi istotnie przyjacielską usługę. Przykro mi trochę, bo istotnie podobała mi się panna Laura, ale biorę rzeczy głębiój, idzie mi o szczęście całego życia, będę więc ostrożnym. Ale z tém wszystkiem pojedziemy do Małej Łączki,—to jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Naturalnie, kiedy tylko zechcesz, pojedziemy; musisz poznać wszystkie panny okoliczne i sam sobie wybierzesz, daj Boże szczęśliwie. Ja tylko miałem sobie za obowiązek przestrzedz cię, zwłaszcza że w naszym wieku dzieją się dziwne rzeczy, głupio się zakochać łatwiej niż młodzikom a cofnąć się trudno. Wiem jak blisko od zajęcia się do zakochania. A miłość nasza staro-kawalerska, to jak słota jesienna, powolna niby i nie groźna ale nieskończona, rady z nią niema!

Sępiński uściskał rękę przyjaciela. Zwrócili się obaj ku dziedzińcowi.

— Śliczny czas, pogoda zdaje się być stałą.

— Więc korzystajmy z niej, jestem na twe rozkazy. Gdzie każesz jechać? Może do Karpińskich?

— Nie, tam później.

— Więc pojedziemy do najbliższych moich są

siadów, państwa Przyborskich, poznasz tam właśnie jedną z najwykształceńszych u nas panien.— Zgoda?

— Najchętniej.

— Bartek! Bartek! — krzyknął Łomnicki do przechodzącego przez dziedziniec fornała— przygotuj konie i powóz—pojedziemy po obiedzie do Siekierzyniec.

Odtąd, dnia tego nie było już mowy o panie Laurze, rozmowa toczyła się swobodnie i wesoło o najrozmaitszych przedmiotach, przed samym obiadem przyjechało dwóch młodych sąsiadów Łomnickiego, była mowa o polowaniu jutrzejszém, suty obiad z wytrawném winem przyczynił się jeszcze do polepszenia humorów a gospodarz miał szczególne staranie o Sępińskim, by go rozweselić i rozruszać.

Udało mu się to zupełnie; kiedy przed zachodem słońca wybrali się otwartym powozem na wizytę do Siekierzyniec, obaj byli w najlepszych humorach. Sępińskiemu wyrwało się życzenie:

— Tak u was rokosznie, że chętniebym tu zamieszkał.

— Ależ zrób to! zmiłuj się!... po co ci marnieć w mieście, gdzieś już tyle lat najpiękniejszych zmarnował! Czy ci nie dosyć już twego bióra i słęczenia nad papierami? Masz fundusz dostateczny do wygodnego życia z rodziną, napracowałeś się tyle—teraz używaj! czas wielki!

— Lecz cóżbym u was robił, bez pracy nie potrafię długo wytrzymać, gospodarz zemnie żaden.

— Na wszystko jest rada, posłuchaj tylko, jakbym ja się urządził, będąc na twojem miejscu...

— Słucham, ciekawym bardzo.

— Najprzód wycofałbym moje kapitały i kupił tu wieś—a są właśnie do nabycia i na dogodnych warunkach. Następnie, wziąłbym rozbrat ze wszelkiem urzędowaniem, przeniósłbym się do mego majątku, urządził dom należycie, z komfortem i udałbym się do przyjaciela Łomnickiego, żeby mi ten nastreczył uczciwego i sprężystego rządcę, a, mówiąc nawiasem, jeden właśnie taki prosił mnie niedawno o protekcyę. Znalazłszy takiego człowieka, pomyślałbym o sobie. Nie zapominaj, że takbym postąpił na twojem miejscu. Więc zaprenumerowałbym kilka pism poważniejszych, związał stosunek z jaką księgarnią warszawską, by mi stale nadsyłała nowości, bo wiem, że czytasz dużo, sprowadziłbym sobie piękny fortepian z najlepszej fabryki, zakupił kilka dobrych obrazów i rzeźb; dalej, bo biorę rzecz praktycznie i wszelkie potrzeby uwzględniam, — przyjąłbym dobrego kucharza, postawił w stajni parę pięknych wierzchowców, wreszcie, dla uwieńczenia dzieła...

— Ożeniłbyś się — skończył z uśmiechem Sępiński.

— Tak, widzisz, że lepiej radzę innym, niż sobie, bo sam posiadam wiele z tych rzeczy, ale postawiłem dom—bez dachu. Nie o mnie tu jednak mowa, na twojem miejscu nie namyślałbym się nawet, tylko jechał do Siekierzyniec i żenił z pan-

na Ewelinę Przyborską. Miałbys raj i w nim dobraną parę t. j. siebie—Adama i żonę—Ewę. Czy nie dobry plan?

— Wyborny! ale powiedz mi, dotąd mało mówiłeś o pannie Przyborskiej; czy była w Lipieńcach?

— Nie, nie była, z powodu chwilowej choroby matki. A dlaczego ci o niej nie mówiłem?—bo o najlepszych kobietach najmniej zwykle jest do powiedzenia. W mojem przynajmniej przekonaniu to ideał żony.

— Zaciekawiasz mię naprawdę,— jakże wygląda owa panna Ewelina?

— Powiem ci tylko, że brzydka i nie najpiękniejszej młodości—resztę zobaczysz sam, bo oto już mamy przed sobą Siekierzyńce.

Istotnie powóz był w tej chwili na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na całą wieś rozrzuconą w dolinie. Promienie zachodzącego słońca oświecały staw dość obszerny, po brzegach szuwarem zarosły, dokoła niego grupy chat otoczonych sadami, na wzgórzu kościółek niewielki, ale starannie utrzymany, a obok probostwo świecące białymi ścianami. Dalej w górę, za kościołem stał długi, stary dwór ze słomianym dachem, wieńcem topoli otoczony, za nim ogrodu kawał łączący się na górze z lasem,—wreszcie pod lasem tym bielejące zdaleka krzyże cmentarza.

W tym na wskroś swojskim krajobrazie nie brakło żadnego szczegółu charakterystycznego. Więc

przy chałupach wiejskich studnie z wysokim żórawiem, w sadkach szeregi maków i słoneczników, za wsią kilka wiatraków a na dziedzińcu starego dworu starsza jeszcze od niego grusza z gniazdem bocianiem na wierzchu, z którego głośny klekot szeroko się po wsi rozlegał.

Sępiński z upodobaniem przypatrywał się wszystkiemu, widział chaty chędogo obielone, bez rozwalonych kominów i wybitych okien, zagrody pełne zboża, zabudowania zarówno wieśniacze jak i dworskie dostatnie i całe,—wszędzie zamożność, nigdzie śladu zaniedbania i nędzy.

— Złote jabłko—rzekł mimowolnie.

— Tak, niewielkie, ale złote jabłko, i od lat stu kilkudziesięciu w posiadaniu jednej rodziny—to rzadkie. Teraz chyba kiedyś Siekierzyńce będą miały pana innego nazwiska, bo panna Ewelina ma tylko starszą siostrę, zamężną już od lat kilkunastu.

Zjechawszy z góry, powóz potoczył się szybko po równej drodze, okrążywszy stawek dostał się na pochyłe wzgórze i wkrótce stanęły przed nim gościnnie otwarte zawsze wrota dziedzińca dworskiego.

Na odgłos przybyłych gości, z domu wybiegł kilkunastoletni chłopak w granatowej kurtce, w sieni zręcznie zdjął z obu panów płaszcze i otworzył przed nimi drzwi na lewo, prowadzące do pokojów gospodarza. W pierwszym pokoju, zastawionym staroświeckimi sprzętami, pełnym wiszą-

cych na ścianach skór zajęczych i lisich, oraz przyborów do konnej jazdy, — nie było nikogo. W drugim dopiero, przed stołem zarzuconym księgami rachunkowemi i gazetami siedział w głębokiem, skórą obitem krześle, staruszek małego wzrostu, z wielkimi siwemi wąsami, w okularach na garbatym nosie i czytał z zajęciem daleko od oczu trzymaną gazetę. Wiadomości polityczne musiały być bardzo ciekawe; czytający bowiem wtedy dopiero spostrzegł gości, gdy już parę kroków ku niemu od progu zrobili. Zerwał się spiesznie i podbiegł na ich spotkanie drobnym kroczeniem.

— Przepraszam, panów Dobrodziejów! stokrotnie przepraszam — mówił, ściskając rękę Łomnickiego — nie słyszałem najmniejszego turkotu i takem się zaczytał...

— Nie nie szkodzi, my przepraszamy, żeśmy szanownemu sąsiadowi przerwali, — pozwoli pan dobrodziej, że mu przedstawię: Adama Sepińskiego, kolegę mego ze szkolnej ławy i przyjaciela.

— Ach! bardzo mi miło, bardzo panom rad jestem, — proszę, proszę, niech panowie siadają... albo nie! lepiej przejdźmy wprost do bawialnego pokoju, bo tam będzie wygodniej, — proszę, niech panowie będą łaskawi.

I poszedł staruszek przodem, torując drogę, aż przeszedłszy jeszcze jeden pokój zastawiony szafami bibliotecznymi, znaleźli się w wielkim narożnym salonie, ubranym ze staroświecka, ale dostojnie, mającym trzy okna i drzwi szklane otwarte



do ogrodu. Tu dopiero, posadziwszy obu przybyłych na kanapie, usiadł sam gospodarz rozradowany i z zajęciem przypatrując się Sępińskiemu.

Po krótkich pytaniach, z kąd gość przybywa i na jak długo, zaczęła się wkrótce rozmowa o polityce, o Bismarcku i Napoleonie, którego p. Przyborski był zapalonym czcicielem. Twierdził, że na wiosnę będzie z pewnością wojna, że Napoleon nauczy Niemców po kościele gwizdać, że ztąd wynikną niewątpliwie zmiany w ustroju całej Europy i t. d.

W przedmiocie tym każdy z obecnych miał coś do powiedzenia, rozmowa więc szła gładko a gospodarz, pomimo politykomanii, z której go znano, przedstawił się Sępińskiemu, jako człowiek wcale nie ciemny i ogólnie odczytany. Znał dobrze historią tworzenia się państw europejskich, nie obce mu były głównejsze teorye polityczne, a kiedy z kolei przyszło do dziejów krajowych, okazało się, że je zna dokładnie. Raz na udowodnienie, że się w kwestyi pewnej daty nie pomylił, o co go pomawiał Łomnicki, przyniósł Lelewela z szafy bibliotecznej i prędko odszukawszy odpowiednią stronę, dowiódł, że ma słusność.

Podczas téj chwilowój dysputy z Łomnickim, Sępiński miał możność rozejrzenia się w salonie. Każdy sprzęt świecił tu niepokalaną czystością, posadzka stara i trochę zniszczona błyszczała jak zwierciadło, w każdym szczególe domyślał się uważny obserwator udziału troskliwój ręki kobie-

céj — a czyjażby to była ręka, jeżeli nie panny Eweliny? W rogach pokoju stały półki orzechowe rzeźbione a na nich mnóstwo muszli, konch perłowych, filiżanek i kubków z misternie malowaną saskiej porcelany, figurek chińskich, i innych podobnych drobiazgów, — a wszystko symetrycznie ułożone, świecące. Gospodarze musieli się kochać w porządku. Staroświeckie zwierciadła na ścianach i kilka starych obrazów miały na ramach krepowe okrycia, fortepian staréj mody z długim ogonem nosił również futerał płócienny.

Na pulpicie stały jakieś nuty, — zajrzał i tam Sępiński — były to Sonaty Bethovenowskie. Na stosie nut leżących na stoliczku znalazł książkę, otworzył ją i spojrział na tytuł: *Umniectwo piękne* Libelta. Na boku niektórych kartek były uwagi pisane ołówkiem. Któżby je robił, jeżeli nie panna Ewelina. Wszystko go to zaciekawiało, chciałby ją już jaknajprędzej poznać.

Upłynęła wszakże godzina, nim drzwi się otworzyły i weszła — ale nie panna, tylko dopełnienie gospodarza, podobnie jak on drobna i szczupluta staruszka, siwiejąca, ale ruchliwa i tak jak mąż dobroduszenie uśmiechnięta.

— A czekamy tu już na was dobrą godzinę — odezwał się pan Przyborski, po przedstawieniu gościa i powitaniu, — miałem czas znudzić kochanych panów polityką.

— Przepraszam panów — i za siebie i za męża — odrzekła z wesołym uśmiechem, — ale tak jestem

w tych czasach ociężała i niezdrowa, że zasnąwszy po obiedzie nie obudziłam się aż przed chwilą.

— Z powodu niezdrowia pani dobrodziejki zapewne—rzekł Łomnicki nie mieliśmy przyjemności spotkać pań onegdaj w Lipieńcach?

— Tak, moja wina, że Ewelinka nie była, — chciałam już nawet pomimo niezdrowia jechać, żeby jej nie pozbawiać téj przyjemności, ale nie pozwoliła na to w żaden sposób. A i ona żałowała bardzo, że się tak złożyło.

— Więc córka pani dobrodziejki tak lubi tańce? — zapytał Sępiński.

— O! bardzo! to wielka dla niej przyjemność.

— A gdzież jest Linka? — odezwał się ojciec — niechże przyjdzie.

— Tylko co wróciła ze wsi. Jeździła doglądać robotników przy kartoflach a potem musiała zabawić u kowalowej.

— Znowu źle?

— A źle. Żona naszego kowala — dodała starszka, zwracając się do Sępińskiego, — biedna kobieta, dzieci jej się nie chowają, straciła już pięcioro i jedno tylko zostało a takie wątłe, że nie uwierzy pan, prawdziwie. Ciągłe chore, córka nasza codzien je doglądać musi.

— Ależ bo, trzeba panu wiedzieć—objaśnił gospodarz—że Linka jest u nas takim wiejskim, gromadzkim lekarzem; udają się do niej jak w dym, gdziekolwiek kto zachoruje, ma zasobną apteczkę i leczy.

— I nie uwierzy pan, jak szczęśliwie—ciągnęła dalej staruszka. — Nasz powiatowy konsyliarz utrzymuje, że nie zdarzyło mu się widzieć, by ktoś z samej tylko książkowej nauki mógł radzić tak skutecznie. Ale téż on sam daje jój wskazówki,— a mamy bardzo dobrego lekarza.

Sępiński słuchał z namaszczeniem, trudno mu było wszakże wszystko pokombinować. Panna czytająca Libelta, grająca Bethovena, dogładająca kartofli i zajmująca się leczeniem dzieci, było to coś w pojęciu jego niezwykłego, nieprawdopodobnego.

Cierpliwość jego nie miała już być na dłuższą wystawiona próbę,—panna Ewelina właśnie pojawiła się we drzwiach salonu.

Była to osoba słusznego wzrostu, dość pełna choć zgrabna i kształtna, ubrana skromnie w popielatą wełnianą suknię gładką zupełnie, ale świeżą i dobrze zrobioną, miała za całą ozdobę stroju mały krzyżyk z kości słoniowej na szyi i białą różę w grubych, wkoło głowy okręconych warkoczach.

Przywitała się serdecznie z Łomnickim, skłoniła się z uprzejmym uśmiechem Sępińskiemu i usiadła przy ojcu, który zażądał relacyi z tego, co widziała w polu i na wsi.

Sępiński przypatrywał się z zajęciem. Znalazł ją istotnie brzydką, ale nie tak jak sobie wyobrażał. Wszystkie rysy, uważane każdy z osobna, brzydkie były: miała czoło za wysokie, oczy bla-

dego koloru, nos za szeroki, twarz całą zbyt długą, — same tylko usta miały układ miły, a wszystko razem składało całość inteligentną i przyjemną. W rozmowie oczy nabierały blasku, twarz się ożywiała, w głosie dźwięcznym i łagodnym, w pogodnym wyrazie twarzy, w poważnym i dystyngowanym układzie było coś pociągającego.

Co do wieku musiała mieć lat około 30, ale poznać to było łatwiej z układu, głosu i mowy, niż z pięknej białej cery, lekko zarumienionej i ust młodzieńczo różowych.

Panna Ewelina była blondynką, mówiła dość powolnie, spokojnie, bez gwałtownych modulacji głosu, wszystko to kazało w niej przypuszczać temperament raczej flegmatyczny niż gorący.

Rozmowa ogólna i spostrzeżenia Sępińskiego krótko trwały, gdyż panna powstawszy, zaprosiła wszystkich na herbatę. Towarzystwo przeszło do pokoju stołowego, którego ściany ozdobione były szeregiem starych portretów rodzinnych a w rogu stał wysoki staroświecki zegar, majestatycznie poruszający wahadłem.

Przy herbacie rozmowa się ożywiła, dotknięto najrozmaitszych przedmiotów, w każdym panna Ewelina zabierała głos, z tym samym niezmiennym spokojem i nieposzlakowaną logicznością zdania, bez względu na to, czy mówiono o gospodarstwie i urodzajach, czy o naukach i sztukach, czy wreszcie o stosunkach towarzyskich.

Te ostatnie najwięcej obchodziły Sępińskiego,

ze względu na pannę Laurę, która mu się teraz przedstawiała, jako zupełny kontrast panny Eweliny. Chciał wybadać pod tym względem pannę, którą Łomnicki tak wysoko cenił.

Kiedy więc po herbacie zaproponowano przechadzkę po ogrodzie, Sępiński zaczął asystować pannie oddając rodziców przyjacielowi, który zresztą i z własnej chęci usiłował zostawić wzajemnie poznającą się parę saméj sobie.

— Czy pani zna pannę Karpińską? — zapytał wreszcie Adam.

— O, znamy się bardzo dobrze, choć widujemy się rzadko, bo to sąsiedztwo dość dalekie.

— Pomimo odległości powinnyby się panie, jak sądzę, częściej widywać, gdyż o ile poznać dotychczas mogłem, zbliżają się do siebie poglądami i usposobieniem.

Mówiący kłamał rozmyślnie dla wywołania protestu i nie omylił się. Panna spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

— Sądzę, że się pan mylisz, — w bardzo wielu względach różnimy się z panną Laurą.

— Miałem na myśli wykształcenie, które panie łączy...

— Wykształcenie? — nie, panie. Ja mam je na moją własną potrzebę, ona, jako literatka, — dla innych, na szerszy zakres. Niema więc wielkiego między nami podobieństwa. Ale, daruj pan, że niedyskretnie zapytam, — dlaczego chcesz poznać zdanie moje o pannie Karpińskiej?

Sępiński zmieszał się trochę, ale nie okazał tego po sobie.

— Odplacając się szczerością za szczerość, powiem pani otwarcie, że słyszałem dużo zdań o tój osobie, nie zgadzających się z pojęciem, jakie o niej wytworzyłem z osobistego poznania. To mię zaciekawia.

— To mi wystarczy, dziękuję panu; powracam więc do poprzedniego zdania, że między mną i panną Laurą są znaczne różnice. Istotnie skorzstałybyśmy może obie na zbliżeniu się wzajemnem: ja z powodu zdolności i talentów, któremi mnie panna Laura nieskończenie przewyższa,—ona zaś, gdybym nad nią wpływ jaki miała, możeby przysła do większej równowagi moralnej i uspokojenia wewnętrznego.

— O ile ją poznałem,—wtrącił nieśmiało Sępiński—rzeczywiście uspokojenia tego potrzebuje.

— Rzecz to bardzo naturalna. Najpierw jest znacznie odemnie młodszą, posiada temperament żywy i ognisty, zostawała i dotąd jest w warunkach niekorzystnych dla siebie, pod względem otoczenia i jego wpływów, wreszcie kształcenie się dorywcze i niesystematyczne, przy rozbujalėj wyobraźni—wszystko to sprawiło, że wyrobiła sobie w wielu względach opaczne i błędne przekonania.

— Uważałem—rzekł Sępiński — że jest bardzo zniechęconą do ludzi.

-- A któż z nas, proszę pana, nie miał takich

chwil zniechęcenia? to nieuniknione, każdy przecież umie przebyć taką chwilę i wyzdrowieć z niej,— według mnie bowiem pesymizm jest chorobą; żyjąc w warunkach normalnych, przekonywamy się powoli, że ludzie nie są tak bezwarunkowo źli, jak się czasem wydaje, że wreszcie wszyscy mamy swoje przywary i śmieszności, a przekonanie to nas uspokaja. Ona do tego dojść nie mogła, żyjąc w warunkach anormalnych, utwierdziła się w swem mniemaniu o ludziach.

— Sądzę, że i ludzie dużo się do tego przyczynili—rzekł Sępiński.

— Niewątpliwie, ludzie zrażali ją, zamiast zjednywać.

— Rzecz to jednak smutna, nieprawdaż pani? czyliż ludzie nie byli obowiązani do wyrozumiałości, jaką spotykam w tej chwili?

— Tak, ale i dla ludzi sprawiedliwość każe być wyrozumiałym. Trudno wymagać, żeby odpychające postępowanie budziło sympatyą. Trzeba też uwzględniać opinią i jej wymagania, gdyż jakkolwiek bywają czasem nieuzasadnione, przyzna pan, że lepsza opinia niedoskonała, niż gdyby nie było żadnej.

— Każde słowo pani jest wyrazem mego przekonania—odrzekł szczerze Sępiński.

— Wielką mi to sprawia przyjemność, gdyż nie posądzisz mnie pan o jakąś niechęć osobistą dla panny Laury. Do posądzenia takiego, pospolicie rzecz biorąc, byłoby wystarczającym to, że jest odemnie daleko młodszą i—piękną.



— Nadto długo żyłem z ludźmi, bym tak grubą popełnić mógł omyłkę, jaką w tym razie byłoby podobne podejrzenie. Lecz, ponieważ już dotknęliśmy téj kwestyi,—raczy mnie pani powiedzieć, czy istotnie panna Laura naraziła się opinii?

— Na pytanie odpowiadam pytaniem: czy samo pomiatanie opinią i jéj wyzywanie nie jest już narażaniem się dostatecznym?

— Niewątpliwie, pani.

— Zdaje mi się, że nikomu niewolno bezkarnie stawiać własnego widzimisię nad przyjęte i uznane prawa, choćby tylko towarzyskie. Szczególniej zaś myślę, niewolno tak postępować nam, kobietom. Każda z nas, która lekceważy sobie opinią—sama się już potępia, bo raz podeptawszy opinią w najlepszej intencji, pójdzie mimowolnie dalej niżby wprzód zamierzała. Opinia, to hamulec, bez niego niema granic wybujałościom fantazyi i kaprysów.

— Więc emancypacya nie znajduje w pani wielbicielki?

— Jako wyraz—nie, bo zdaje mi się, że nam, kobietom ubliża; rozumiem emancypacyę murzynów, ale nie rozumiem emancypacyi kobiety—zwłaszcza u nas, w Polsce. Emancypacya zaś, jako udoskonalenie umysłowe i moralne ma we mnie czcicielkę najzagorzalszą. Zdaje mi się, że powinneśmy sobie wszystkie wziąć za punkt honoru, byśmy były od panów lepsze...

Wbręw opinii.

4

— Czy pani tak ujemne ma o płci brzydkiej wyobrażenie?

— O nie!—rozśmiała się panna Ewelina—pomi-  
mo mojego wieku jeszcze do téj doskonałości nie  
doszłam. Owszem, właśnie w uznaniu zalet cha-  
rakteru i umysłu mężczyzn, chciałabym byśmy  
były od was jeszcze lepsze...

Mówiła to z uśmiechem lekkiej ironii, z którym  
jój było bardzo do twarzy. Rozmawiali tak cho-  
dząc po szerokiej alci ogrodu, mocno księżycowem  
światłem oświetlonéj. W oświetleniu tem postać  
i cała powierzchowność panny Eweliny nabierały  
osobliwego uroku, tak się przynajmniej zdawało  
Sępińskiemu. Głos jój melodyjny, miękki, łago-  
dny rozplýwał się wśród ciszy i pieścik słuch roz-  
kosznie.

— Znając już zdanie pani o emancypacyi, pra-  
gnąłbym wiedzieć, co pani myśli o autorstwie ko-  
biet?

— Prawdziwie nie zastanawiałam się nad tém,  
zdaje mi się jednak, że gdybym pisała, tałabym  
się z tém i za nic w świecie nie odważyłabym się  
na druk.

— Czemu?—Czém sobie pani to tłómaczy?

— Ja nie wiem!—Może to, coście panowie od  
początku świata o naszym gadulstwie powiedzieli,  
odebrałoby mi odwagę produkowania się z gadul-  
stwem pisanem. Zresztą druk—to już rodzaj po-  
pisu, rodzaj wyraźnie objawionéj chęci nauczania  
ludzi,— a to przeciwne mojej naturze i zdaje się

poniekąd w ogóle — naturze kobiecój. — Co do mnie,—wolę się uczyć sama niż nauczać, wolę słuchać niż mówić. Myślę nawet, że autorstwo jako zawód, ujemnie musi wpływać na kobietę i jeżeli autorowie słyną często z zarozumiałości, to autorki w walce o lepsze pewnie prym odnieść powinny... Nie, nie umiem panu sformułować moich w tym względzie pojęć a nie chcę powtarzać ogólników znanych. Wiem tylko, że o ile zazdroścę każdemu wiedzy i nauki,—autorstwa nie zazdrościłam nigdy i bałabym się pióra, jak obosiecznego miecza, którem niewprawne ramię samo się pokaleczyć może.

Sępiński zamyslił się głęboko i milezał,—panna Ewelina szła również przez kilka chwil mileżąca. Wreszcie uśmiechnęła się.

— Niebezpiecznie jest nas kobiety wodzić na pokuszenie gadulstwa,—teraz się dopiero spostrzegłam, że peroruję wbrew własnemu usposobieniu. Niech mnie tłómaczy, że bardzo rzadko mam do tego okazję.

— Wierzę—widzę ze wszystkiego, że pani ma mnóstwo zajęcia.

— Tak, tego mi nigdy nie brak. Gospodaruję, (to moja emancypacya!) — gospodaruję za domem i w domu, pracuję w ogrodzie, gram trochę, czytuję trochę, odwiedzam moich pacjentów, o których pan słyszałeś, zresztą dotrzymuję towarzysztwa mamie, która często choruje. Szkoda, że już noc—pochwalałabym się przed panem kwiatami, to moja słaba strona.

— Mam wzrok bystry — rzekł Sepiński, zatrzymując się przed rabatami kwiatów, — widzę przepyszne odmiany róż, piękne lewkonie, narcyzy, resztę w fantazyi mojej dopełnię.

— W takim razie kwiaty moje skorzystają jeszcze. Rzeczywistość bywa, niestety, tylko słabem odbiciem światów wyobraźni.

Przez chwilę milczeli oboje.

— Miałbym do pani jeszcze jedną prośbę.

— Słucham pana.

— Jestem wielkim miłośnikiem muzyki a widziałem Bethowena na pulpicie...

— O! to prośba, która mię zatrważa. Gram tylko dla siebie, nie wiem czy się to da słuchać. Co do Bethowena szczególnie, nie dobrze go jeszcze rozumiem i wiem, że gram go słabo.

— Jednak, gdybym pragnął sam mieć sąd w tej mierze?... -

— Owszem, nie mam się z czém drożyć, uprzedziłam pana, że gram źle.

— A co to? Linko!.. zagrasz nam?—zawołał ojciec usłyszawszy ostatnie wyrazy—dobrze, dobrze, zagraj,—w taką noc księżycową przyjemnie się słucha.

— Powiedz że niech podadzą światło.

— O nie! mam, umiem jedną sztukę na pamięć. Państwo będą łaskawi zostać tu, będę odważniejsza.

Wszyscy więc usiedli na ganeczku przed drzwiami wiodącemi do salonu i po chwili rozległy się tony fortepianu,

Sępiński znał się trochę na muzyce i lubił Beethoveną, słuchał więc uważnie. Gra panny Eweliny była poprawna, równa, ale miękka i nadto łagodna,—sonata wyszła z pod jej ręki, jakby w miniaturze, Beethoven przeistoczył się prawie w Szopena, znać było rękę i czucie kobiece.

— Nieprawdaż panie, — zapytała po skończeniu—tak grać można tylko dla siebie?

— W zasadzie nie przeczę—odparł Sępiński,—ale dziś i dla mnie gra pani była dalszym ciągiem naszej rozmowy. Pozwoliła mi więc poznać panią.

— Czas nam w drogę—szepnął Łomnicki.

— Czas,—choć miałbym teraz wielką ochotę prosić jeszcze o Szopena.

— Przecież nie ostatni raz, mam nadzieję, widzimy szanownego pana, w domu naszym — odezwał się pan Przyborski,—przyjdzie kolej na Szopena, Moniuszkę i t. d.

— Z prawdziwą rozkoszą służyć jeszcze państwu będę, nie tylko dla Szopena.

Nastąpiło pożegnanie uprzejme a proste, panna Sępińskiemu podała rękę z pełną godności życzliwością,—staruszkowie ponowili jeszcze zaproszenie.— Wkrótce powóz toczył się nad stawem, w którym rozbijały się w tysiące dyamentów promienie księżycowe.

— No i cóż?—zapytał Łomnicki, jakież wrażenie?—brzydka—prawda?

— Niekoniecznie.

— Ograniczoną nie jest?

— O! bynajmniej,—nie spodziewałem się nawet tyle rozumu.

— Może nieprzyjemna, co?

— Owszem!... bardzo miła i przyjemna.

— No! to Bogu dzięki.

---

### III.

Pragnąc osłabić w przyjacielu wrażenie, jakie na nim wyraźnie panna Laura zrobiła, Łomnicki nie poprzestał na wizycie w Siekierzyńcach, woził go jeszcze do kilku domów w sąsiedztwie, gdzie były panny, nie wspominając wcale o Karpińskich.

Sępiński jednak, choć się dawał wozić i przedstawiać, nie bawił się wcale. Przyjmowano go wszędzie z otwartymi ramionami, łnadskakiwano mu, panny go kokietowały, widział to i czuł tylko niesmak i nudę. Po każdej nowej wizycie, powracał myślą do panny Eweliny i do panny Laury, te dwie tylko osoby utkwily mu w pamięci.

Bywały chwile, w których panna Ewelina przedstawiała mu się, jako ów poszukiwany i upragniony ideał: rozumna, łagodna, dobra, praktyczna piękniała nawet w jego wyobraźni, widział ją oświetloną blademi promieniami księżycy, idealną, uduchownioną.

To znowu niekiedy przedstawiała mu się panna Laura w postaci pięknego dziewczęcia — sieroty przesładowanej przez zawistnych i uprzedzonych... albo też jako śmiała, samodzielna istota, wyzywająca świat do walki, w imię wyznawanych zasad i wyobrażeń, własną pracą myśli wyrobionych.

Kiedy mu nareszcie dokuczyły nieskończone odwiedziny osób obojętnych, oświadczył pewnego dnia chęć jechania do Małej Łączki.

— Kiedy każesz? — zapytał Łomnicki — dziś? jutro? powiedz, jestem tu od tego, bym spełniał twoje życzenia.

— Więc jedźmy dziś.

— Dobrze, pogoda wprawdzie niepewna, chmury się gromadzą na zachodzie, ale to nas nie wstrzyma, każę zaprządz do karety.

Bartek przygotował konie i po obiedzie udano się do Karpińskich.

W drodze przyjaciele żywą zajęci byli rozmową. Łomnicki, jako człowiek bywały, obeznany z historią wszystkich rodzin i majątków w okolicy, miał zwykle wiele do powiedzenia rzeczy, obchodzących Sępińskiego. Tym razem mówiono o ekonomicznym stanie majątków, wyzyskiwaniu żydowskiem i szerzącej się kolonizacji niemieckiej.

— Smutno jest, bardzo smutno. Wypadki i okoliczności wiele zrobiły złego, ale może więcej jeszcze ruin z własnej winy i to najboleśniej. Ot, na przykład, Mała Łączka, wieś piękna i większa

od Siekierzyniec,—przedstawia obraz nędzy i rozpacz.

— Pod jakim względem?—zapytał Sępiński.

— Pod każdym. Ziemia wyjałowiona, zabudowania zrujnowane, chaty wałą się—długów bez liku.

— I któż ostatecznie przyczynił się do takiego stanu?

Łomnicki machnął ręką.

— Historia tém smutniejsza, że u nas dość pospolita. Pracę jednego pokolenia marnuje lekko-myślność, nierząd i niedołęztwo drugiego. Wiadomości moje o Małej Łączce sięgają czasów ojca pani Karpińskiej. Był to szlachcic szaraczkowy, bez wychowania i wykształcenia, z gruba ciosany, który uciuławszy na dzierżawach kapitalik, nabył Małą Łączkę z długami i zaczął na niej dzielnie pracować; gospodarz był zawołany, — wkrótce długi pospłacał i podniósł wartość majątku przez zabiegliwość i zręczność do wysokości znacznej. Ożeniony z jakąś ekonomówną, dwoje miał dzieci syna i córkę. Z początku chowało się to po oborach i chlówach; jeszcze mój ojciec, bywając u niego w interesie, widział te dzieci zasmolone i zaniedbane strasznie. Kiedy jednak żona mu umarła a szlachcic porósł już w pierze, odezwała się i ambicya, chciał się wydobyć na jakiego dygnitarza powiatowego: urządził więc dom przyzwoicie, kazał umyć dzieci, poubierać je po pańsku, sprowadził dla nich bonę francuzkę, potem syna



oddał do szkół,—zaczął się zbliżać do sąsiadów i zapatrywać się na nich.

— Więc pani Karpińska ma brata?

— Nie ma, umarł młodo, jeszcze w uniwersytecie,—był to podobno bardzo zdolny chłopiec, ale zabiło go życie nieporządne i chorowanie na pana. Żałowano go, gdyż objawiał wielkie zdolności. Została tylko córka, dzisiejsza pani Karpińska, za młodu bardzo piękna. Ojciec pysznił się z niej bardzo, gdyż należała do piękności głośnych w okolicy,—miał nadzieję przez nią wejść już stanowczo w koło obywatelskie—dom był otwarty, przyjmowano mnóstwo młodzieży,—panna zaczęła się trochę awanturować, wreszcie zaawanturowawszy się z huzarem Karpińskim, kwaterującym w miasteczku, gdy ojciec nie chciał o tém słyszeć, wykradła się z nim i powędrowała gdzieś w świat.—Stary się uparł, nie chciał uznać dopełnionego faktu małżeństwa, lecz niezadługo potem, tknięty apopleksją, przeniósł się do wieczności, zostawiając córce i zięciowi czysty majątek i kapitały. Państwo Karpińscy wrócili tedy na wieś z córką, panną Laurą i odrazu zaczęli żyć na wielką skalę.

— Cóż był za człowiek z tego Karpińskiego?

— Hulaka, gracz, a przytém mężczyzna bardzo piękny, z pozorami ogłady towarzyskiej, któremu te właśnie zalety otworzyły wstęp do domów sąsiedztwa. Zaraz po ożenieniu podał się do dymisji, życie prowadził wystawne, cała okolica tam bywała, choć nikt bliższych nie zawiązywał sto-

sunków. Im mniej miano ochoty z nim żyć, tém więcej sadył się na uczty i zabawy, marnując szybko majątek żony. Tymczasem córka im rosła i w dziesiątym już roku życia zaczęła objawiać niezwykle zdolności. Oboje rodzice uderzyli pierwsi czołem przed fenomenem, za jaki dziecko ogłoszono i odtąd zaczyna się szereg dziwacznych wysiłen, w celu zrobienia z niego cudu świata.— Ojciec z różnych stron posprowadzał dla Lorci nauczycieli i nauczycielki, którzy ją uczyli mówić różnymi językami, grać, śpiewać, tańczyć—obok przeróżnych innych przedmiotów.

— Więc jednak dbał o jój wykształcenie ?

— Chodziło więcj o rozgłos i próżność, niż o korzyść istotną dziecka. Posadzono ją na ołtarzu i ojciec pierwszy klęczał przed nią z trybularzem. W dwunastym roku życia wiedziała, że jest piękną, bogatą, mądrą, że wszystko od jój skinnienia zależy,—w tym samym czasie zaczęła pisywać wierszyki, które rodzicom wydawały się arcydziełem. Ludzie się śmieli i wzruszali ramionami, dziecko jednak było istotnie zdolne i żądne wiedzy, tylko nie mające granic samowoli. Panienska miała lat szesnaście, kiedy ojciec umarł, zostawiając majątek w stanie już opłakanym. Opiekę objął z woli nieboszczyka pan Jan Lipieniecki, którego poznałeś. Jeden to z tych ludzi, którzy dla poratowania wdowy i sieroty gotowi są własnym dzieciom uszczuplić,—zabrał się gorąco i energicznie do dźwigania nadwątłego majątku, ale

natrafił na mocny opór pięknej panny Laury a więc i jej matki, pozbawionej zupełnie własnego zdania.

Pannie chciało się żyć dalej podobnie jak dotąd, z tą jedną różnicą, że odprawiła wszystkich nauczycieli i nauczycielki, zostawiając tylko francuzicę, którą poznasz,—i zaczęła się uważać za pełnoletnią. Lipieniecki nie ustępował, wynikły ztąd ciągle starcia z opiekunem a przez niego z opinią, którą wyraźnie zaczęła pomiatać. Otoczona zawsze kołem młodzieży, które jej pochlebiało, wynosząc pod niebiosa talent i wiersze, nie bardzo licząc się ze względami przyzwoitości towarzyskiej, panna uważała opiekę i opinię poza nią stojącą za gwałt i przesąd i nie chciała im ulegać. Ludzie zaczęli odzywać się coraz gorzej—ona utwierdzała się w swym uporze i rosła w zarozumiałość. Ze jednak walka otwarta z opiekunem nie była możliwą, wyrobiła w sobie obłudę i przebiegłość nad wiek, walcząc podjazdami.

— Czy bywałeś wtedy u nich?

— Bywaliśmy wszyscy a ja należałem nawet do najczęstszych gości, gdyż podobała mi się osobliwa swoboda w domu tym panująca i zajmował talent autorski panny, z którym się śmiało produkowała. Chciałem zresztą być jej dobrym doradcą, lubiła moje towarzystwo, ale gdy się przekonała, że pokłonów nie biję a często i gorzką powiem prawdę,—straciłem łaski i nie mam ich dotychczas.

— Czy jednak Lipieniecki postawił na swoim? czy zwyciężył?

— Nie, został zwyciężony. Cztery lata temu, panna oświadczyła, że wyjeżdża za granicę. Opiekun przedstawiał niemożność materyalną,—a widząc, że się to na nic nie zda—zrzekł się wszelkiej opieki.—Panna Laura z matką i francuzką wyjechała, wypuściwszy wieś w dzierżawę żydowi,—za granicą bawiły dwa lata, co kosztowało niesłychane sumy,—dziś długi przewyższają prawie wartość majątku, którego właścicielem rzeczywistym jest żyd posesor, płacący dotychczas jakąś niewielką sumę rocznie na utrzymanie domu, co już niedługo potrwa.

— Smutna, bardzo smutna historia — rzekł w zamyśleniu Sępiński.

— Opowiedziałem ci tylko główne fakta, o tym pobycie zagranicą chodzą wieści, których powtarzać nie chcę.

Łomnicki zamilkł, — jego słuchacz zadumał się również głęboko. Tymczasem niebo zakrywały coraz ciemniejsze chmury, zdaleka grzmot się odzywał i deszcz zaczynał padać. Zdawało się Sępińskiemu, że i w tej chwili nad Siekierzyńcami świecić musi słońce jasne i roztaczać się niebo pogodne, jak pogodną i jasną była dusza panny Eweliny... Przekonywał się, że panna Laura nie dla niego,—on szukał spokoju, ciszy życia, a ona była uosobioną burzą. — Nie rzucał na nią kamieniem, całą winę przypisywał wychowaniu, ale jedno-

częściej przypominały mu się słowa przyjaciela: po co masz pokutować za winę dwojga głupich ludzi!

Łomnicki przerwał jego zadumę.

— Patrz. wjeżdżamy do Małej Łączki.

Sępiński zaczął się przez szybę przypatrywać, — to co widział było wymowną ilustracją opowiadania Łomnickiego. Obok nich przesuwały się chaty brudne, odrapane, z podartymi dziurawymi dachami, niekiedy zrujnowane i walące się. Rzadko gdzie widać było stóg zebranego zboża w zagrodzie, albo kawał nierozebranego płotu. — U wjazdu na wąską i dziurawą groblę, chłop jakiś stał w wytartej świcie i ponuro czapkę w rękach obracał. Spojrzał mu w twarz Sępiński — wyczytał w niej nędzę i przygnębienie. Stał, bezmyślnie patrząc na przejeżdżającą karetę, a wiatr rozrzucał mu włosy na głowie i gwizdał mu w uszy szydeczko.

Z bardzo smutnym wrazeniem wjeżdżał bohater mój w bramę dworu państwa Karpińskich. — W dziedzińcu stała tuż obok dworu oficyna, przed nią na zawieszonych sznurach suszyła się jeszcze dotąd bielizna jakaś, pomimo że deszcz zaczynał padać coraz większy. — W ganku tej oficyny stał niemłody żyd, *moreine*, w aksamitnej mycce na głowie i długim prunelowym chałacie; miał obie ręce w kieszeniach i z przychyłoną głową a zmrużonym jednym okiem patrzył na jadących.

— Oto jest — przemówił Łomnicki, — pan

Szumli Liebszyc, rzeczywisty właściciel Małej Łączki.

Sępiński westchnął i wysiadł z powozu, gdyż właśnie zatrzymano się przed domem.

Na spotkanie ich w sieni pojawił się stary, zapany lokaj w wyszarzanej liberyi a jednocześnie jakaś kobieca głowa pokazała się we drzwiach i znikła z okrzykiem: o! la Boga! goście!

— Zatrzymajmy się tu chwilkę, — rzekł Łomnicki, stając przed wiszącym na ścianie zwierciadłem. — Widocznie niespodziewano się dziś nikogo, moglibyśmy zrobić subiekcyę.

Istotnie słychać było w pokojach bieganinę i niepokój wielki, — ktoś zamiatał, ktoś inny wynosił niepotrzebne w salonie rzeczy, — goście zaczekawszy kilka minut, kiedy już ucichło, weszli i na wstępie zakrztusili się obaj kurzem unoszącym się w powietrzu. — W pośpiechu zapomniano sprzątnąć żelazko do prasowania, które stało dotąd na kawałku cegły a cegła leżała na pięknie oprawnej Galeryi drezdeńskiej, zdobiącej stół okrągły mahoniowy przed kanapą.

Sępiński obejrzał się po pokoju, — duży był i dosyć pusty, po kątach kryły się krzesła wytarte, lub tak zabrudzone, że się światła dziennego wstydziły. — Firanki przy oknach koronkowe, u góry szafirowym przysłonione aksamitem, muchy opstrzyły niemilosiernie. Niektóre, zamilowane widocznie w przepychu, przychodziły umierać w osłonach koronkowych i aksamitnych.

—mumij takich było bez liku. — Ściany miały tapety stare i poplamione, ale za to ozdobiło je kilka obrazów dobrego pędzla. — Nad kanapą wisiał bardzo piękny portret panny Laury, robiony w Rzymie, jak świadczył podpis. Artysta przedstawił ją, jako muzę, w tunice greckiej z oczyma wzniesionemi w niebo i lutnią w rękach. Wspinałe owalne ramy portretu, przedstawiały miśternie rzeźbiony wieniec liści dębowych.

Na innych ścianach nęciły ciekawość widza drobnych rozmiarów obrazki, między którymi wisiał jeden większy przedstawiający Amora, jako młodzieńca uwieńczonego różami, — kopja malarza włoskiej szkoły. — Drobne były to krajobrazy Ruisdaela i Rembrandta oraz jeden obrazek Teniersa—u wszystkich przyklepiono kartki z napisem: *oryginał*.

Ponury charakter krajobrazów harmonizował z wrażeniem, jakiemu nie mógł się oprzeć Sępiński. — Deszcz z wiatrem uderzał o szyby okien, wyręczając mieszkańców w robocie, i szarpał nielitościwie młodą brzoźkę stojącą pod oknem. — W ogrodzie ścieżki były porośnięte trawą,—łopienie i chwasty dzikie rozpierały się po rabatach między lewkoniami — w dalszej perspektywie widać było altankę, po której ścianach pięły się suche łodygi dzikiego wina, gdzieniegdzie tylko porosłe liściem.

Sępiński odwrócił się od okna i stanął przed etażerką w kącie, założoną książkami. Machinal-

nie wziął pierwszą z nich do ręki i otworzył. Była to *Ekonomia polityczna* Roschera.

Nie zbliżył się już ku fortepianowi, na którym leżały stopy nut, westchnął i usiadł na kanapie, spotykając się ze zwróconem nań wejrzeniem Łomnickiego.—Porozumieli się milcząco. Służąca tymczasem sprzątnęła dość zgrabnie owe kompromitujące żelazko.

Upłynęło w ten sposób sporo czasu, nim drzwi się otworzyły i weszła panna Laura.

Ubrana była prawie żałobnie, w sukienkę czarną, powłóczystą, pięknie uwydatniającą jej udatną figurkę. — Żadna kolorowa wstążka, żaden kwiat nie ożywiał tego stroju, — biały, gładki wykładany kołnierzyk i takżeż rękawki podnosiły jeszcze żałobny jego charakter. — Włosy gładko uczesane i związane z tyłu w dwa warkocze, nadawały jej pozór siedemnastoletniej dziewczynki.

Ze smętnym uśmiechem podała rękę gościom i skinieniem zaprosiła ich, by usiedli.

Łomnicki patrzył zdziwiony, — widział metamorfozę, z której nie umiał sobie na razie zdać sprawy. Przywykł do innego powitania i innego układu panny Laury, — musiał jednak przyznać, że wyglądała prześlicznie.

— Panowie darują, że tak długo kazałam na siebie czekać, mama z powodu niepogody cierpi mocno na reumatyzm, siedziałam przy niej.

— Nie spodziewały się panie gości w taką porę, — dodał Łomnicki.



— Istotnie, odrzekła, rzucając przelotne spojrzenie na Sępińskiego, — jużeśmy się nie spodziewały. Zresztą u nas gość—to osobliwość teraz,— może to i pan potwierdzić, panie Łomnicki. pan co dawniej tak często bywał na nas łaskaw. Przychodzę do przekonania,—mówiła dalej, zwracając się do Sępińskiego, że nie należy nigdy wyjeżdżać zagranicę na czas dłuższy. Ludzie mają tak krótką pamięć a rzeczy tak się zmieniają, że często niema już do kogo, ani do czego powracać.

— Panie najdłużej zapewne bawiły we Włoszech? — zapytał Sępiński, by zmienić drażliwy początek rozmowy.

— Tak, panie, — rok blisko. — Miałam czas poznać i pokochać Włochy. Najpiękniejsze wspomnienia mego życia przywiązane są do krainy, która tak dziwnie usposabia do marzeń, rojeń najrozkoszniejszych, do zapomnienia o wszystkim co boli w terażniejszości. Pan byłeś we Włoszech?

— Byłem—odrzekł Sępiński, przepędziłem tam zimę całą — i to w tym jeszcze wieku, w którym się jest skłonny do marzeń. Kochałem się w klasycznej krainie, jak pani.

— Czy nie znajdujesz pan, że przywiązanie podobne jest niezmiennem, wiecznotrwałem, jak wiekuista jest i skłonność do marzeń, którą pan zdajesz się uważać za gorączkę młodości.

— Owszem, Włochy zawsze muszą czarować, ale nasza wrażliwość na czary tego rodzaju zmienia się z czasem, staje się może głębszą, ale nie

tak łatwą. — Zresztą — przywiązanie do własnego kraju wytwarza tęsknotę, która w końcu staje się przeszkodą do wrażeń estetycznych. — Ja w końcu pobytu już tego doznałem..

— Słodkie uczucie! — nie miałeś więc pan powódu powtórzyć z Byronem: *po co mam płakać? — za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze?* — Byłeś pan w Sorrento? w Kampanii rzymskiej? w Neapolu? na Wezuwiuszu? w Palermo?...

Zaczęła się zwykła rozmowa turystów, którzy cieszą się znalazłszy kogoś, co był gdzie oni byli, i mogą się z nim wrażeniami podzielić. — Panna Laura mówiła z entuzjazmem, z namiętnem uwielbieniem włoskiej krainy, — co chwila z ust jej wybiegało nazwisko nowe, co chwila miała gotową cytataę Danta, Petrarki, Alfierogo, Leopardiego, lub Musseta i Byrona; — oczy jej gorączkowo błyszczały, pierś wznosiła się gwałtowniej, zdawało się, że czuła powietrze téj krainy, że wyobraźnia jej pod włoskiem niebem miała swą ziemię obiecaną a zarazem raj utracony. Zapał ten rozgrzewał Sępińskiego, z początku zimny, wypierający się możliwości marzeń, dopomagał jej pamięci, sam kreślił obrazy niegdyś widziane, — oboje tak zajęli się sobą, że Łomnicki mógł spokojnie ich studyować. Podziwiał zapał artystyczny i fantazyą poetyczną kobiety, w której entuzjazm nie wierzył, podziwiał świetną, porywającą wymowę i tę władzę szczególną, którą mogła robić z siebie wszystko co zechce. — Widział przed

sobą młode, rozmarzone, poetyczne, szczere dziewczę i nie mógł prawie uwierzyć, że to tylko rola, że to rozmyślna i z góry ułożona gra kokieteryi, — a przecież był pewny, że tak jest.

Cieszył się, że o nim zapomniano, że nieznamość Włoch odbierała mu prawo do udziału w rozmowie, bo wolał być tój komedyi widzem, niż aktorem.

W ten sposób, niekiedy tylko odzywając się dorywczo, kilkoma słowy, przez całą godzinę patrzył na odbywający się przed nim pojedynek stałości mężkiej z kokieterią kobiecą; widział, jak stałość owa upadała pod silnemi ciosami uroczych spojrzeń, uśmiechów i westchnień — i nie dziwił się temu, — i on bowiem upadał w ten sposób i jemu się zdarzało wyjeżdżać z Małej Łączki błędnym rycerzem panny Laury, gotowym kruszyć kopje o jój anielstwo, — dopiero po pewnym czasie odzyskiwał przytomność i powtarzał słowa pacierza: i nie wódź nas na pokuszenie! Słyszał w tój chwili znajome mu dobrze zwroty retoryczne, cytaty i porównania — a jednak słuchał ich znowu z przyjemnością.

Tymczasem burza rozigrała się w najlepsze, grzmoty wstrząsały ziemią — Sępiński i panna byli pod włoskiem niebem.

— Mówiłeś pan, że dręczyła cię we Włoszech tąsknota... O! rozumiem i ja to uczucie, doznawałam go podobnie, i często. Ale, choćbym przez to stracić miała szacunek pański, wyznam, że

smutno, bardzo smutno było mi wracać do kraju. Klasyczne ruiny — to arcydzieła sztuki, można się w nich rozmiłować i przy nich rozmarzyć, bo one nas nie boją! Groby cesarów, katakumby nawet — to nie nasze cmentarze i mogiły! Ciężko więc wracać, gdy się wrócić ma do ruin tak bolesnych, tak świeżych, a z naszej i nie z naszej często winy powstałych...

Zamyśliła się smutno panna, milczał Sępiński, wiedząc o czem myślała, — aż nagle błyskawica rozświeciła pokój cały i grzmot przerażający zabrzmiał, aż szyby jęknęły.

— Memento mori! szepnęła panna Laura.

— Pani się nie lęka grzmotów? — zapytał Łomnicki.

— Nie, wolę je, niż ustawiczne szmery jesiennej słoty i przykre zawrozenia wichrów. Zresztą — podczas burzy zwykłam grać, dziką harmonię natury harmonią sztuki łagodzę — i wtedy nie dbam o pioruny.

— Więc niech pani i teraz nie odstępuje od swego zwyczaju! — dodał prosząco Sępiński, — burza będzie orkiestrą towarzyszącą grze.

— Dobrze — zawołała z zapalem Laura, — a oczy jej błysnęły fosforycznie.

Siadła do fortepjanu, powiodła białą rączką po czole i uderzyła w klawisze.

Był to znowu Bethowen, ale jakże inny od tego, którego grała panna Ewelina. Zdziwił się Sępiński siłą tych drobnych rąk i ich błyskawiczną

szybkością. — Ale siła i biegłość nie były wyłącznemi zaletami téj gry: wiała z niéj namiętność gorąca, iście południowa, czuć było głębokość żalu i bólu, nerwowy zapal kobiecy i mężką moc uczucia zarazem, — była w tem burza wewnętrzna a przytem karność sztuki nieposzlakowana, — Sępiński musiał przyznać, że Laura jest wirtuozką niezwykłą.

Kiedy ostatnie tony skonały w przestrzeni, nikt nie miał nic do powiedzenia, — grająca uśmiechnęła się — był to jéj tryumf.

W téj chwili weszła matka, jak zwykle uśmiechnięta i fertyczna, zaczęła się witać serdecznie, dziękować, mówiła coś o deszczu i reumatyzmie, goście się uśmiechali, kłaniali, ale wrażenie tylko co skończonej gry nie dało im nic zrozumieć z trywialnej prozy, którą przemawiała pani Karpińska.

Rozmowa nie mogła się jakoś skleić, ubolewano tylko nad babiną, która pomimo przytępionego słuchu nie mogła znosić grzmotów i za każdym piorunem podskakiwała z miejsca.

— Lorciu, powiedz niech dadzą światło, będzie nam przyjemniej.

Nim jednak panna miała czas spełnić polecenie matki, wszedł lokaj, prosząc do herbaty.

Tu w pokoju stołowym czekała już na gości Madame Rose, niegdyś nauczycielka panny, a teraz właściwa gospodyni tego domu, matka bowiem ani córka nie mieszały się do niczego.

Z powierzchownością Madame Rose trzeba było

się oswoić, to też na Sepińskim zrobiła wielkie wrażenie. Osoba pięćdziesięcioletnia, z ogromnym tupetem włosów trefionych, mocno w pasie ściśnięta, wymalowana w sposób uderzający, z ucerzonemi brwiami, dwiema szczękami zębów, z których zadnego nie brakowało, gdyż wszystkie były fałszywe, Madame Rose miała pretensję podobania się młodym ludziom i kokieterią najgorszego gatunku. W uszach nosiła obręcze złota, łańcuch złoty od zegarka na szyi, na palcach chudych i niestaranie utrzymanych kilkanaście przeróżnych pierścieni, na rękach bransolety, na żyłastej szyi medalion, w którym możnaby umieścić szwadron cały. Zdawało się, że tylko wzgląd na uprzedzenia europejskie, nie pozwalał jej ozdobić nosa złotą obrączką, według mody wysp Sandwickich. To też z całej twarzy ta jedna tylko część nie była przyozdobioną.

Madame Rose nie zwykła się liczyć z przesądami, lubiła dysputować o Bogu i Świętych, miała liczne wątpliwości co do podań biblijnych, ceniła rozum czysty, którego przedstawicielem był dla niej Wolter, lubiła czytać nad wszystko Crebillona, de Sade'a a od biedy i Sue'go, uważała za największy błąd natury, że macierzyństwo zrobiła wyłącznym udziałem kobiet, — słowem był to *esprit fort* w najbujniejszym rozkwicie.

Cierpką herbatę, homeopatyczne bułeczki i problematyczne masło wynagradzała słodyczą swęj wymowy. Egzaltowała się, gestykulowała, prze-

wracała oczy, nerwowe ruchy jej powiek i warg występowały w sposób tak zajmujący, że Sępiński nie miał odwagi ust otworzyć i tylko Łomnicki, do którego czuła osobliwą sympatyę, prawil jej komplementa, prowadził spory i dostał kilka kłapsów i kilkadziesiąt rokosznych uśmiechów.

Panna Laura była tēm mocno zaniepokojoną, usiłowała odwrócić uwagę Sępińskiego, zacinała usta, czerwieniła się,—jak na toż Madame Rose była dziś osobliwie ozywioną i nie jej werwy przerwać nie mogło.

Jakoś się herbata prędko skończyła, wrócono więc do salonu, gdzie panna znowu siadła do fortepianu, by jak poprzednio grzmoty, zagłuszyć gadanie dawniej nauczycielki i przebłagać za nią Sępińskiego.

Tym razem, z porady matki, przyszło z kolei do śpiewu. Laura namyslała się przez chwilę, jakby zbierając rozproszone myśli, zagrała najpierw jakąś melodyjną przegrywkę, potem inną znowu smętniejszą, wreszcie zaśpiewała: *Znasz li ten kraj?*

Głos to był kontraltowy, dźwięczny, metaliczny, giętki, dobrej szkoły a świeży i pełny. Płynął on swobodnie, łatwo i naturalnie, śpiewała jak wiejskie dziewczątka w ogrodzie, potrzebujące wyspiewać wezbrane w piersi uczucia.

Sępiński zapomniał o istnieniu Madame Rose,—owszem, jak w bajkach ludowych przy pięknem dziewczęciu figuruje zwykle jakaś potworna czarownica, nie odbierając mu wdzięku i uroku, tak

może po przerażającym wrażeniu francuzicy, ten śpiew dziewiczy, czysty, z głębi duszy płynący miał tém więcej uroku i magicznej siły.

Jakaż to szkoda, myślał sobie, że tyle talentu, takie niepospolite zdolności marnować się muszą w otoczeniu, które ich ani ocenić ani zrozumieć nie może. Mężczyzna nawet w takich warunkach musiałby się stać mizantropem i fantastykiem— a cóż dopiero młoda kobieta! Czuć własną wartość i być zupełnie niepoznanym — nie jest-że to bolesnem? możnaż się dziwić, że się w końcu przychodzi do pomiatania ludźmi i ich opinią? Taka дума—to proste następstwo fatalnych okoliczności. Talent połączony z tak zywą wyobraźnią i wrażliwością jest kwiatem egzotycznym. W pośród mroźnego otoczenia stula listki, kurczy się i zamyka, — w atmosferze ciepła i miłości rozwinąłby się wspaniale w pełnym blasku swój krasny...

Tak dumal Sępiński a Laura improwizowała na fortepianie, z pod jej ręki płynęły coraz smutniejsze, coraz uroczystsze akordy, wreszcie, niby wyraz tęsknoty ją uciskającej, nowy rozległ się śpiew: *Aniele strózu mój duszy...*

Łomnicki, jak w tęczę patrzył w twarz śpiewającej. Wiedział, że w duszy jej nie było miejsca na uczucia religijne, że ekstaza, na której skrzydłach duch ulatuje ku niebu, obcą dla niej była zupełnie,—wiedział o tem więc badał, czy choć ślad udania odbije się na jej twarzy. Nie! nie by-



ło żadnego śladu,— twarz jaśniała natchnieniem, przejęciem się serdecznem, w głosie były łzy, była skarga wierzącej duszy.

— A może ja się uprzedzam istotnie — pytał sam siebie Łomnicki—dlaczegożby nie miała mieć chwil przynajmniej wyższego podniesienia ducha, nastroju religijnego?

Tak, odpowiadał sobie,— ale czemu ta chwila przyszła właśnie wtedy, gdy śpiewu słuchał człowiek poważny, ze stanowiskiem, zamożny i szukający żony?...

Sępiński nie wątpił wcale,—kobieta, w której grze, w śpiewie tyle było uczucia, zapału serdecznego, prawdy— nie mogła być komedyantką, nie mogła kłamać! Na tém białem czole świecił chryzmat natchnienia, z tych pięknych oczu patrzyła piękna dusza—Sępiński nie mógł wątpić.

— Dziękuję pani serdecznie — rzekł, ściskając białą rączkę Laury, gdy wstała od fortepianu— takiego śpiewu i takiej muzyki nie słyszałem już dawno. Ale miłośnicy sztuki są jak kapryśne dzieci, wiecznie im za mało, mają pragnienia nienasycone. Pozwoliła mi pani poznać dwie strony swego talentu,—wiem, że jest jeszcze trzecia, a tój jestem najciekawszy...

— Potrącasz pan o najdrażliwszą strunę,—odrzekła z uśmiechem—wyznaję, że pragnęłabym mieć w panu przyjaciela mojej muzy, jak nim był kiedyś pan Łomnicki, póki się przyjaźń ta nie rozbiła o różnicę przekonań. Ale—daruj pan, stałam

się na tym punkcie bardzo drażliwą, — po muzyce i śpiewie poezya! zakrawałoby to na popis, nie mogę dziś czytać. Zresztą — nieprawdaż panie Łomnicki? opinia moja pod tym względem jest tak smutna, że sama myśl o niej pozbawiałaby mnie tchu w piersi. Wszak wiedzą o tém wszyscy w okolicy, że o niczem nie myślę tylko o popisowaniu się, że żadna jestem oklasków i kadzideł...

— Nie zdaje mi się, pani,—bym dał jej powód do podejrzywania mnie o taką opinię— przemówił Łomnicki.

— Być może,—my kobiety mamy nasze przeczucia i instynkta, które często się budzą Bóg wie jak i zkad... a wierzymy im nieraz więcej niż faktom. Powtarzam jednak— dodała zwracając się do Sępińskiego, — że pragnę mieć w panu przyjaciela mojego pióra, więc jeżeli to nie raz ostatni widzimy go w naszym domu,—postaram się przedstawić mu moje prace.

— Po spełnienie takiej obietnicy stawię się niezwłocznie.

— Będzie to dla mnie uroczysta chwila, — rzekła panna.—Podobno matki największą otaczają miłością te właśnie dzieci, których ułomność albo nieudolność pozbawiają miłości ludzkiej. Ja takie właśnie mam przywiązanie do moich tworców literackich, obmawianych i potępianych.

Sępiński przyrzekł raz jeszcze pospieszyć jak najprędzej i zaczęto się zegnać. Burza już przeszła i powóz czekał przed gankiem.

Pani Karpińska zapraszała jeszcze na kolację, ale goście wymówili się pod pozorem bardzo ciemnej nocy i odjechali.

Laura długo stała przy oknie, patrząc za odjeżdżającymi, potem przeszła do swego pokoju i zaczęła przeglądać rękopisma rozrzucone po biurku.

— Dajcie mi punkt oparcia a ziemię przewrócę, powiedział Archimedes. Czuję to co on czuł, mówiąc te wielkie słowa. Marzenia moich bezsennych nocy,—czy wy staniecie się jawą? czy świat was ujrzy?

Wpadła madame Rose rozpromieniona niezwykle.

— Więc cóż? — zawołała akcentem paryzkich praczek—już go masz?

— Bylebyście wy z matką nie zepsuły wszystkiego—będę go miała.

— Niewdzięczna! nie uważałaś jak kokietowałam Łomnickiego?

— A cóż to mnie obchodzi?

— Jakto nic ci na tém nie zależy, by on nie przeszkadzał?

— Cóż za naiwność! Czyż możesz przypuszczać, że dotąd nie powiedział już wszystkiego?!

— Ależ toby było fatalne!

— Nie lękaj się—to już do mnie należy.

#### IV.

— Mój kochany Adamie, powiedział nazajutrz Łomnicki do przyjaciela, zmuszony będę na kilka dni pozbawić się przyjemności twego towarzystwa. Wezwano mię właśnie na superarbitra przy podziale majątku sukcesorów sędziego, — nie mogę się od tego uchylić, — że zaś to dosyć daleko, o kilka mil ztąd, trudno mi będzie co dzień przyjeżdżać.

— Niech Ciebie nie krępuje moja obecność, — zachowaj zupełną swobodę.

— Chciałbym, abyś się i ty czuł panem w tym domu. Do twego wyłącznego rozporządzenia zostawiam Bartka i powóz, — będą czekać na twe skinienie. Moja Michałowa ma polecenie czuwać, byś nie był głodny i dysponować kucharzowi takie tylko potrawy, jakie lubisz, — będzie się z tobą porozumiewała. Zostawiam ci klucze do biblioteki i fortepjanu, — graj, czytaj, spij, jeźdź, bądź zupełnie jak u siebie.

— Poczciwy Erazmie! — jesteś wzorem gościnności.

Uściskali się serdecznie, gospodarz kazał zaprzęgać konie.

— Czy dziś pojedziesz gdzie? — zapytał, porządkując w biórku papiery.

— Nie, nigdzie się nie wybieram, chcę wypocząć.

— Mój drogi, zrobiłbyś mi jedną wielką łaskę!

— Cóż takiego? — słucham, rad będę oddać ci jaką usługę.

— Znajduję tu właśnie jeden dokument, który już oddawna miałem odesłać staremu Przyborskiemu — a wiem, że go będzie w tych dniach potrzebował.

— Mam go oddać? — owszem z największą przyjemnością!

— Ale może nie miałeś zamiaru jechać do Siekierzyniec, to mógłbym posłać....

— Owszem, pojedę, — jeżeli Ci nie zależy na tem, by dziś koniecznie....

— Nie, niema gwałtownej potrzeby.

— Więc pojedę tam jutro.

— Dziękuję ci serdecznie, — a poproś zarazem Przyborskiego, by się wstrzymał przez kilka dni z przysłaniem mi pługa, który sprowadził z Warszawy, bo chciałbym go sam wypróbować. — No — teraz, bądź zdrow! jeszcze raz przepraszam Cię mój drogi, że muszę odjechać, ale za parę dni będę znowu do usług twoich.

Uściskali się — i Łomnicki odjechał.

Sępińskiemu samotność była bardzo pożądaną, — potrzebował przyjść do jakiejś równowagi wrażeń, obrachować się sam z sobą, namyśleć. Czuł, że przebywa chwile, które stanowić będą o całym życiu.

Zapalił cygaro, usiadł na kanapie i siedział tak godzinę, nie ruszając się z miejsca, zatopiony

w myślach. — Pod oknem drzewa szumiały jednostajnie, w pokoju zegar ścienny wtórował myśłom jego, wydzwaniając kwadranse, — zresztą cicho było dokoła, nic nie przerywało zadumy.

Zegar to był stary i miał jeden z tych figłów, którymi dawniej zegary zdobiono: była to głowa w rogatywce umieszczona na tarczy, która w miarę poruszania się wahadła kiwała się ustawicznie w prawo i w lewo. Głowa ta zdawała się przedrzeźniać zadumanego Sępińskiego, a że był niepokojny i podrażniony, odwrócił się od niej.

Wpadły mu w oko albumy leżące na półkach, których dotąd nie oglądał, wziął je do ręki i jeden z nich otworzył. Znalazł w nim całą galeryę panien okolicznych i kilka fotografii panny Laury.

— Dlaczego kilka? — pytał się podejrzliwie, przyglądając się im z upodobaniem, — czyby się w niej Łomnicki kochał kiedy? — A czyżbyś się temu dziwił? — pytała go panna, czy to trudno zakochać się we mnie? — i wdzięcznie przechylała główkę, mróżyła oczy, lub śmiałem nęciła go wejrzaniem.

Znalazł tam i pannę Ewelinę, jak zawsze pogodną i poważną, — porównywał je, dumał znowu, aż z zadumy zbudziło go wejście pani Michałowej. Klucznica Łomnickiego przyszła pytać gdzie każe zastawić obiad. Zdziwił się, że tak prędko upłynęły godziny, prosił by dla niego w niczem nie zmieniano porządku.

Po obiedzie chciał zasnąć, ale napróżno, — od-

stępowały go zwykle przyzwyczajenia. Wziął gazetę ze stołu, czytał ją machinalnie — niczego się nie dowiedział.—Zdecydował się znowu zdrzemnąć, gdy turkot jakiś na dziedzińcu zwrócił jego uwagę. Wyjrzał oknem, przed gankiem stał wózek zaprzężony w parę nędznych koni i gruby, siwy szlachcic rozmawiał z Bartkiem.

— Wyjechał? — kiedy?

— Dziś zrana.

— Prędko wróci?

— Może jutro na wieczór, a może i za dni kilka.

— Otoż bieda, Mości Dobrodzieju! — ja mam taki pilny interes. Dokądże pan pojechał.

— Do Sidorówki.

— Tam, do licha! — a toć pięć mil bitych!

— Tak, panie, — liczą nawet sześć.

— Co tu począć! co tu począć? — biadał szlachcic, skrobiąc się w głowę.

Sepiński wyszedł na ganek.

— Może ja się na co panu przydam,—to służę.

— A z kimże mam szczęście mówić? — zapytał szlachcic, złącząc z bryczki i zdejmując rogatywkę.

— Jestem Sepiński, przyjaciel gospodarza tego domu a obecnie gość u niego.

— No, to chwała Bogu, przynajmniej z Panem Dobrodziejem pogadam, to mi ulży — Bartłomiej Czuryło, do usług, dzierzawca z Konopianki.

— Proszę, rzekł Adam, wskazując mu drogę.

— Pokornie dziękuję, ależ niechże Pan Dobrodziej naprzód!

— Jestem tu wice-gospodarzem — proszę.

— Bóg zapłać, Mości Dobrodzieju, — człowiek się strząsał a spocił okrutnie, jadę od rana.

— Niechże Pan Dobrodziej siada i spocznie, — rad będę mu w czem usłużyć.

— Pokornie dziękuję. I siadł ocierając kraciatą chustką spocone czoło. Oj panie Dobrodzieju, w jakich podłych czasach żyjemy, to niech ręka Boska broni!

Adam przysunął mu cygara.

— Dziękuję pokornie, ale jeżeli już pan Dobrodziej tak łaskaw, to sobie fajkę zakurzę.

Wyjął z kieszeni szerokich hajdawerów krótką antypkę, z drugiej kaptuch tytoniu i krzesiwo i zaczął naładowywać fajkę.

— Podłe czasy, powiadam Panu Dobrodziejowi, ale podli i ludzie, przysięgam Bogu!

— Czy mam wypręgać? — zapytał przez okno woźnica pana Bartłomieja.

— Nie trzeba! zajedziemy na noc do miasteczka, do Mordka mam interes i tam parę jeszcze fatalachów się znajdzie do domu; niech się wysapia, Mości Dobrodzieju, i tyle.

Krzesiwem zapalił kawałek hubki, wpakował do fajki, pociągnął kilka razy, splunął i zaczął znowu.

— A niech ręka Boska broni,—powiadam Panu Dobrodziejowi na obwinienie palca nikomu nie można wierzyć. Mówią — żydzi! żydzi! — żaden żyd, Mości Dobrodzieju, nie wykierował mnie tak, jak ta baba!



— O kim Pan Dobrodziej mówi?

— A o kimże jak nie o tój Karpińskiej! — bo-  
dajbym o niej nigdy nie słyszał. I nie byłoby,  
Mości Dobrodzieju, do tego przyszło, ale kiedybo  
to najgorzej z babami. Moja jak zaczęła molestow-  
wać: — zmiłuj się Bartłomciu, — a toć sierota, nie  
godzi się odmawiać, a będziesz miał na sumieniu,  
a zrób to dla mnie, a tego, drugie, trzecie, — zgłu-  
piałem i dałem!

— O cóż tu idzie? — zapytał Sępiński, — nie  
znam sprawy.

— Zaraz, Panie Dobrodzieju, zaraz opowiem.  
Tak było. Cztery lata temu, pamiętam, miałem  
właśnie jechać do hrabiego, bo człowiek po żni-  
wach miał trochę grosza a u nas to tak panie, że  
co kto ma to zaraz hrabiemu na procent. Hypo-  
teka pewna, dziesięć wsi, jak obszył, Mości Do-  
brodzieju, pan całą gębą, a — choć ja tam, Mości  
Dobr. panom się kłaniać nie lubię, ale taki co pan  
to pan i basta. Mówię tedy do żony — pojedę!  
Nie, mówi, jutro pojedziesz, bo dziś chmurno ja-  
koś, będziesz miał burzę w drodze. Ot — Mości  
Dobrodzieju, żeby to człowiek mógł wiedzieć co  
go spotka, — jechałbym, choćby we mnie siarczy-  
ste pioruny trzaskały!

— Więc nie pojechałeś pan?

— Nie pojechałem! Oteż tedy, Mości Dobro-  
dzieju, położyłem ja się po obiedzie przedrzemać  
się trochę, — w tem pif, paf! wałą z bicza, zajęz-  
dza ktoś z fantazyą przed dom, — żona wybiegła,

patrzy: karetą, sześć koni, coś, tego! wielkie święto! — kto przyjechał? — panna Karpińska z Małej Łączki. Nie znałem jej jako żywo, — słyszał tylko człowiek o Małej Łączce, kiedyś było to złote jabłko, — nieboszczyka jej dziada jeszcze znałem, co na pieniądzech siedział, słyszałem, że Karpiński zadłużył wieś, że pan Lipieniecki wziął ją w opiekę — ot i wszystko. — Wchodzi tedy panna, — patrzę, Mości Dobrodzieju, w czerni, jak zakonnica, z żoną moją się wita, dzieci całuje, czegoż chce? — okazuje się, że pieniądze.

Pan Bartłomiej pociągnął znów kilka razy z fajki i mówił dalej.

— Nie głupim Prądyński! — pomyślałem sobie, — po co mi tam szukać guza, kiedy mam pod bokiem hrabiego! Ale — gdzie tam panie, który z nas nie głupi, kiedy się tylko baby na nas uwezma? Najmędrszego tak ujeżdżą, ugadają, tak mu głowę zawrócą, że ani się spostrzeże, jak już po głupstwie — a potem rób co chcesz! Więc, Mości Dobrodzieju, historia cała, — że matka jej umierająca, że muszą jechać co żywo za granicę do wód, że nigdzie tak prędko nie mogą dostać pieniędzy, bo u żydów brać nie chcą, że słyszały o mojej zacności, Mości Dobrodzieju, o moich obywatelskich uczuciach, tego, drugie, trzecie, — jak to pan wiesz, kiedy babom potrzeba, to zrobią z człowieka anioła, — a nie zrób czego chcą — z anioła zrobi się djabeł!

Splunął pan Bartłomiej, — poprawił się w siedzeniu, wąsa musnął i ciągnął znowu.

— Nasłuchałem się ja wtedy miodowych słówek za wszystkie czasy, byłem i obywatelem, dobrodziejem i sąsiadem — piękne mi sąsiedztwo, Mości Dobrodzieju, ośm mil! — Żona moja przypomniała sobie, że miała jakiegoś Karpińskiego w rodzie.— Jak zaczęły, jak zaczęły, ta sobie a ta sobie, wyjąłem Mości Dobrodzieju tysiąc rubelków, krwawo zarobionych i dałem, żeby ta nieszczęśliwa umierająca mogła wyjechać! Panna dała mi uroczyste słowo honoru, że dług mój uważa za święty, że ona sama o nim pamiętać będzie i — uwierzyłem! osioł jakiś, uwierzyłem! — Śmiejesz się pan, — to tak się zdaje, jakbyś się znalazł na mojem miejscu, a taka ładna dziewczyna zaczęła się do niego zalecać, — bo dalibóg ładna była, — ani słowa ładna! — zrobiłbyś takie same głupstwo jak i ja! albo i większe.

— Więc pan dotychczas nie odebrałeś swych pieniędzy?

— Nietylko kapitału — procentu nie widziałem ani na oko, jak się to Panu Dobrodziejowi podoba? A ta umierająca niby matka zdrowiusienka była, jak się dowiedziałem; potem już łaząc po jakichś błotach weneckich i rzymskich, reumatyzmu się nabawiła, ale to głupstwo. — Widzisz pan co za łgarstwo? Mówiła, że u żydów pożyczać nie chce — łgarstwo panie! — żaden żyd pożyczycie nie chciał, — a podobno takich jak ja znalazła więcej. — A! to szkaradne! Mości Dobrodzieju!

— Bieda, Łaskawy Panie! bieda, — potrzeba

mieć wzgląd, — kobiety same, opuszczone, bez opieki, nie godzi się tak potępiać.

— A kiedy bieda, to niechże nie latają zagranicę, za cudzy grosz krwawo nabyty!—bieda, Mości Dobrodzieju, siedzi w domu i pracuje a nie trwoni, Mości Dobrodzieju!

— Jestem pewny, że Pan Dobrodziej należność swoją odbierzesz, — czasem tylko najlepsze chęci nic nie pomogą, gdzie jest niemożność.

— Dobre chęci?—Furda, Mości Dobrodzieju,—niema tam dobrych chęci! A tożbym mógł dla samego honoru — przynajmniej procent dostać. Gdzie tam, panie! honor u nas, a szczególnie honor kobiecey — to bardzo licha hipoteka, przysięgam Bogu!

— Łaskawy Panie, — podzielam pańskie oburzenie i współczuję, ależ na Boga nie godzi się tak odsądzać od czci i od wiary ubogiej sieroty. Pan Dobrodziej sam masz dzieci, toć powinieneś mieć wzgląd!

— Toż ja tylko dla dzieci moich chcę wydrzeć te nieszczęśliwe pieniądze, — inaczej plunąłbym na wszystko i powiedział sobie, że tysiąc rubli zapłaciłem za uśmiech ładnego buziaka. Ale dzieci panie! co dzieci winne? — mam dwóch chłopców w szkołach, nie ma ich teraz o czym wysłać do miasta! Nauki się zaczęły dawno panie — a ja od Sierpnia trzeci raz już tu jestem — i nic a nic. Miałem nadzieję, że mi pan Łomnicki coś pomoże, bo obiecał przemówić za mną. Tymczasem, jak

na toż, — nie ma go! Chciałem już prosić hrabiego — hrabia za granicą i ani rusz!

— A cóż panu w Małej Łączce powiedziano?

Szlachcie wybuchnął.

— Powiedziano, że niema nikogo w domu! ot co powiedziano. O! jak Bóg w niebie nie daruję! zemszczę się! cały powiat poruszę! pójdą z torbami! — przysięgam na Boga, pójdą! — niech za moją krwawicę mam przynajmniej satysfakcyę.

— Nie byłaby to dla pana satysfakcyja żadna, a mścić się nad bezbronnemi kobietami to ani po szlachecku, ani po chrześcijańsku.

— Wiem, wiem, Mości Dobrodzieju, ale co mam począć!

— Czekałeś pan cztery lata, poczekaj jsczycie kilka miesięcy, — słyszałem, że ma przyjść do sprzedaży majątku, oddadzą panu.

— Kiedy tam długów więcej niż majątku.

— Dług pański święty, — słyszałem to od Łomnickiego, wspominał mi o panu.

— Wspominał? — niechże mu Bóg błogosławi, że o tem myśli.

— Nawet pewny jestem, że gdyby był, dostałbyś pan co a conto.

— Cóż kiedy go niema! — a tu, panie, gwałt! — czas ucieka, moi chłopcy rok stracić mogą, — gdyby choć sto rubli wyrwać — zarazbym ich wyprawiał.

— I zaniechałbyś pan zemsty?

— A co mi po zemście, Mości Dobrodzieju!

człowiek, kiedy go bieda przycisnie, Pana Boga by sprocesował. Ale — na co mi to, człowiek zemstą nie żyje.

— Na upewnienie pana, że swoje odzyskasz, — mogę mu w imieniu Łomnickiego — złożyć sto rubli.

— Och! Dobrodzieju! Łaskawco! zrobiłbyś mi wielką przysługę!

Sępiński sięgnął po pugilares.

— Mogę panu służyć, ale pod warunkiem, że zaczekasz spokojnie aż do chwili sprzedaży majątku. Wiem, że na tem Łomnickiemu zależy.

— Ależ, Dobrodzieju! będę milczał, przysięgam Bogu! Anioł by się zniecierpliwił, gdyby mu przyszło tyle czekać, ale będę czekał jeszcze — coż począć!

Sępiński wypłacił pieniądze, szlachcic dał pokwitowanie i odjechał uspokojony.

Adam wyszedł do ogrodu, czuł się znowu skwaszonym, potrzebował się rozerwać.

Ogród był duży i bardzo starannie utrzymany, gatunki drzew najlepsze, mnóstwo szczepów, owoce niezwykłej wielkości, kwiaty wspaniałe, róże w tysiącnych odmianach, wszystko to okazywało obecność starannej i umiejętnej ręki. — Łomnicki i sam był zamiłowanym w drzewach i kwiatach i miał dobrego ogrodnika; — Adam, będący również amatorem w tym względzie, z przyjemnością przypatrywał się wszystkiemu. — Ogródnik zobaczywszy go z daleka, przyniósł kosz wybornych

gruszek i jabłek, — chciał z nim rozmówić się Sępiński, ale jakoś rozmowa się nie kleiła; — poszedł więc dalej, namyślając się co miał począć; — spojrzął na zegarek — jechać do Siekierzyniec zdawało mu się za późno, — mieszkaniec miasta czuł, że znudziłby się na wsi prędko.

Przyszło mu na myśl, czyby nie najlepiej zrobił, wracając do miasta, — nie zdawało mu się, by mógł w ciągu kilku tygodni zdecydować się na krok tak stanowczy i ważny, jak wybór żony. W innych rzeczach energiczny i śmiały w tym razie wahał się, namyślał, gdyż pojmował zupełnie ważność sprawy.

Ale znowu, gdy pomyślał, że powróci do swego kawalerskiego mieszkania, by już przez rok cały sam jeden popychać taczkę powszedniego życia, gdy wyobraził sobie długie samotne wieczory, w ciągu których tyle razy marzył o szczęściu rodzinnem, o płonącym kominku, przy którymby zasiadł przy boku kobiety rozumnej, dobrej a kochającej go, u nóg swych widząc igrające dziatki, o małym kółku ludzi wykształconych i uczciwych, którzyby przyszli ogrzać się przy ich ognisku, gdy pomyślał sobie, że to wszystko, coby już mógł urzeczywistnić, pozostanie i nadal marzeniem tylko — i to Bóg wie na jak długo, — smutno mu się robiło i postanawiał bądź co bądź skończyć już raz stanowczo.

Pograżony w takich myślach szedł wprost przed siebie, aż zatrzymał się w końcu ogrodu, gdzie się

zaczynał ogród warzywny. — Znalazł tu klucznicę Łomnickiego, która stała, wzięwszy się za boki, gderając na jakąś Magdę, że zamiast pracować gzy wyprawia! — Że zaś pani Michałowa używała przytem i innych dobitniejszych wyrażeń, zawstydziło ją niespodziewane zjawienie się Adama.

— Bo to nie da Pan Dobrodziej wiary, — zaczęła wprost, zwracając się do niego, — jak z tymi ludźmi rady sobie dać nie można. Tak ich wszystkich rozpieścił pan Łomnicki, że trudno z nimi dojść końca.

Adam spojrział najprzód na ową Magdę, jedyną w tej chwili reprezentantkę owych *ludzi* rozpieszczonych przez Łomnickiego, potem zrobił uwagę, iż najlepiejby było, żeby się *pan* postarał o *panią*.

— Ja to dawno mówię, proszę Pana Dobrodzieja, że byłoby najlepiej, choć *jenszy* mówią, że u kawalera lepsza służba niż u żonatego, — jabym tam zaraz pana Łomnickiego żeniła.

— A z kim?

— Alboż to u nas mało panien, proszę Pana Dobrodzieja, coby z pocałowaniem ręki poszła każda! Bogu dzięki, jest z czego wybierać, byle tylko było komu. Ale na pana Łomnickiego przestałam już liczyć, boi się małżeństwa jak ognia. Już tyle razy było — ot, ot — tylko iść do ślubu, i z panną Lipieniecką i z panną Karpińską — z tego wszystkiego nic.

— Czy istotnie bywało tak blisko? — zapytał Sępiński wracając do ogrodu, dokąd mu pani Michałowa towarzyszyła, potrząsając kluczami.



— Tak, tak, — a jakże. Czy to raz bywało przez całe lato szły bukiety do Małej Łączki, albo do Siekierzyniec, chłopaki latały z książkami, ta gazetami, — ludzie mówili: Łomnicki żeni się, — no i nic, został jak przedtem kawalerem.

— A kogożby pani swatała z Erazmem? pewnie pannę Przyborską?

— Ot wie Pan Dobrodziej, że nie. Chwalą ją *jenszy*, ale mnie się ona nie podoba. Bo, proszę pana, czy to panience przystoi chodzić po polach, zaglądać do młynów, do obory, do pasieki, wszędzie! Klucznica jej to się naopowiadać nie mogła, jak marudzi a wszystko widzieć musi. Powiada— nie mogłam już dłużej wytrzymać.— A co do *adukacyi*, to proszę pana, ja się na tem nie znam, ale mówił mi organista, a on się zna na muzyce kapitalnie, więc mówił że panna Ewelina nic nie umie. A żeby kiedy po francusku mówiła — nigdy nie słyszałam, choć z kościoła, proszę pana, jak damy wychodzą w niedzielę, to precz po francusku gadają! Jabym wolała pannę Karpińską.

— Pannę Laure? zapytał Sępiński.

— Tak, pannę Laure. To panienka ładna, co się nazywa, i pięknie gra i śpiewa, dawniej, jak w kościele śpiewała, było co słuchać, proszę pana! — Umie po francusku i po niemiecku, z żydami rozmawia, proszę pana, jak niemka. Słyszę i angielskie książki czyta.—Do tego, panienka grzeczna i delikatna, nigdy się do niczego nie miesza. — Kiedy pan Łomnicki tam jeździł często, to mnie

panna Laura przysyłała różne prezenta i upominki, — dalibóg że! raz w raz bywało przysyła—byłam już pewną, że się pan Łomnicki raz nareszcie ożeni,—gdzie tam! Namawiałam go, radziłam, — na nic się nie zdało.

— Cóż mu przeszkadzało?

— A cóż jak nie ludzkie gadania! Ja mówiłam mu: niech pan plunie na to wszystko,—nie posłuchał. Mój Boże! czy to o jednej panie ludzie gadali, a kiedy wyszła za męża, mąż nie żałował. — Byłam raz u jednych państwa, których ludzie tak samo koniecznie chcieli rozdzielić. Co już gadali —to aż uszy wiedły. On nie zważał na to wszystko, ożenił się, ona się do niego przywiązała, była mu wierną i żyli jak Pan Bóg przykazał.—Żebyś była mężczyzną, tobym nikogo nie słuchała! Bo, proszę Pana Dobrodzieja— każda z nas przed ślubem taka i owaka, a po ślubie robi się taka, jaką mąż chce. A czego to panowie z nami nie wyrabiają!

W téj chwili ktoś zdaleka zawołał panią Michałową, przeprosiła więc Adama, że musi go opuścić, — i nie dowiedział się co to panowie wyrabiają.

Do późna przechadzał się po ogrodzie i dumał. Chodziło mu już o to, czy Łomnicki, jeżeli się kochał niegdyś w Laurze, co zdawało się niewątpliwem, nie zostawał pod wrażeniem osobistego zału, mówiąc o niej tak ostro i namiętnie.—Zazdrość podszeptowała mu inne jeszcze pytanie: jakie by-

ły stosunki Łomnickiego z Laurą i co ich poróżniło?... — Było to błędne kółko, z którego nie umiał wyjść pan Adam.

Nazajutrz po obiedzie wybrał się do Siekierzyniec.

Dzień był pogodny, na polach zaczęto już zniwa, słońce świeciło jasno i jaśniej jakoś zrobiło się na duszy Adama, zdawało mu się, że podobnie jasne dni zapewni sobie na całe życie, gdy się z panną Ewelina ożeni.— Śmiał się w myśli z pani Michałowej i jej opinii o panie Przyborskiej, bawiło go, że chcąc ją potępić, oddawała pochwały, lękał się tylko, czyby panna nie była przeciwną zamieszkaniu w mieście, ona tak zawołana gospodyni.

W takich myślach dojechał do Siekierzyniec i wysiadł z powozu, gdzie go na wstępie powitał ów chłopak w granatowej kurtce oświadczeniem, że pan pojechał do miasteczka a pani leży w łóżku. — Już się Sępiński chciał cofnąć, gdy mu powiedziano: panna Ewelina jest.

Kazał więc zameldować się i poprosić o chwilkę rozmowy. Gdy wszedł do pokoju bawialnego, ukazała się w nim wkrótce panna Ewelina. — Ale, niestety! jakże niekorzystnie dziś wyglądała!

Mizerną była, jakby po bezsennéj nocy, mniej starannie niż dawniej uczesana a na dobitkę, cierpiała widocznie na zęby, twarz podwiązała żółtą chusteczką: — Adam oczom swoim zaledwo uwierzył tak osoba, którą widział przed sobą inną była od panny Eweliny jego marzeń.

— Witam pana, — rzekła, podając mu rękę, — nieodżałowana szkoda, że pan w tak smutnej dla nas przybył chwili. Rodzice moi pragnęli go bardzo widzieć, tymczasem matka ciężko zaniemogła, całą noc dziś spędziliśmy bezsennie, ojciec pojechał do miasteczka i może z lekarzem powróci. Jesteśmy mocno zaniepokojeni.

— Cóż to za rodzaj cierpienia pani Przyborskiej?

— Lekarz nasz powiada, że jest to wada sercowa, — pojmuje pan, że tem więcej niepokojąca. — W dodatku dostałam tak szalonego bólu zębów, że sobie rady dać nie mogę.

— Przepraszam panią najmocniej, że ośmieliłem się być natrętnym w tej chwili, ale miałem polecenie od mego przyjaciela, który na dni kilka wyjechał.

Tu Sępiński oddał, co mu powierzono i powstał, by się pożegnać.

— Naprawdę nie śmiem zatrzymywać pana, bo nie wiem jak prędko ojciec powróci, — ale tak serdecznie chciał się z panem widzieć...

— Mam nadzieję, że cierpienie pani Przyborskiej przeminie i będę miał możliwość jeszcze służyć państwu nie raz przed wyjazdem, teraz proszę tylko oświadczyć rodzicom moje uszanowanie.

Pożegnali się, on wsiadł do powozu i odjechał. Jakże mu żal było, że się wizyta tak fatalnie nie udała! — sympatya jaką miał do panny Eweliny została, ale urok owiej rozmowy przy świetle księ-

życa znikł bez śladu. Niestety! słońce mniej od tamtego dyskretnie pozwoliło mu przekonać się naocznie, że panna była zupełnie nieładna i odkwitająca. Zrobiło to na nim tak przykre wrażenie, iż nie mógł sobie darować, że mu ulegał, po namyśle jednak, dla rozerwania się kazał jechać do Małej Łączki, — zkąd powrócił do domu po północy. Wrócił wzruszony, zajęty, rozmarzony prawie jak młody chłopiec, — deklamacya panny Laury zrobiła na nim silniejsze wrażenie, niż śpiew i muzyka. Był nią porwany i zachwycony. Zachwyt nie oślepił go na pewne ujemności tworców literackich panny Laury, widział ich chorobliwą trochę egzaltację, nastrój pesymistyczny, zwątpienie wiejące zewsząd, ale porywała go siła, śmiałość wyrażen, nowość pomysłów i ten osobliwy rodzaj wiary w siebie, który uważał za dowód siły duchówój. Błuznierstwa nawet nie raziły jego uczuć moralnych, widział w tój młodej, buntującej się przeciw całemu światu istocie, coś demonicznego, ale wyższego. Przypominał sobie warunki w jakich zostawała i rozumiał tę demoniczność — i marzył z uśmiechem, że miłość i przyjaźń potrafią owego demona przywieść napowrót do bram niebieskich, natchnąć wiarą, spokojem ducha i miłością.

Ów wieczór literacki, w ciągu którego mama Karpínska spała w najlepsze na kanapie wyprostowana, śnił mu się w tój nocy. — Widział rozognione zapalem oczy młodej poetki, słyszał jej

głos melodyjny, silny, drzący namiętnem wzruszeniem, trzymał jej drobną, miękką rączkę i przyciskał ją do ust, jak przy pożegnaniu

Obudził się nazajutrz późno, ale czuł się dziwnie rzeźkim, lekkim, jakby odmłodzonym, chodził po ogrodzie, rokoszując się powietrzem jesiennym, przysłuchiwał się szmerowi drzew, mającemu dlań tajemniczą wymowę, wreszcie wkrótce po obiedzie kazał zaprzęgać konie i pojechał znów do Małej Łączki.

Upłynął tydzień cały a Łomnicki nie wracał. Niespodziewanie wypadło mu pojechać jeszcze dalej. Napisał o tem do Adama, przepraszając, że nie może tak prędko jakby pragnął powrócić a z tonu listu widać było, jak gorąco pragnąłby być w domu.

Łomnicki rozumiał całe niebezpieczeństwo zostawienia przyjaciela na dwa tygodnie bez opieki, pod wpływem panny Laury, i nie mylił się, niebezpieczeństwo rosło z dniem każdym. Adam stał się codziennym gościem w Małej Łączce, usiłując wtajemniczyć się we wszystkie usposobienia panny, wracał coraz bardziej olśniony, chwila decydująca zbliżała się gwałtownie, poezye odczytywane wspólnie stawały się niemal tem, czem u Danta przygody Lancelotta dla Franceski i Pawła Rimini.

Po jednym z takich wieczorów Adam powiedział sobie, wracając do domu, że dalsze wahanie się niema celu.—Wprawdzie znajomość jego z Lau-

raż trwała krótko i w zwykłym porządku rzeczy decyzja nie nastąpiłaby tak prędko, ale, jak mówi poeta: *Często chwila jest liczbą — reszta życia zerem*, a takich chwil w stosunku Adama z Laurą było już nie mało.

Nazajutrz wcześniej niż zwykle Sępiński pojechał do Małej Łączki.

Panna Laura przesliczną była tego wieczora; miała na sobie fantastycznego kroju sukienkę blado niebieską, powłoczystą, z lekkiej materyi, mającą u ramion wstążki białe, niby skrzydła, biust wycięty i szerokie rękawy. Odsłoniętą część biustu, ramion i szyję zakrywała zazdrośnie biała, cieniuchna gaza, zakończona szerokim kołnierzem à la Marie Stuart. — Strój ten opięty, ściśle przylegający do ciała, dziwaczny, był mieszaniną różnych epok i czasów—i zdradzał w całości swój rozmysł wytrawnej kokietki; jeżeli jednak chodziło o oczarowanie człowieka już podbitego, — zupełnie był właściwym i odpowiednim. — Czarne lśniące włosy niby dyadem wznosiły się nad czołem, kilka białych nieśmiertelników świeciło w długich warkoczach, jak gwiazdy.

Pani Karpińska uważała za stosowne nie przeszkadzać córce w niczem, uznając jej bezwzględną wyższość. — Dziś miała ciągle jakieś zajęcia gospodarskie, które ją zmuszały do opuszczania salonu, Adam i Laura byli najczęściej sami.

— Czy uwierzy pan, że dziś całą noc spędziłam bezsennie, czytanie wczorajsze sprawiło mi rozkosz, jakiej dawno nie doznawałam. — A nie bierz

pan tego za czyży komplement, — ja tak jestem spragnioną podziału myśli, tak potrzebuję kogoś, przed kim bym się mogła wypowiedać czasem ze wszystkich grzechów moich i, jak wczoraj, otrzymać rozgrzeszenie. Lżej mi na sercu, czuję się silniejszą, lepszą, szczęśliwą prawie. A tak mi brak w naszej okolicy ludzi! tak czuję się bardzo osamotnioną!

— Wspominała pani o Łomnickim, — wszakże to człowiek wykształcony i myślący, — on mógłby być przyjacielem jakiego pani potrzebuje, i był nim podobno dawniej?

— Istotnie, przez jakiś czas zdawało mi się, że możemy się z sobą zrozumieć, że będę miała przynajmniej jednego człowieka z tego świata inteligencji, bez którego niemożliwem stawało mi się życie! — Przekonałam się niestety, że to był błąd.

— Byłbym wdzięczny pani za wyjaśnienie mi tej zagadki, — zagadką jest bowiem dla mnie — co was poróżniło.

— Panu powiem wszystko, bo jesteś przyjacielem p. Łomnickiego. Dla kogo innego to właśnie starczyłoby za powód mileżenia, ale ja — pomawiana przez ludzi o fałszywość, przebiegłość i nie wiem jakie jeszcze wady — ja chcę być przed panem zupełnie szczerą i otwartą, nawet gdy idzie o pańskiego przyjaciela.

— Potrafię ocenić otwartość pani. — Łomnickiego kocham, jest to mój towarzysz od szkolnej ławy, ale ludzie zmieniają się z wiekiem, mógł więc i on wyrobić w sobie usposobienia, których nie



miał dawniej. Kobiety w ogólności mają łatwość w poznawaniu ludzi, pani posiada przytem umiejętność w tym względzie, sądu jej jestem bardzo ciekawy.

— Panie, — ja nikogo nie sądzę, choć jestem przez wszystkich sądzoną i to ostro, niesprawiedliwie sądzoną.—Powiem panu tylko to, co mi się wydaje, co czuję. — Przedewszystkiem więc pan Łomnicki jest człowiekiem tak sympatycznym, że kiedy się nawet zna jego ujemne strony, musi się go lubić. — Dalej, jest to człowiek najlepszego towarzystwa, wykształcony, rozumny, prawy — to wszystko uznaję.

— Cieszę się, że dotychczas nie różnimy się wcale w zdaniu, — rzekł Adam.

— Niestety, tu właśnie zaczniesz się prawdopodobnie różnica.—Mam pana Łomnickiego za człowieka bez charakteru i po kobiecemu wrażliwego na wpływy otoczenia. — Kiedy go poznałam, — a znajomość nasza stara, jak panu wiadomo, — był to człowiek postępowy, obdarzony wysoko rozwiniętym zmysłem krytycznym, niezależny. On jeden bronił mnie wtedy od zarzutów, jakimi mnie wszyscy obarczali, jeden miał odwagę bronić mojego autorstwa, mojej rzekomej emancypacji, mojej osobistej wolności zdania.—Widział jasno przesady i śmieszności towarzyskie, powstawał razem ze mną przeciwko nim, wspólnie dźwigaliśmy jakiś czas gromy opinii rzucające na liberalizm nasz, rzekome herezyje obyczajowe i religijne i t. d.

Wbrew opinii.

7

Sępiński słuchał ze wzrastającym zajęciem.

— Ludzie, jak łatwo się pan domyślisz, zaczęli roztaczać nad nim wpływ reakcyjny, — zajmował stanowisko, które dałoby się wyzyskać na rzecz różnych indywiduów i sprawek sąsiedzkich, wzięto się więc do naginania tego niepodległego ducha, zaczęto mu schlebiać, nęcić go wszelkimi sposobami, starzy, jak Lipieniecki, uważany tu za patoryarchę, człowiek poczciwy, ale dawniej daty, zaczęli egzorcyzmować młodzieńca, prawić mu o tradycjach obywatelskich, o jedności, o cnotach i wzorach przodków, zaczęli go powoływać do udziału w sądach i kompromisach sąsiedzkich, — wszystko to wpływ miało wielki, p. Erazm zaczął się nawracać, zapierał się szatana i pychy jego i jednocześnie on, co był moim sprzymierzeńcem, zaczął na mnie patrzeć jak na zbłąkaną owieczkę. Wtenczas ja zaczęłam tracić dla niego szacunek. Czy nie miałam zasady?

— Nawrócenie pana Erazma przemieniło go prawie.— Stał się gorliwszym niż przedtem gospodarzem, zajął się urządzeniem domu z komfortem i smakiem, sprowadził sobie doskonałego (jak słyszałam—najlepszego w okolicy) kucharza, sam mu dysponował obiady, którymi zachwycali się smakosze okoliczni, piwnicę zaopatrzył w wyborowe wina, ogrodnik hodował mu wyborne owoce, — dawny postępowiec, człowiek idei, stał się epikurejczykiem praktycznym, gastronomem, serdecznym sąsiadem, znanym z gościnności, zawo-

łanym myśliwym, jarmarkowiczem, grającym z rokoszą wista z proboszczem, — słowem obywatелеm!

— Nie przecząc wielu trafnym uwagom, jakie pani wypowiedziała, — odezwał się Sępiński, — widzę we wszystkim pesymizm, właściwy temperamentem podobnym jak pani. — Obywatelstwo — to sfera bardzo rozległa i święta; według mnie oddaje pani największą cześć Komnickiemu, nazywając go obywatelem. Zresztą widzę, że jakkolwiek istotnie zasmakował w wygodach i przyjemnościach materyalnych życia, może nad miarę, jest jednak rzeczywiście dobrym sąsiadem, dobrym gospodarzem, człowiekiem dobrym, prawym, to wielkie zalety. — Uniwersytet robi z nas ludzi teorii, — życie robi nas ludźmi praktycznymi. Wychodząc z uniwersytetu każdy, a zdaje mi się, że i pani zostaje w tem stadyum, chce i czuje się na siłach świat zreformować odrazu, — potem przekonywa się, że świat reformuje się ciągle, ale powoli, że płynąć wciąż przeciwko wodzię na nic się nie zda, ani też głową przebijać mur. — Wówczas każdy z nas skupia się w sobie, poznaje warunki życia i godzi się z niemi, o ile to jest koniecznem, by coś swojego przyprowadzić do skutku. Człowiek odosobniony od społeczeństwa, traktujący je z pogardą, — zostanie zawsze wołającym na puszczy, choćby miał największą słuszość. — Trzeba się pozbyć pychy, zbliżyć się do ludzi, pracować razem z nimi. — a wówczas znajdzie się możność

dokonania niejednej rzeczy uczciwej i postępowej. Takie moje przekonanie; — zawołać: nie pozwalam! i uciec na Pragę, to łatwo,— trudniej dołożyć ręki do dobrego czynu i wytrwale, cierpliwie a w cichości pracować dla swojej idei. — Z tego stanowiska ja bronię Łomnickiego.

— Zazdroszczę panu Łomnickiemu, że znalazł takiego obrońcę i zgadzam się na pańską obronę, ale—daruj pan, jest ona także teoretyczną, na teorii opartą. Pytam pana, czy godziło się, widząc mnie potępioną przez wszystkich, bo przez opinią parafialną za zbrodnie niedowiedzione, bo urojone, a głównie za odwagę powodowania się własnem przekonaniem,—czy godziło się człowiekowi niezależnemu, jak pan Łomnicki, odstąpić mnie, faktycznie uznać słuszność potępienia, gorzej, bo samemu potępiać? Pytam pana wręcz — czy zrobiłbyś to?

— Nie—odrzekł z przekonaniem Sępiński, ale powiem pani dlaczego. Łomnicki zrobił to, bo wierzył, że wszystko co pani wypowiedała, wszystkie jej poglądy na stosunki społeczne i towarzyskie, pojęcia o ludziach i t. d. były stałem, wyrobionem i niewzruszonym przekonaniem. Dało mu to opaczne o pani wyobrażenie i zmusiło zrzec się obrony postępowania w imię zasad, których nie podzielał, które owszem uważał za szkodliwe.

— A pan postąpiłbyś inaczej, dlaczego?

— Dlatego, że wszystko co w przekonaniach i poglądach pani jest skrajnego i nieuzasadnione-

go, uważam za uprzedzenia i utopie wyrobione skutkiem nieprzyjaznych okoliczności i stosunków, oraz jednostronnej znajomości życia.

Przez usta panny Laury przemknął uśmiech ironii i znikł, ustępując miejsca zmieszaniu i zarumienieniu.

— Rozumiem, masz mnie pan za dziecko, potrzebujące obrony... Nie wiem! może niem jestem!.. Wiem tylko, że szukam prawdy, że chcę ją poznać. I to pewne, że gdyby mnie przekonywano jak pan—nie zaś obmową i szyderstwem, byłabym się nie zraziła tak do świata i ludzi mego otoczenia.

— Jestem najmocniej o tém przekonany — odparł Sępiński.

— Co do p. Łomnickiego—dodała Laura — odstąpił on mnie pod presją opinii, uląkł się plotek, które głośiły, że on we mnie a ja w nim się kochałam, zerwał stosunek przyjaźni dla przypochlebiania się ludziom, o których mu, jako mężczyźnie niezależnemu mniej chodzić mogło, niż mnie, jako kobiecie. Tego mu nie mogę zapomnieć, za to mam do niego żal!

Powstała wzruszona, ze łzami w oczach— a ślicznie jęj było z niemi, ślicznie z tym rumieńcem na twarzy, z pierśią falującą wzruszeniem, i z drzeniem w głosie. Postąpiła kilka kroków ku ogrodowi, Sępiński szedł za nią, znaleźli się w długiej alei, na której końcu była altanka. Laura mówiła dalej.

— Bardzo drażliwej dotknęliśmy kwestyi, ale mam takie zaufanie w panu, że chcę mu powiedzieć wszystko. Po zawodzie doznanym ze strony jedyne go człowieka, którego szanowałam i ceniłam, tak mi się duszmem wydało powietrze mojej okolicy, pobyt w niej tak nieznośnym, że potrzebowałam wyjechać gdziekolwiek, byleby wyjechać. Zdrowie mamy wymagało również tego, postanowiłyśmy wyjechać za granicę. Samą tę myśl przyjęto jak najgorzej, zdawało się ludziom, że chcę usunąć się im z widoku w jakichś występnych celach, wszyscy się temu oparli, więc postanowiłam wyjechać témbardziej. Dziś widzę, że była w tém lekkomyślność moja, nie miałam wyobrażenia, że wyjazd ten pociągnie tak opłakane dla nas skutki materyalne. Ale, trudno! zdaje mi się, że umarłabym, gdybym była dłużej została w tych warunkach. Wyjechałyśmy—i odżyłam wśród innych ludzi, innego otoczenia,— przez te dwa lata żyłam prawdziwie. Trzeba było jednak wracać do kraju, do ruin — tu dowiedziałam się jakie wieści chodziły o nas, o mnie, gdyśmy były zagranicą. Nie żądaj pan, bym je powtarzała.— dowiesz się od kogokolwiek, choćby od Łomnickiego.

— Łomnicki nic nie chciał mówić — odparł Adam.

— Milcząc, stawał więcej w obronie opinii ludzkiej, niż mojej — zawołała gorzko Laura. — Ale o tem istotnie mówić nie warto. Teraz kiedy

przyszłość nasza zarysowała się w najfatalniejszy sposób—wszyscy nas opuścili, obowiązki obywatelskie i sąsiedzkie zostały zapomniane. Od Małej Łączki stronią wszyscy, jak od walącego się gmachu—a cała wina ruiny spada na mnie! Oto masz pan smutne nasze dzieje, powiedziałam całą prawdę, — osądź, czy jestem tak winną, jak o tém mówią i czy mogę w obec tego wszystkiego zachować równowagę sądu i zdobywać się na wyrozumiałość i miłość dla ludzi!

Stanęli na stopniach altanki, zachodzące słońce oblewało ją ostatnimi promieniami. Oboje milczeli,—ona patrzyła w niebo, on w nią ze współczuciem i miłością.

— Przyjdzie porzucić ten rodzinny zakątek i iść w świat, — mówiła dalej panna po małej przerwie. — Powiedz pan, czy potrafię znaleźć w mieście kawałek chleba, któryby wystarczył na wyżywienie matki i mnie? Ja tak mało potrzebuję, że nie wątpiłabym o tem, ale matka! przywykła do dostatków, cierpiąca i skołatana życiem... Niema rzeczy, którejbym się nie podjęła, byle jej starość zabezpieczyć, ale czy i tam nie zostanę odepchnięta?—Ja już tak do tego przywykłam, że nie wierzę już w nic ani w nikogo!

— Nie powtórzy pani tych słów!—rzekł Adam, dałaś mi tyle dowodów ufności, że mam prawo sądzić, iż w moją przynajmniej chęć dobrą wierzysz?

— O, tak! wierzę! wierzę panu!—rzekła z rzew-

nym uśmiechem, podając mu obie ręce. Byłam niewdzięczną przed chwilą, daruj pan! Znamy się wprawdzie od tak niedawna, że w zwykłych stosunkach ludzkich trudnoby było poznać się nawzajem, ale w tym razie jest inaczej; ludzieby stosunku tego nie zrozumieli i wyśmiać tylko mogli, ale mamy prawo żałować ich, że są tak uprzedzeni!

Adam całował podane sobie ręce, na usta mu się rwały wyrazy gorące, czuł że przychodzi chwila stanowcza i że kocha, jak nie kochał jeszcze nigdy w życiu.

Panna cofnęła ręce, powiodła niemi po czole, potem weszła do altanki i usiadła na ławce.

— Ludzie wyświadczyli mi jednak łaskę. Gdybym nie miała tylu bolesnych wspomnień, ciężko-by mi było rozstać się z miejscem rodzinnem, teraz będę miała dość na to siły. Zacznę inne życie, prawdziwe życie pracy i poświęcenia. I nie będę opuszczoną i samotną, bo mi Bóg zesłał w panu przyjaciela, — a mniejsza o to, że ludzie skorzystają i z tego, by mnie oczernić znowu.

— Możemy temu zapobiedz — rzekł Adam, tłumiąc wzruszenie.

— Jak?

— Jeżeli niezależność nie jest pani milszą od szczęścia rodzinnego, i w przyjacielu zechcesz znaleźć męża.

— Ja nie wiem, co pan chce powiedzieć...—szepnęła z doskonale udanem zdziwieniem, a wargi



j jej drgały i całe ciało wstrząsał dreszcz mimowolny.

— Wytłómaczę się jaśniej. Poznałaś już pani gorycz życia bez opieki, bez osłody miłości, bez blizkiego celu dla uczuć. Czy zdecydowałabyś się na oddanie tej wolności za spokój i ciszę życia? czy uznałabyś nad sobą władzę czyjąkolwiek, choćby to była władza człowieka, który panią kocha, któryby miał na celu najpierwój dobro jej moralne i materyalne. Gdyby ten człowiek miał inne przekonania i poglądy, wyrobione życiem i doświadczeniem, gdyby mu się zdawało, że pani się mylisz i chciał i miał tę wiarę, że powolnem, łagodnem oddziaływaniem, że miłością potrafi cię pogodzić z życiem i ludźmi,—czy przyjąłabyś pani jarzmo opieki tego człowieka, któryby chciał cię tylko uchronić od burzy i rozbicia?

— Jakto, panie? ja — ja miałabym znaleźć takiego człowieka? ja, potępiana przez wszystkich?

— Tak, pani—mówię o sobie, ja panią kocham! czy chcesz być moją?

— Paniel!—zawołała Laura ze łzami w oczach i spazmatycznym łkaniem w głosie, pan byś miał odwagę dać mi swe imię, przed światem całym uznać za żonę?—I pan pytasz czybym się nie lekkała jego opieki?—Paniel gdybym się miała nawet zaprzecć sama siebie, uznać, że jestem dzieckiem nie-doświadczonem—jeszczebym się nie zawahała oddać się bez zastrzeżeń opiece pańskiéj!

— Więc kochasz mię pani?

— Kocham! kocham od pierwszej naszej rozmowy!

Sploniona i drżąca schyliła się na jego ramię, on tulił do ust jej ręce, gdy na czole swem uczuł palący pocałunek i łzę gorącą co spłynęła mu po twarzy.

Pani Karpińska nie zastawszy nikogo w salonie, szła właśnie do altanki, by wołać młodą parę na herbatę. Spotkała ich w drodze, uklękła przed nią, prosząc o błogosławieństwo.

Babina nie słyszała prośby, ale domyśliła się o co idzie i rozplakała się w głos, płacz przeszedł w spazmy, musiano ją oblewać wodą—był to ustęp komiczny w melodramacie.

Resztę wieczoru spędzono na radowaniu się wzajemnym i układaniu planów, Sępiński odjechał po północy, odprowadzony na ganek, żegnany łzami. Kiedy już stracono go z oczu, panna Laura odetchnęła, jakby po nadmiarze uczuć, i rzekła:

— Mam punkt oparcia!

— Co za wypadek! co za wypadek!—krzyczała Madame Rose, gestykulując swoim zwyczajem. Ale powiedz,—czy ty go istotnie kochasz?

— Kocham go!—rzekła namiętnie Laura,—a ty nie kochałabyś ręki, która cię z przepaści wyciąga?

Sępińskiemu spadł kamień z serca,—pewność uspokoiła go zupełnie, czuł wagę dokonanego kroku, ale wierzył, że pomimo wszystkiego co o panie słyszał i tego co sam poznał — znajdzie

w poźyciu z nią szczęście. Czuł, że postąpił szlachetnie, że poszedł za głosem serca nie za wyrachowaniem lub namiętnością, że przeto mógł się spodziewać błogosławieństwa bożego dobrej sprawie.

Kiedy nazajutrz powrócił Łomnicki, oznajmił mu fakt dokonany ze spokojem i pogodą umysłu. Przyjaciel zmieszał się, nie spodziewał się może, by tak prędko się wszystko stało, ale uściśnął mu rękę serdecznie i rzekł:

— To pewne, że mógłbyś znaleźć żonę lepszą od panny Laury, zamożną, gdyby ci na tem zależało i w szczęśliwszych niż tu warunkach,—bądź więc tém szczęśliwszy, im jesteś bezinteresowniejszym od innych. Mnie zaś daruj, żem ci odradzał i mówił com myślał,—miałem to za obowiązek.

— I spełniłeś go, przyjacielu—reszta należy do mnie.

Kilka razy jeszcze jeździł Sępiński do Małej Łączki, odbyły się zaręczyny bez obcych świadków,—postanowiono przyśpieszyć sprzedaż wioski, porobiono odpowiednie kroki, poczem pan Adam wyjechał do miasta, dokąd udała się wkrótce i pani Karpińska z córką po wyprawę. Tam również miał się odbyć ślub.

Wieść o zaręczynach Sępińskiego z panną Karpińską szybko rozbiegła się po okolicy, dziwiąc wszystkich i wywołując powszechne wrażenie. Wrażenie to było niekorzystnem dla panny, pochlebne dla niego. Wszyscy żalowali Sępińskie-

go, tacy nawet, którzy nie mieli córek na wydaniu, których zatem nie można było posądzić o interesowność.

Panna Ewelina tylko podobno miała powiedzieć:

— Uczciwy człowiek, daj mu Boże szczęście!

Jeszcze słówko! byłbym zapomniał nadmienić o wieści, jaką sobie z ust do ust podawano.

Podobno panna Laura miała kłopot z Madame Rose. Narzeczony oświadczył, że należy się z nią pożegnać. Francuzka nie miała nic przeciwko temu, ale rościła pretensyę do wynagrodzenia jej z góry za dwa lata. Panna się temu oparła, wynikły więc kwasy, dawna nauczycielka groziła osobistem rozmówieniem się z Sępińskim, lękano się tego, bo miała zły język i wtajemniczoną była w różne sprawy domowe. Przyszło więc podobno do sprzedaży w miasteczku niektórych kosztowności, by ją uspokoić.

Ile było prawdy w tej plotce?—nie wiem, to tylko pewne, że Madame Rose wkrótce wyniosła się z Małej Łączki, wywożąc z sobą dwa pieski, papugę, de Sade'a z Crebillonem, ośm różnej wielkości kuferków, spory zapas różu i bielidła, kilka fałszywych warkoczy, jeden zapasowy garnitur fałszywych zębów i—oburzające wspomnienie naszego barbarzyństwa.

---

V.

Stosownie tedy do umowy, pani Karpińska z córką przyjechały do miasta i zatrzymały się w hotelu, podczas gdy Sępiński ostatecznie urządził mieszkanie.

Ponieważ panna o to usilnie prosiła, ślub miał się odbyć bez zapowiedzi, za indultem. Było także jej pragnieniem iść do ołtarza w strojach powszednich, przy zamkniętych drzwiach kościoła, nie chciała mieć żadnych świadków. Sępiński ustąpił o tyle, że nie prosił na ten ślub nikogo, nawet stryja, mieszkającego na wsi, zamożnego człowieka, który mu niegdyś ojca zastępował i dla którego miał obowiązki.—Suknię zaś ślubną kupił i przysłał.

W przeddzień ślubu udali się razem do kościoła, czemu panna była zrazu przeciwną—ciężył jej obowiązek przedślubnej spowiedzi. Tu, znalazłszy w jednym konfesyonale siwego staruszka, o którym wieść chodziła, że mocno niedosłyszany, poszła do niego się spowiadać.

Nazajutrz zrana, o godzinie 7-mej w pustym kościele, w obecności tylko matki, zakrystyana i sługi kościelnego, odbył się ślub, poczem Sępiński wprowadził żonę i jej matkę do swego mieszkania.

Uśmiechnęła się młoda pani, oglądając wygodnie i starannie urządzone pokoje, widząc jak

o wszystkim mąż pamiętał, jak nawet w pokoju przeznaczonym dla matki znalazło się wszystko, do czego tylko pani Karpińska była przyzwyczajoną. Uśmiechała się na widok klęcznika w jej własnej sypialni, obrazów na ścianie, portretów familijnych w saloniku dość lichego pędzla, ale stanowiących snadź drogą dla jej męża pamiątkę. Szczególniej uderzył ją portret staruszki we wpół zakonnym stroju, z różańcem w ręku, która zdawała się ją mierzyć surowem i badawczem spojrzeniem.

— Kto to jest?—spytała męża.

— Babka moja—odrzekł— w jej domu się wychowałem. Była to anielskiej dobroci kobieta,— nieumiejętny tylko malarz nadał jej ten wyraz surowy.

— Istotnie, patrzy na nas tak ostro...

Zamilkła, ale w duchu przyrzekła sobie, że świętobliwa babka ustąpi z salonu. Gdzieżby zresztą wisiały jej ulubione obrazy: Amor, i oryginały Ruisdaela, Rembrandta i Teniersa?

Pierwszy ten dzień pożycia zdawał się być jednak zapowiedzią dni jasnych i szczęśliwych.— Laura nie posiadała się z radości, z właściwym sobie wdziękiem i urokiem uśmiechała się mężowi, tuliła się z pieszczotą do matki, spojrzenie jej, postać cała wyrażały szczęście. Nawzajem podziwiać mogła uprzejmość i zalety towarzyskie męża. Poważny zwykle i milczący był teraz bardzo ożywionym, dowcipnym, a zasoby jego umy-

słu wcale niepoślednie, łącząc się z płynną wymową, robiły rozmowę jego zajmującą i przyjemną.

Ożywiła się i pani Karpińska, od wielu już lat nieprzywykła do hołdów i troskliwości jaką się teraz przez zięcia widziała otoczoną. Okazywała mu téż wdzięczność, jak mogła, kłaniała się, dziękowała, uśmiechała się, przywołując czasem na usta córki uśmiech ironiczny.

Wieczorem, kiedy z rozmowy przyszło do wspomnień, o szarej godzinie, zaczęła opowiadać Adamowi czasy dzieciństwa Laury.

— Nie da pan wiary, co to było za dziecko!— wszyscy podziwiali. Wszystkich wtedy przyjmowaliśmy u siebie, bywały częste zabawy, wieczory,—to maleństwo nigdy nie chciało się bawić z dziećmi, zawsze do starszych. Panowie z nią tańczyli, rozmawiali, a taka była sprytna, że każdemu potrafiła przymówić, każdemu się odciąć, każdego naśladować. Bywało z mężem bierzemy się za boki jak zacznie pokazywać: a ten taki, a ten owaki, ten tak chodzi, a ta tak patrzy,— śmiechu z nią było i kłopotu co nie miara!

I opowiadająca śmiała się serdecznie, przypominając sobie dawne czasy.

— Powiadam panu...

— Ależ, matko, pan Adam prosił, by go nie nazywać panem.

— No, dobrze, ależ i ciebie o to prosił— a jeszcze go nie słuchasz. Mnie wolno, Kocham go, choć panem nazywam, on wie o tem.

— Wierzę, matko — odrzekł Adam, całując jej rękę, będziemy się oboje starali na miłość jej zasłużyć.

— Niech ci Bóg błogosławi, niech wam da szczęście!—Ale powracam do mojej jedynaczki. Ta nigdy się nie starała o moją miłość, zdaje się, że od pieluszek nie chciała już znać niczyjej powagi.

— Widzi mama — przemówiła z rozkosznym uśmiechem Laura,—że to mi już dokuczyło i dobrowolnie obrałam sobie pana.

— No, widzę, dzięki Bogu! ja wątpiłam, byś kogokolwiek w życiu usłuchała! Bo, proszę pana,—nieboszczyk mąż mój przepadał za nią,—ja—jak matka, czyż mogłam nie kochać jedyne dziecko! Wszystko jej było wolno,—i nie mogło być inaczej, bo jak powiadam, od pieluszek musiała zawsze postawić na swoim, zrobić co chciała! Sprzeciwić się jej w czém? Jezus Maryja! było krzyku, bicia, kłaniania, drapania...

— Ślicznie mnie matka przed mężem obmawia! przerwała Laura.

— Dziecko moje, niechby cię tylko wszyscy tak obmawiali jak matka, tobyś sobie z tego nic nie robiła! To pewne, że aż do dnia dzisiejszego nikomu na posłuszeństwo nie przysięgałaś.

— Dlatego też nie słuchałam. Od dziś nie pozna mama córy marnotrawnej!

Tu pani Laura pochyliła się z wdziękiem ku mężowi, który ją objął ramieniem i pocałował w czoło. Wtedy ona podniosła głowę i usta ich spotkały się po raz pierwszy.



Od pocałunku tego zaczęła się snuć różowa nieć pieszczot, które zdawały się przeistaczać naturę Laury. Była z dniem każdym czulszą, przywiązańszą, bardziej kochającą żoną. Nawet żywy zawsze i gwałtowny układ jęj zmieniać się zaczął: stawała się powolną, mniej ruchliwą, leniwą prawie. Godziny, w których mąż był za domem ciągnęły się jęj tak długo, tak nieznośnie, spędzała je leżąc w sypialni swęj na szezlongu z książką w ręku, której nie chciała czytać, lub patrząc przez okno na ulicę. Kiedy kucharka przychodziła po dyspozycyę jaką—odprawiała ją do matki,—matka była również w kłopotcie, bo dawniej należało to do Madame Rose, kończyło się więc zwykle na tēm:

— Moja kochana, zrób jak sama umiesz.

Jedynem roztargnieniem, które na parę dni wystarczyło, było dla Laury oglądanie mieszkania. Lubiała z najrozmaitszych szczegółów odgadywać usposobienie i nawyknięcia męża. Ulubionym dla tego pokojem był jego gabinet.

Stało w nim najprzód bióro, kawalerskie jeszcze, wielkie z szufladami i skrytkami najrozmaitszemi. Niektóre były otwarte, od innych Adam przy sobie miał klucze. Korzystała tymczasem z tych, które stały otworem, przeglądała z zajęciem wszystkie papiery, listy, spodziewała się znaleźć w nich dzieje kawalerskiego żywota. Pod tym względem zawiodła się: były to najczęściej notaty i dokumenta jakieś dla nięj obojętne. Jeden tyl-

ko list zaciekaWił ją. Pisany ręką kobiecą, nie-ortograficzny i niewyraźny zawierał, o ile wyczytać mogła, te słowa:

„Niech Bóg wszechmocny zapłaci wielmożnemu panu, za dobrodziejstwo mnie wyrządzone. Za jego pieniądze wynajęłam izdebkę i założyłam sklepik. Dzięki stokrotne dobrodziejowi, do końca życia nie zapomnę tej łaski.“

Następował podpis i data. Jest w tém coś podejrzanego—pomyślała sobie Laura — muszę zbadać tę tajemnicę;—a jakżeby się cieszyła odkryw-  
szy jakąś nieczystą sprawkę męża! znała go do-tychczas tylko z zalet.

W tych samych jednak skryptach znalazła i pewną wadę. Wpadł w jej ręce świstek papieru, na którym stały szeregi liczb,—był to, jak się zdawało bilans majątku Adama. Wszystko razem wynosiło dwadzieścia kilka tysięcy rubli...

— Jakto? tylko tyle?— zawołała pani Laura,— miałam go za człowieka zamożniejszego! Rozumiem teraz dlaczego nie chce porzucić urzędowania, które mu parę tysięcy rocznie przynosi...

Zadumała się nad tém, ale nie była teraz usposobioną brać cokolwiek do serca. Wszak ostatecznie czuła się szczęśliwą!

Postanowiwszy sobie dostać się do owych zamkniętych szuflad biorka, szła tymczasem dalej w przeglądaniu pokoju męża.

Tuż przy biurku stała wielka oszklona szafa biblioteczna,—otworzyła ją i zaczęła przeglądać

książki. Były tu dzieła w kilku językach, treści przeważnie naukowej. Historia była reprezentowaną najmocniej, po niej szły rzeczy społeczne, ekonomiczne, przyrodnicze, wreszcie poezya i beletrystyka.— Widziała w tem człowieka, który czyta dużo, w różnych gałęziach wiedzy a czyta sumiennie, z ołówkiem w rękę. Dzieła filozoficzne, gdyż i tych tu nie brakło, brane były z różnych obozów. Niektóre z nich znała, o większości słyszała lub czytała tylko. Atmosfera patryarchalna całego domu i tu się czuć dawała, ale nie wyłącznie, Adam znał i inne kierunki.

Z kolei przyszło do oglądania ścian—zdobiły je głównie litografie, portrety. Niemcewicz, Śniadecy, Mickiewicz, a z dawniejszych Rejtan, Kościuszko, Konarski, Skarga, Kochanowski patrzyli poważnie na nową panią domu. Jeden był obraz olejny, mierniej roboty, przedstawiający Sobieskiego pod Wiedniem. Nad biurkiem wisiał brązowy krucyfiks.

— Mój pan jest konserwatystą i klerykałem — pomyślała i uśmiechnęła się,— ironia losu kazała nam się połączyć. Ma jednak postępowe odcienia, nawrócę go, nim on mnie nawrócić potrafi. Czytałam w jakiejś książce, że my dajemy mężom nasze przekonania religijne, przyjmując wzamian ich zasady polityczne... Polityka jest dla mnie zupełnie obojętną—o postęp idzie, nie o narodowość... Ale—przedewszystkiem muszę dostać klucze do biurka, czuję, że się tam coś ciekawego znajdzie.

Na tem się rewizya pokoju męzowskiego skończyła. Wkrótce też nadszedł Adam — wybiegła naprzeciwko, zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc się doń namiętnie.

— Cóżes robiła tego rana—zapytał mąż po powitaniu—czy się moja pani nie nudzi?

— O nie! jeszcze nie... czytałam.

— Cóż znaczy to *jeszcze nie*?

— Bo przypuszczam, że z czasem da mi się czuć brak towarzystwa; będziemy przecie mieli znajomych, będziemy bywali i przyjmowali—nieprawdaż?

— A jakże, niepodobna żyć bez ludzi, tylko... może się jeszcze z tem wstrzymamy? jak myślisz? czyż nam nie dobrze już samym?

— O! mnie nie spieszno, będę czekała aż ty sam zechcesz.—Ale, ale, chciałam dziś pisać—nie miałam na czem.

— Czy być może?—prawda! zapomniałem zaprowadzić biórko twoje we wszystkie materyały piśmienne.

— Przygotowałeś biórko dla żony niepiśmiennej, prawda?

— Przepraszam cię najmocniej, droga moja,—dzisiaj jeszcze będziesz miała wszystko, bo mam zapasy w biórku. Po obiedzie pójdziemy tym razem i wybierzesz sobie.

— Nie, Adamie, pozwól mi twoich kluczy, ja wybiorę sama w wolnej chwili. Teraz obiad, po obiedzie pójdziemy na spacer, a potem do teatru? dobrze?

— Jaknajchętniej. Oto są klucze, ale oddasz mi je później.

Wszystko się odbyło według programu, obiad, po obiedzie spacer na miasto, wieczorem łoża w teatrze.

Pierwszy to raz po ślubie pani Laura była w teatrze. Kiedy weszła do łoży i powiodła okiem po zebranej w sali publiczności, uderzyło ją, że mało kto na nią zważał. Przyzwyczajona do tego, że gdziekolwiek się pokazała, w kościele czy na zabawie wszystkie oczy zwracały się ku niej i wszyscy się nią zajmowali, spodziewała się czegoś podobnego i tu, choćby w mniejszym stopniu. Wiedziała wprawdzie, że wielkie miasto musi się pod tym względem różnić od prowincjonalnego zgromadzenia, ale już to samo, że była zjawiskiem nowem, powinno było, według jej zdania, wywołać pewne wrażenie.

Tymczasem stało się przeciwnie,—kiedy weszła większa część widzów wchodziła także i zajmowała się znalezieniem swych miejsc nie lornetowaniem. Jak na nieszczęście jeszcze, uwagę powszechną ściągająca ku sobie głośna piękność, hrabina Z. która właśnie po długiej niebytności w kraju pierwszy raz się oczom wielbicieli jej wdzięków pokazała. Nikt więc prawie nie był mocniej zajęтым zjawieniem się pani Laury a kilka lornetek, które się ku niej na razie skierowały zwróciły się później w inną stronę. Ubodło to ją, usunęła się wgłąb nieco łoży, zajęta odtąd pilnem

przypatrywaniem się scenie lub poufnej rozmowie z mężem, któremu rzucała spojrzenia pełne tkliwości i namiętnego przywiązania.

Adam był zachwycony, spodziewał się, że większe zgromadzenie, że pierwsza ta bytność w teatrze, sprawi jego żonie pewne roztargnienie, wywoła objawy kokieteryi, słowem przygotowywał się do roli męża pięknej kobiety, który najczęściej zajmuje przy niej bardzo podrzędne stanowisko.— Stało się nad jego spodziewanie, Laura kokietowała istotnie, ale jego, ku niemu zwracały się jej uśmiechy ponętne, w ciągu gry nachylała mu się do ucha, szepcząc uwagi swe o sztuce i grze aktorów trafne i dowcipne. Adam przebywał szczęśliwe chwile. To też w każdym antrakcie przynosił do łoży cukry i chłodniki wszelkiego rodzaju, asystował jej z całą starannością i uwagą.

— Widziałaś hrabinę Z.?—ta w łoży parterowej w białym szalu, jest to słynna piękność tutejsza, czy ci się podoba?

— A ładna—odparła obojętnie, ale tamta, w łoży pierwszego piętra ładniejsza.

Adam musiał dopiero szukać osoby wskazanej, której się nie śniło nawet rywalizować ze słynną pięknnością.

Po skończonem przedstawieniu, Laura otulona w szal jedwabny niebieski, w którym jej było do twarzy, oparła się wdzięcznie na ramieniu męża i schodziła ze schodów, pogardliwie prawie patrząc na ludzi. Zdawała się być znużoną, a gdy Adam

zapropował by wstąpili na kolacyą,— nie! szeptęła, tuląc się do niego, — chcę być jak najprędziej w domu!

Rzecz prosta, że po powrocie nie było mowy o kluczach od biórka, a gdy nazajutrz przy rannéj herbacie, Laura w eleganckim białym szlafrocuku wyglądała prześlicznie, gdy Adam nacieszyć się nie mógł widokiem jéj pięknej główki w atłasowym czepeczku, która się tak chętnie na ramię jego chyliła, zapomniał nawet o biórze swoim i spóźnił się, co mu jako sumiennemu urzędnikowi rzadko się zdarzało,—a czyż mógł nie zapomnieć o kluczach!

Rada więc z posiadania tych kluczy. Laura zamknęła się natychmiast w gabinecie męża i otworzyła owe tajemnicze szuflady.

W jednéj nie znalazła nic zgoła ciekawego,— ułożone w największym porządku znajdowały się tu przybory do pisania, różne rodzaje piór i flaszeczki atramentu, kwity towarzystw asekuracyjnych, rachunki jakieś i notatki. W drugiéj leżały sznurkiem związane paczki listów, — skwapliwie się do nich Laura zabrała, ale znowu spotkał ją zawód. Były to korespondencye rodziców jéj męża, głównie zaś listy jego matki, między którymi znajdowały się zabytki z jéj panięńskich czasów, listy pisywane do narzeczonego.

— Jakież to skromne, konwencyonalnie sztywne i śmieszne—pomyślała sobie Laura,— gdybym kiedyś pisała powieść z tych czasów, posłużą mi

za wyborny materyał. Sznutowano sobie nietylko figury, ale i usta, by śmielsze jakie nie wyszło z nich słowo, i serce, by się nie odważyło czuć goręcej, niż odwieczne przepisy na to pozwalały.— I oto człowiek wykształcony, dojrzały przechowuje te próby kaligraficzne, jak relikwie... Dziwne to dla mnie!—niepojęte.

Związała znowu starannie paczki owe i szukała dalej. Stało w kącie czarne hebanowe pudełko ze srebrnym kluczykiem. Tu przynajmniej powinno się znaleźć coś ciekawego, pomyślała otwierając ową szkatułeczkę. I tu zawód—zamiast fotografii kobiecych, listów pachnących, pantofelków i t. p. pamiątek były tu dwie miniatury w złoto i aksamit oprawne a przedstawiające znowu rodziców Adama.

Laura wzruszyła ramionami i zamknęła szkatułkę hebanową, myśląc że ten ładny spręcik mógłby się przydać na co innego.

Czyżby ten człowiek nie miał istotnie żadnych stosunków miłosnych i przez trzydzieści ośm lat żył tylko czcąc ojca i matki, których nie znał prawie, aż dopiero w niej pierwszej znalazł przedmiot żywszego przywiązania?

Nie mogła w to uwierzyć. Zresztą ów list dość zagadkowy, o założeniu sklepiku potrzebował jeszcze wyjaśnienia.

Szukała więc dalej w nadziei, że znajdzie. Znalazła kilkanaście jakichś papierów procentujących, dokumenta urzędowe osobiste Adama, kilka kwi-



tów osób prywatnych na pożyczone pieniądze, nareszcie, na spodzie szuflady, długie wążkie księgi.

Pewna, że to będą znowu rachunki jakieś lub spisy obojętnej treści, z lekceważeniem otworzyła jedną z nich i uderzył ją ustęp następujący:

„Julię widziałem znowu, na wieczorze u prezes-a, gdzie była najpiękniejszą ze wszystkich kobiet obecnych. Zdawała się mieć urazę do mnie, rozmowa wlokła się leniwie, co chwila urywana. Prezesowa usiłowała nas zbliżyć, przymawiała mi nawet, że jestem przez Julię kochany, zwracała uwagę na jej piękność,—nie mogłem zaprzeczyć, że piękną jest istotnie. Powiedziała mi, że jestem dziwakiem zasklepiony bez nadziei w starokawalerstwie.“

— Co to jest?—czyby Adam miał dziennik pisać?— pytała się Laura, przerzucając księgę od początku,— cóżby to był za wyborny materiał do powieści!

Okazało się, że był to istotnie dziennik, systematycznie od lat kilku prowadzony a przerwany w dniu wyjazdu Sępińskiego na wieś.

Laura kilka godzin spędziła na odczytywaniu tych wrażeń i myśli, które nie były przeznaczone dla nikogo.—Coby Adam powiedział, widząc to czytanie? Wspomnienie o tém podwajało Laurze przyjemność odkrycia, dawało mu charakter owocu zakazanego.

Czytając, zastanawiała się nad rodzajem typu, jaki przedstawiał jej mąż,—nie było to łatwem do

zdecydowania. Człowiek ten wychowany widocznie w atmosferze patryarchalnej, idealista, —miewał jednak pojęcia czysto postępowe i racjonalne, czemu nie mogła zaprzeczyć Laura czytająca jego pamiętnik. Zastanawiał się nad życiem, znał je i przychodził do praktycznych wniosków. Owa Julia, której nazwisko nie było nigdzie wymienionem, musiała należeć do dystyngowanego świata miejskiego,—swatano go z nią, panna była zapewne nieposazną, o czem również nie było wzmianki. Z jej to powodu znalazło się w pamiętniku wiele ustępów, jak ten:

...,Pomimo mojej sympatii do dawnego trybu wychowania widzę, że ze zmianą czasu i stosunków i ono potrzebuje zmiany. Nasze matki pomimo braku wyższego wykształcenia umiały być dobrymi żonami i matkami, poważnie pojmowały swe stanowisko w społeczeństwie. Dzisiejsze panny szlacheckich rodzin chodzą wprawdzie do kościoła i modlą się, nie brak im niby zasad moralnych i religijnych, ale brak charakterów i uczuć głębszych robi z nich lalki, czekające aż je kto kupi za żonę, nie pojmujące życia po za przyjemnościami i zabawami. Próżniactwo jest cechą ich kardynalną, cały dzień gotowe biegać od sklepu do sklepu, z wizyty na wizytę, zbierać ploteczki brukowe, wzdychać do nowych gałganków i nowych wrażeń. Julia jest niezaprzeczenie piękna, miła w rozmowie, ale płytką, lekka i pełna przesądów rażących.“

.....Straszno się dziś zenić, jeżeli kto potrzebuje nie lalki, nie stanowiska, nie protekcji teścia lub jego pieniędzy, ale żony. Przypatruję się czasem pożyciu małżeńskiemu moich kolegów... Naprzykład Karol, ożenił się przed kilku laty i jest szczęśliwy,—jabym tego nie nazwał szczęściem. Żona wniosła mu kilkaście tysięcy posagu i kamienicę.—Zamieszkali więc we własnym domu, on dostał przez protekcją teścia wyższą posadę,—przychodzi do domu na obiad, po obiedzie przespawszy się wychodzi na miasto na kawę i gazety,—wieczorem jest w resursie na partyi wista, która się przeciąga do północy,—tymczasem żona robi wizyty, przyjmuje gości, biega po mieście, wieczorem wybiera się w towarzystwie kuzynek do teatru, na koncert lub inne widowisko — i oboje są z siebie zadowoleni. W karnawale bywają razem na balach, raz lub dwa przyjmują u siebie, — ludzie zazdroszczą szczęśliwcowi — ja nie. Inaczéj pojmuję pożycie małżeńskie. A może się mylę?..

Nieco dalej, w czasie zapustnym pisał znowu w tym przedmiocie z większą jeszcze goryczą:

....Byłem na balu. Tańczyłem z panną Julią, z pannami Sędziankami, które mi się wydały strasznie ograniczone, z panią Karolową, która mocno kokietowała jakiegoś doktora... wróciłem znudzony, zgryziony, oburzony. Widziałem żony moich podwładnych, pobierających 600 lub 700 rubli pensyi, poubierane w suknie kosztowne, strojne, przedstawiające czwartą część całorocznego za-

robku mężów. Boję się podejrywać, ale—to uderzające! I mężowie cieszą się, że ich żony tak praktycznie sobie radzą. Wolę przypuszczać, że każda z tych pań miała posag, ależ i w takim razie pozostanie jeszcze lekkomyślność zasmucająca. Czy one mają jakie pojęcie o życiu i jego obowiązkach,—a jakżeż potrafią wychować dzieci? Zdaje się, że trudno mi będzie odważyć się na małżeństwo,—a jednak tak bardzo cięży mi moja samotność! Chyba na wsi; Henryk Ożycki na wsi się ożenił... gdybym ja znalazł taką jak on żonę. Mówił mi, że mu odradzano, że swatano zupełnie z kim innym,—postawił na swoim. Szczęśliwy człowiek! wygrał wielki los na loteryi życia.“

— Muszę się dowiedzieć o tój pani Henrykowej. Czyby się w nią Adam kochał?—A to byłoby nie pięknie, mój panie,— cudza żona — cudza własność! przecież to zdanie z waszego słownika.

Czytała pilnie dalej, ale dowodów zbrodni nie znalazła. Natomiast znalazło się wytłómaczenie owego kupna sklepiku.

„...Dziś (pisał Adam w pamiętniku) — zbierano u nas w biurze składkę na pogrzeb woźnego i na zapomogę dla jego żony. Smutna rzecz bardzo, jak los ludzi pracujących jest niezabezpieczony. Umarł—i oto wdowa z czworgiem drobnych dzieci bez kawałka chleba! A są to rzeczy tak powszednie, że nikogo nie wzruszają. Na rodziny zmarłych artystów, literatów urządzają się widowiska publiczne, po śmierci urzędników kwestują pomię-

dzy sobą koledzy, — rzecz to pospolita, oswojono się z nią. Nikt nie myśli, że dobroczynność doraźna nie zastąpi rozumnych urządzeń ekonomicznych,—że owszem taka zebranina, jakkolwiek może dowodzi dobrego serca naszego, jest anomalia, złem bezwarunkowem. Niestety! serc nam nie brak, ale gorszące lekkie traktowanie wszystkiego—wszystko psuje. Dziś, w biorze, zapisujący się na listę ofiar żartowali sobie i śmieli się zarówno z nieboszczyka jak i jego wdowy, zapewniając, że prędko się pocieszy. Zgromiłem ich, jak mogłem. Muszę coś o tych sierotach pomyśleć.“

W kilka dni potem pisał:

„...Udało mi się dokonać com zamierzył,—jestem z tego powodu bardzo dziś wesół. Odwiedziłem wdowę woźnego, przekonałem się, że istotnie pozycya jej opłakana. Ma czworo dzieci, z których najstarsze sześćioletnie. Sama chora i bezsilna. Porozumiałem się ze znajomym mi hurtownikiem, który ofiarował się dawać towary na kredyt, za mojem poręczeniem. Ja jej dałem pieniądze na założenie sklepiku,—jeśli kiedy będzie mogła, to mi odda. Dziś właśnie pisała do mnie, donosząc, że sklepik otworzyła. Kolegów namówiłem, żeby od niej brali drobiazgi. Powinno jej to zapewnić kawałek chleba.“

W ten sposób, każdy dzień prawie, miał swą rubrykę zapełnioną. Niekiedy, gdy był więcej zajęty, Adam jednego dnia pisał o kilku minio-

nych. Treść tych notatek bywała najrozmaitszą, o każdej prawie przeczytanej książce znajdowało się zdanie. Ze szczególną ciekawością odczytywała te uwagi Laura, charakteryzowały jej one umysłowość męża.

„...Lubię,—znalazła w jednym miejscu—poznać dzieła autorów, wręcz sobie przeciwnych stanowiskiem i poglądem, z upodobaniem przyglądam się przeróżnym odmianom prawdy. Nie cierpię tylko rzeczy ze złą wiarą i złą wolą pisanych,—wszędzie gdzie tylko widzę szczere przekonanie widzę i część prawdy. Nawzajem zarzucają sobie błąd,—gdyby każdemu z nich wierzyć, trzebaby przyjść do przekonania, że żaden nie mówi prawdy. Tymczasem tak nie jest,—każdy ma część słuszności. Cieszę się, korzystając z ich wiedzy, doświadczeń i błędów nawet,—tym sposobem z ułamków wnoszę jednolitą budowę prawdy, której się nigdy ze skrajnego stanowiska nie widzi.“

— Optymista i czciciel *juste milieu!*—pomyślała Laura—tacy jak on nie odważą się nigdy na śmiałość i bezwzględne wystąpienie. Rutyna mierności zajęła miejsce rutyny zacofania—i oto są nasi postępowi ludzie!

Pamiętnik kończył się taką notatką.

„...Biorę urlop na kilka tygodni i jadę na wieś. Muszę się trochę odświeżyć, odżyć—a może i znajdę tam moje przeznaczenie, bo widzę, że w mieście zostałamby skazany na starokawalerstwo. Łomnicki uszczęśliwiony z mojej obietnicy przyjazdu,

zarecza, że się tam ożenię. Daj Boże. Sam wykształcony i rozsądny potrafi zrobić wybór stosowny w swych znajomościach. Mój Boże! nie wymagam wiele,—nie szukam posagu, ani wysokiego rodu, ani wielkich wdzięków,—potrzebuję istotnego przywiązania i możności zrozumienia się wzajemnego. Czyż o to tak trudno? A jednak trudno... A może jestem zanadto wymagającym? — Zaczynam się tego lękać. Chwycę się chyba fatalizmu: do której mnie silniej pociągnie serce—tę wezmę.

Turkot dorożki, która się przed domem zatrzymała, zaniepokoił Laurę. Wyjrzała oknem—mąż przyjechał. Szybko więc uporządkowawszy w szufladzie, zamknęła ją i wybiegła na jego spotkanie.

---

## VI.

Upłynęły dwa miesiące od chwili pobrania się Sępińskich. Laura zdawała się być serdecznie do męża przywiązaną, namiętnie go kochać; ilekroć odchodził, żegnała go z żalem, gdy powracał witała gorąco. Matka rozpływała się z radości, mąż czuł się szczęśliwym, widział żonę z dniem każdym piękniejszą i miłszą.

Laura jednak, tak ożywiona przy mężu, w jego nieobecności zaczynała już niekiedy ziewać nad książką i godzinami leżeć na szezlongu, patrząc w sufit i szukając pomysłu do powieści, który nie

przychodził. Niekiedy przeglądała swą tekę, odczytywała wiersze i prozę, marzyła o tém, by je ujrzyć wydrukowanemi i gniewała się na męża, który zdawał się zapominać o jej autorstwie a szukać w niej i cenić jedynie kobietę.

Pewnego razu, było to już w trzecim miesiącu pożycia, Laura przeglądając dzienniki, pomyślała sobie, że nie czekając pomocy męża może sama wstąpić w szranki literackie. Wybrała więc z pomiędzy dawnych swych prac jedną nowellę, kilka wierszy i rozprawkę społeczną, na gorąco pisaną i włożywszy utwory te w trzy koperty wysłała je do trzech odmiennych barw redakcyj. Do pisma tygodniowego zaadresowała wiersze, gazecie politycznej posłała nowellę, artykuł zaś społeczny przeznaczyła do pisma znanego z krańcowych dążeń i gwałtownych wystąpień przeciwko wszystkim i wszystkiemu, co nosiło cechę tradycyi i religijności.

Zdarzyło się właśnie, że pismo to, żywiące się chętnie skandalem, lub tém co jego pozór mieć mogło, gdyż sposób to, jak wiadomo, najlepszy zwrócenia na siebie uwagi i zajęcia tłumów, potrzebowało koniecznie artykułu, któryby mógł zrobić wrażenie rakiety hałaśliwej i świecącej. Nadchodził kwartał, liczba prenumeratorów zmniejszała się, zwykle bomby nie robiły interesu, — trzeba było czegoś w nowym rodzaju.

Artykuł Laury przychodził w sam czas: podnosił on kwestyą opinii publicznej w stosunku do



kobiety samodzielnej i wykształconej, w najczarniejszych kolorach malując ten stosunek, jako oparty na przemocy liczby, na złej woli jednostek, na uprzedzeniach, ciemnocie, przesądach, wszelkich grzechach towarzyskich i społecznych.—Autorka przedstawiła towarzystwo prowincjonalne, jako zbiegowisko idiotów, z sarkazmem i siłą odmalowała jego sobkowstwo, ciemnotę, niedołęztwo i upadek moralny, a w tém otoczeniu pokazała kobietę niepodległego umysłu, postępowych dążeń i wykształcenia, potępianą, prześladowaną, wyklinaną. Oryginalność artykułu leżała nie tyle w jego treści, gdyż ta zbliżała go do poziomu dość znanych komunałów, ale w jego tonie, namiętym i gorącym, oraz w formie obrazowej, plastycznej, nacechowanej talentem literackim.

Redaktor zacierał ręce z radości, artykuł był potrzebny i bez zastrzeżenia honorarium,—dostało mu się za to honorowe miejsce, na początku numeru. Laura pod temi wszystkimi pracami podpisała się pseudonymem Marty.

Jednocześnie, kiedy artykuł ów szedł pod prasę drukarską, — pismo tygodniowe dało miejsce w swych szpaltach nadesłanym poezjom, pełnym gorącego kolorytu, metafor śmiałych, wyrażen ostrych i trochę nawet bluźnierczych, ale odznaczającym się tętnami życia. Te namiętne strofy płynęły nie z rozmysłu, ale z serca i rozognionej fantazyi — i czuło się takowe ich pochodzenie. Pióro redaktora zmodyfikowało kilka zbyt jaskra-

wych wrażeń, na czém wiersz zyskał— a wydawca, dowiedziawszy się, że autorka nie stawiała żadnych wymagań co do honorarium, oświadczył, że widzi w niej nowy pełen przyszłości talent, który wkrótce zrobi *furorę* i nalegał by koniecznie w *odpowiedziach redakcyi* prosić p. Martę o więcej podobnych wierszy.

Gazeta, do której zaadresowaną została nowella, kończyła właśnie w feljetonie swym powieść, ciągnącą się półtora roku, — drobiazg więc na kilka numerów przychodził także w porę. Redaktor dał go do odczytania żonie, żona mająca żal do męża zato, że jęj odmówił kupna aksamitnej narzutki, przyjęła z zapalem nowelkę, w której ród mężki stawiony został pod pręgierzem i napiętnowany wzgardą. Oświadczyła więc, że dawno już jęj nie zdarzało się czytać rzeczy tak zdrowej z taką znajomością życia pisanej, a że kasa była dość pustą i wszelkie *gratisówki* požądane,—nowella Marty, pod efektownym tytułem: *My a oni* została przeznaczoną do druku.

Widzimy, że Apollo czuwał nad losem tworów Laury, które też prawie w jednym czasie w trzech odmiennych pismach ukazały się na widok publiczny.

Pozostanie to zapewne wieczną zagadką, co mianowicie zapewnia tworam literackim powodzenie i szybkie uznanie u publiczności; wiadomo, że uznania takiego dostępowwały nieraz utwory słabe, podczas gdy rzeczy wyższej wartości mu-

siały niejednokrotnie długo na nie czekać. Sąd potomności wolny od uprzedzeń bywa zwykle sprawiedliwym, ale sąd współczesnych zależy od niezliczonych warunków, wpływów i okoliczności, które gdy się raz pozna należycie, zaczyna się bardziej krytycznym okiem patrzeć na wartość chwilowej popularności i wziętości, czyli—jak się to zwykle nazywa, —sławy.

Doświadczenie uczy, że najpewniejszym środkiem zdobycia sobie rozgłosu, który bywa połową sławy, jest wystąpienie dziwaczne, uderzające, —skandal literacki. — Podczas kiedy o najcenniejszych pracach często mało kto wie a prasa nie wspomina, — o byle broszurze ekscentrycznej, o wszelkiem bodaj głupstwie niezwykłym rozpisują się dzienniki, publiczność wie, staje się ono jedną z kwestyi dziennych.

Utwory Laury nie były pozbawione wartości, ale wartość ta nie zapewniłaby im nawet uwagi czytelników, gdyby nie ich ekscentryczność. Dzięki jej i temu, że nieznanym dotąd pseudonym *Marta* naraz w trzech pojawił się pismach, zaczęto o nim mówić, dopytywać się kto się pod nim ukrywa, że zaś same redakcyje nie widziały w tym względzie nic pewnego, *Marta* stała się tajemniczą— a tajemniczość to potężny zawsze środek wzbudzenia zajęcia. Kto to?—pytano się wszędzie w redakcyach. Ma talent!—mówili jedni. —Śmiała i energiczna!—powtarzali drudzy,—pozuje na oryginalność—wołali trzeci. Zdania były podzielone, mówiono roz-

maicie, ale mówiono i czytano — a to już bardzo wiele, to już najgłówniejsze warunki popularności.

Spierano się nawet o to czy Marta jest pseudonymem mężczyzny czy kobiety, — jedni uważali, że śmiałość wystąpienia i wyrażień nie mogła zapowiadać pióra kobiecego, — inni w tym właśnie rodzaju śmiałości upatrywali charakter niewieści. Wypadek zdarzył, że Laura, która rzadko kiedy z domu wychodziła i mogła nie wiedzieć wcale, że się jęj osobą w mieście zajmowano, dowiedziała się o tém, a to w sposób następujący. Wracając raz do domu ze sprawunkami, wstąpiła do cukierni na czekoladę. Obok nięj przy drugim stoliku siedziało dwóch młodych ludzi, prowadząc z sobą żywą rozmowę o różnych przedmiotach.

— Przyznam ci się— rzekł jeden, przeglądając pisma leżące na stole, że intryguje mię trochę ta Marta. Nie lubię w ogóle poetek i literatek, ale ta ma pewną oryginalność.

— Co do mnie, nie jestem wcale ciekawy. Utrzymywałem wczoraj właśnie u mecenasostwa, że autorka musi być brzydką starą panną.

— Zkądże ten domysł?

— Z tego co pisze. Zażalona na cały świat, złośliwa, nienawidząca płci brzydkiej, prześladowana przez wszystkich — nikt inny tylko stara panna!

— Niekoniecznie, — dużo w tém wszystkim ognia namiętności młodej,—a na nienawiści takiej znam się,—jest to...

Reszty Laura nie słyszała, gdyż szeptano po cichu. Tych kilka słów sprawiło jej przyjemność wielką, zdawało się jej, że jest bohaterką dnia, że całe miasto o niej mówi, cieszyła się serdecznie z mistyfikacyi wywołanej, śmiała się w duszy z męża, który dotychczas nic nie wiedział. Powróciwszy do domu, odczytywała po raz dziesiąty utwory swe drukowane, przygotowała do druku inne, spędziła parę godzin przy biurku, gryząc pióro, oprócz jednak zmarnowania kilku arkuszy papieru—czas ten przeszedł bez rezultatu.

Gdy mąż przyszedł, miała wielką pokusę wyjawić mu tajemnicę swojego powodzenia i opowiedzieć rozmowę słyszana w cukierni, zwalczyła ją jednak, chciała pozostać jeszcze wolną nawet od uwag Adama.—Bawiło ją, że mogła drukować bez jego wiedzy—a jak na toż mąż miał w tym czasie więcej niż zwykle zajęcia, przeglądał więc tylko pisma, nie zwracając wiele uwagi na ich treść. Z tém większą przyjemnością brała się do pióra.

Pismo tygodniowe, które prosiło ją w odpowiedziach redakcyi o dalsze współpracownictwo otrzymało wkrótce nowy wiersz p. t. *Marya i Marta*. Jeżeli utwór poprzedni uderzał śmiałością wyrażen, ten nowy odznaczał się śmiałością pomysłu. Było to niejako wyznanie wiary poetki i uzasadnienie jej pseudonimu. Kobiety, zdaniem autorki, przedstawiają dwa zasadnicze typy,—są to ewangeliczne: Marye i Marty. Marye żyją w ciasnym kółku rodziny i obowiązków rodzinnych, ci-

che, potulne, pobeżne, posłuszne prawom ludzkim i bożym, żyją wiarą i miłością, nie troszcząc się o nic, co się po za tém kołem dzieje, co się wyrabia, o co się walczy na szerszej arenie świata. Marty—to duchy niespokojne, buntownicze, które się wyłamują z pod więzów prawa i obyczaju, dążą do odkrycia szerokich horyzontów myśli, troszczą się o nabycie praw, wolności, walczą z przesadami i nigdy nie znają spokoju. Wbrew słowom Chrystusa: *Marya lepszą sobie część obręła, która jej odjętą nie będzie*,— autorka śmiało Martom oddała pierwszeństwo, Marye — jako istoty słabe i bierne, z pogardliwą traktując wyższością.

Taka apoteoza własna rażąca była, ale oryginalną. Redaktor zawahał się na razie—co z tém począć? całość nie mogła być zmodyfikowaną, usunięcie lub złagodzenie wyrażen na nicby się nie zdało,—trzeba było umieścić wszystko, lub nie przyjąć wcale. Po chwili jednak namysłu, względ na powodzenie pierwszego utworu, pewnoś, że wiersz ten bez uwagi nie przejdzie, że wywołać może odpowiedź,—wszystko to zdecydowało go do wydrukowania *Maryi i Marty* w jednym z najbliższych numerów.

Laura była uszczęśliwioną i dumną, pseudonym zaczął jej ciężyc, ambicya domagała się jaknajprędszego wypłynięcia na widownię, by się upoić jawnie podziwem tłumów. Nie mając wyobrażenia o rzeczywistych stosunkach, Laura przeceniała doniosłość swego powodzenia autorskiego, zda-

ło się jęj, że jest bohaterką chwili, że jęj pseudonym ludzie sobie z ust do ust podają, żałowała, że to tylko pseudonym nie imię rzeczywiste, — czuła jednak, że jeszcze do czasu trzeba było przy nim pozostać.

Zaprzątnięta sprawami literackimi pani Laura śpiew i muzykę zaniedbywała zupełnie; nawet strój jęj zaczął objawiać ślady zaniedbania: włosy dawniej starannie czesane, okręcały się teraz byle jak w około głowy, lub spadały na plecy rozstrzępioną kosą; uważający na wszystko Adam dojrzał nawet, całując raz rękę żony, że i ta pozbyła się dawniej staranności utrzymania. Wszystkiemu było przyczyną odosobnienie od ludzi. Po trzech blisko miesiącach pożycia, mąż przestał być bodźcem i zachętą zarówno do doskonalenia się w muzyce i śpiewie, jak i do ciągłego pamiętania o sobie, — nikt zaś obcy nie przybywał, by słuhać, podziwiać i wielbić. Niekiedy matka odważyła się zganić ukochanej Lorci, że się zaniedbuje i wskazać na jakie niedokładności ubrania zwłaszcza.

— Póki byłaś panną, moja najdroższa, wolno ci było nie zważać na mnie i na Różę, ale teraz masz męża, mężczyźni bardzo są uważający, — może się Adamowi niepodobać, żeś źle uczesana i ubrana niedbale.

Laura się rozśmiała.

— Niech się mama o to nie troszczy wcale, — stroić się dla Adama nie mam potrzeby, — on mię

kocha, więc jestem dlań w każdym stroju piękną. Zresztą, wie mama przecie, że jestem niezdrowa...

Ten ostatni argument miał najwięcej siły przekonywającej i działał zwłaszcza na Adama niezawodnie, od chwili, w której wiadomość ta doszła go w sposób następujący.

Było to wkrótce po wyjściu z druku wiersza *Marya i Marta*. Adam powróciwszy raz z bióra przyniósł list od Łomnickiego, w którym przyjaciel donosił, że po najskrupulatniejszym obliczeniu okazało się iż niema z czego spłacić długu pana Bartłomieja Czuryły a szlachcic zaczynał znowu krzyczeć i odgrażać się.

— Przepraszam cię—przemówił łagodnie Adam do żony, po odczytaniu jej tego listu. — Chciałem cię prosić, byś mi opowiedziała historią tego długu.

— A cóż on ciebie obchodzić może?— dług jest mój, ja go zrobiłam osobiście, nie jesteś wcale obowiązany go spłacać.

— To też, proszę cię, napisz kilka słów sama do szlachcica, dam ci pieniądze—odeszlij mu.

— Ależ po co?—mają nasz majątek — niech się nad nim pastwią.

— Ze sprzedaży majątku nic mu się nie dostanie.

— A to już do mnie nie należy, oddałam wszystko com miała.

— To nie racya,—dług honorowy nie może zostać nie spłaconym bez ubliżenia honorowi, zwłaszcza jeżeli jest jakakolwiek możność.



— Lękasz się krzyków Czuryły! — wszak one ciebie nie dotyczą a ja jestem na nie zupełnie obojętną. Zahartowano mię pod tym względem; przywykłam niedbać o to, co o mnie mówią.

— I masz słuszną, z wyjątkiem tych wypadków, w których mówią prawdę a złą, na to nie można być obojętnym. Pieniądze już mam, więc siadaj i pisz.

— Ktośby mógł myśleć — odrzekła ironicznie Laura, — że mój pan jest milionerem, gdy tak łatwo rozrzuca tysiącami.

— Nie jestem wcale rozrzutnym, ale te tysiąc rubli ciążyłyby mi na sercu, jak krzywda ubogiego człowieka, na którą zezwoliłem.

— Czuryło nie jest ubogim, — to dusigrosz znany.

— Na grosz zarobiony, jaki posiadać może, ma kilkoro dzieci, i gdyby nie pomoc moja, jaką mu jeszcze w domu Łomnickiego dałem, nie miałby o czem synów posłać do szkoły.

— Więc go znasz? pierwszy raz o tem słyszę! — zawołała Laura lekko się rumieniąc.

— Poznałem go wprawdzie jeszcze nimem został twoim narzeczonym. Odgrażał się, skarżył, by go uspokoić, dałem mu sto rubli.

— A to pięknych się rzeczy dowiaduję! — Więc już wprzód nim żoną twoją zostałam, traktowałeś mię jak małoletnią! Nikczemny ten Czuryło! — tembardziej nie mu nie dam!

Zerwała się z krzesła, wyszła i drzwi zatrzaśnęła za sobą.

Adam nie wiedział co ma o tém myśleć, taki wybuch gniewu dał mu istotnie do myślenia, że stało się coś nadzwyczajnego. W téj właśnie chwili pani Karpińska oświadczyła z rozpromienieniem zięciowi, że powinien być wyrozumiałym na drażliwość Lorci, będącą wynikiem jój stanu...

Odetchnął Adam,—wiadomość ta, tyle upragniona wzruszyła go do głębi,—pobiegł uściskać żonę, połajac ją, że mu tego sama nie powiedziała, przeprosić za winę, jeżeli się jakiej dopuścił, obiecał, że zrobi wszystko czego zażąda, byleby była spokojną i zadowoloną.

Dzień ten był dniem radości rodzinnej—a nazajutrz, w tajemnicy już Adam wyprawił pieniądze Łomnickiemu dla Czuryły.

— Poczciwy, zacny człowiek z twego Adama, prawda Lorciu?—odezwała się po wyjściu zięcia pani Karpińska. Jak on się ucieszył z mojej wiadomości,—ledwom go nie uściskała!

— Mogła też sobie mama pozwolić—przecież nie bronię. Ale—czego się on tak cieszył! — dziwny człowiek!

— Alboż ty się nie cieszysz także?

— Ja?...—przeciągle odrzekła Laura, wzruszyła pogardliwie ramionami i wyszła z pokoju.

## VII.

Pomimo słonecznej pogody, panującej na horyzoncie małżeńskim Sępińskich, uważny i baczny na wszystko Adam zaczął spostrzegać, że żywe, namiętne przywiązanie Lnury jakie mu w pierwszych tygodniach pożycia okazywała, stygło dość znacznie. Na to był wprawdzie przygotowany, ale wytwarzające się jednocześnie a coraz widoczniejsze jęj znużenie zaniepokoiło go, jako rzecz niespodziewana.

Zaczął się zastanawiać nad przyczyną tego zjawiska.

Laura miała istotnie wszystko, czego tylko potrzeba, żeby się nie nudzić u siebie: piękny fortepian Bechsteina; staranny wybór nut, w bibliotece dużo dzieł dla nięj obcych, kilka dzienników i pism poważniejszych, mieszkanie urządzone z całym komfortem, mogące zadowolić najwybredniejszą gospodynię, spiżarnia we wszystko zaopatrzona, kwiaty najrozmaitsze i rośliny egzotyczne w gustownych doniczkach, — mogła więc czytać, grać, śpiewać, gospodarować, pielęgnować kwiaty, pisać najswobodnięj, ilekroć tylko zapraęnęła—mąż prowadził ją do teatru, na koncerta, woził na spacer, czasem grali razem na cztery ręce, lub wieczorem on czytał jęj głośno. Gdyby przyszła jęj chęć roboty jakięj,—miała maszynę do szycia, eleganckie przybory do robótek kobiecych,—Adam z drobiazgowością prawie niezwykłą

mężczyźnie pomyślał o wszystkim czego tylko żona jego potrzebować mogła.

— Czegoż więc jęj brak? — zapytywał się ze smutkiem. Przypominał sobie wszystko cokolwiek żona mu o swoich usposobieniach mówiła przed ślubem. więc—że jest zniechęconą do ludzi, że radaby zamknąć się i pracować swobodnie w ciszy, że przekłada towarzystwo książek nad towarzystwo ludzi, że nie lubi strojów ani wrzawy, tęskni do spokoju i swobody... Wszakże to wszystko miała!—Czyżby on ją krępował w czemkolwiek? czyżby jęj niepodległemu duchowi przykra była i ta opieka, jaką nad nią roztaczał? Lecz wszak z wyjątkiem jednego tylko wypadku z Czuryłą—stosował się zresztą we wszystkim do jęj woli. Nie byłaż panią samowładną w domu?

Na te wszystkie pytania odpowiedź była łatwa, ale zagadki nie rozwiązywała. Udał się więc Adam do matki, w nadziei, że się czegoś więcej dowie.

Pani Karpińska miała pokój osobny i tam spędzała cały czas, rzadko kiedy pokazując się dzieciom. Robiła pończochę, czytała zawzięcie romanse, które były jęj ulubioną rozrywką, zjadała ochciwie łakocie nagromadzone w spiżarence córki, wczesnie kładła się spać, późno wstawiała, w Niedzielę i święta chodziła czasem z Laurą częściej sama do kościoła, wreszcie—dla urozmaicenia życia—chorowała i stękała, w skutek czego Adam dość często sprowadzał do nięj lekarza, opłacając go z własnej kieszeni.

Zięć miał u niej łaski widoczne, — uważała go, i słusznie, za swego wybawcę, lubiła z nim rozmawiać, obszernie wtajemniczając go w dzieje swego reumatyzmu i innych chorób, jakim podlegała w życiu.

— Czy mama nie uważa,—zapytał więc ją raz w rozmowie,—że Lorcja się nudzi.

— Nudzi się?—toby było za prędko!— ale ja ją zapytam.

— Niech mama tego nie robi, ja tylko chciałbym tak się urządzić, by się nudzić nie potrzebowała nigdy.

— O! ja wiem, że kochany pan Adam kocha ją szalenie,—ale proszę sobie z tego nic nie robić,—Lorcja od piętnastego roku życia zaczęła się nudzić,—taka już jej natura. Tylko jak dużo przy niej osób a szczególnie młodzieży — wtedy była zawsze wesoła a miła nadzwyczaj. Co to się działo, powiadam panu, w czasie naszej podróży zagranicę!—wszyscy się Lorcją zachwycali,—jeden hrabia włoski szczególnie szalał za nią a że był zonaty, ledwo do rozwodu nie przyszło.

— Nic mi o tém Lorcja nie mówiła, — rzekł, kryjąc niepokój, Adam.

— Ale, niechże kochany pan nie myśli, że było co złego—broń Boże! przecież ja tam byłam, a gdy nie mogłam sama towarzyszyć jej na wyprawy i wycieczki, to zawsze była Róża,—o! nieodstępnie!—Mówię to tylko dlatego, że Lorcja przepadała zawsze za towarzystwem, a szczególnie męż-

1  
kiem. Czy uwierzy pan, że od najmniejszego dziecka zawsze wolała chłopców niż dziewczynki. Pewnego razu...

Tu wejście Laury do pokoju przerwało opowiadanie.

— Że też mama musi zawsze nudzić Adama opowiadaniem dziejów mojego dzieciństwa,—myślę, że już je na pamięć umie.

Jakkolwiek wzmianka o owym hrabi włoskim nieprzyjemnie drasnęła Sępińskiego, pozbył się wkrótce niemiłego uczucia, powiedziawszy sobie, że liczne znajomości w podróżach należą do rzeczy nieuniknionych — a niepodobna było dziwić się, że piękność Laury robiła na wszystkich wrażenie.

Waż zazdrości gnieździł się w jego sercu, przypominał więc sobie znaczną różnicę lat zachodzącą między nim a żoną, lękał się losu starych mężów, choć czuł się młodym i silnym, jednocześnie jednak, ilekroć ów waż zazdrości poruszał się na dnie serca, całą siłą woli przygniatał go i do milczenia zmuszał.

Bądź co bądź rozmowa z matką otworzyła mu nieco oczy: Laurze brakowało towarzystwa, trzeba było zbliżyć się do ludzi. Nie miał on zamiaru żyć w zupełnem zamknięciu, ale pragnął jaknajwięcej oddalić chwilę owego zbliżenia. — Było mu tak dobrze.

— To egoizm! — powiedział sobie stanowczo — trzeba już raz porobić odpowiednie kroki.

Przystąpił do tego zaraz nazajutrz.

— Kiedyś mi moja pani powiedziała — rzekł, gdy siedziano przy obiedzie, — że na zawiązanie stosunków towarzyskich czekać będzie, aż sam tego zapragnę. Otóż, mam zaszczyt oświadczyć, że pora nam zbliżyć się do ludzi. Czy zgoda?

— Przyrzekłam być posłuszną rozkazom pana męża—odrzekła Laura z zartobliwą pokorą.—Od kogoż zaczniemy wizyty?

— Chciałem cię najpierw zapoznać z panią Henrykową Ożyką.

— Wspominałeś mi coś o niej, ale nie pamiętam. Któż to jest? — Czy istnieje i pan Henryk Ożycki?

— Istnieje,—mówię najprzód o niej, myśląc iż cię więcej obchodzić może, ale, jeżeli wolisz—zaczynę od niego.

— Tak wypada, — od *głowy domu*. Więc słucham. Pan Henryk Ożycki...

— Kolega mój z ławek uniwersyteckich, jest zdolnym adwokatem, mającym rozległą klientelę, a co ważniejsza—jak najlepszą opinię.

— To dla mnie jeszcze nie jest gwarancją, by był porządnym człowiekiem.

— Więc niech ci gwarancją tę da moje słowo—dodał z uśmiechem Adam, — znam go bardzo dobrze. Żonaty od lat ośmiu, zgromadza w domu swym wyborowe towarzystwo, w którym poznać można prawie to wszystko, co jest najwybitniejszym w tutejszj inteligencji. Dom gościnny po staropolsku...

— Jakto? goście się objadają i upijają?

— Przeciwnie, goście są jakby we własnym domu, lecz że, jak powiedziałem, gromadzą się u nich ludzie przyzwoici i wykształceni, więc ekscessów niema wcale, tylko swoboda, serdeczność i wesołość stanowi cechę zgromadzenia. Gospodyni jest niezmiernie uprzejmą, umie nadać swemu domowi ton jaknajprzyjemniejszy i bywa duszą towarzystwa, ożywiając je swym rozumem, dowcipem i wdziękiem.

— Czy ładna? bo nie wiem, czy nie będę potrzebowała stać się zazdrosną.

— Zaręczam, że nie, chociaż pani Henrykowa, kobieta lat trzydziestu, nie piękna i matka czworga dzieci—może się nie bać porównania z wielu młodszymi i piękniejszymi.

— Czy mam to wziąć do siebie?

— Nie,—żona stoi po za obrębem wszelkich porównań, — wesoło odrzekł Adam, całując rękę Laury.—Chciałbym, żebyście się sobie nawzajem podobały, gdyż żadna z kobiet, jakie znam — nie budzi we mnie takiej czci, jak ona.

— Więc w danym razie może się przydać, jako gotowy dla mnie wzór, nieprawdaż? — Niechże wiem co ci się w niej najwięcej podoba.

— Najpierw, jest dobrą żoną i matką, dalej kobietą rozumną, myślącą i bardzo miłego charakteru, dalej—rządną gospodynią i praktyczną współpracowniczką męża, — wreszcie posiada znaczne wykształcenie i—talent autorski.



— Czy tak?—jest literatką? — trzebaż mi było o tém napierwój powiedzieć, tobym nie potrzebowała dalszej zachęty do poznania.

— Mówiłem w porządku, zaczynając od rzeczy najważniejszych a kończąc na najmniej ważnych.

— Sądzę, że u literatki talent jest najważniejszą.

— Ale nie u kobiety, a mówiłem o pani Ożyckiej, jako o kobiecie.

Wybrano się tedy nazajutrz z wizytą. Laura ubrała się starannie i wyglądała tak pięknie, że mąż nie mógł się oprzeć uczuciu dumy. Razem ze strojem przybrała i owe ruchy okrągłe, dystyngowane, od których odzwyczał się już trochę Adam, patrząc na nią w domu. Elegancka wynajęta karetka odwiozła ich do domu Ożyckich,—tu jednak lokaj oświadczył, że państwo wyjechali na miasto,— trzeba było poprzestać na zostawieniu kart wizytowych.

Dzień był grudniowy, mroźny ale jasny i pogodny. Laura nie miała ochoty powracać do domu, postanowiono więc zwiedzić wystawę obrazów, korzystając ze słońca. Podczas gdy mąż kupował bilety wstępu, Laura rzuciła okiem w około siebie i ujrzała dwóch mężczyzn schodzących w tej chwili ze schodów.

Prowadzili z sobą głośną rozmowę, po której kilku frazesach można było poznać w nich artystów, wyrokujących o pracy kolegi.

— On niema pojęcia o perspektywie powietrz-  
Wbrew opinii.

nej!—mówił jeden z nich niemłody już, niski w wyszarzanem ubraniu, potulnej na pozór postaci, z twarzą do której przylgnął, niby maska, wyraz złościwości i ironii.

— Ależ co za pojęcie rzeczy, co za traktowanie ciała!—to wata a nie ciało, żadnych studyów natury! I taki niedołęga potępia naturalizm w sztuce—i wierzą mu na słowo—idyoci!

Tak wykrzykiwał drugi, młody, blondyn, słuszny, silnej budowy, z bujną kędzierzawą fryzurą, sutym wąsem i długą hiszpanką. O ile towarzysza jego wydawał się nieśmiałym i pokornym, ten z góry patrzył na świat i ludzi, a cała jego powierzchowność jak i postawa tchnęły pewnością siebie i pojęciem własnej wyższości.

— Ale cóż na to poradzić, zachwycają się!

— Bydło! — odrzekł na to krótko blondyn, — czy u nas warto być artystą. — Ale, powiem ci więcej,—wyobraź sobie, że...

W tej chwili mówiący dojrzał stojącą u schodów Laureę, spojrzenia ich spotkały się z sobą.

— Że co?—pytał towarzysz.

— Że... że... jak się nazywa... że trzeba być ślepym chyba na to, by u nas tworzyć z pamięci, nie studyując natury,—tyle żywych arcydzieł piękna!

Adam podał ramię żonie i wprowadził ją po schodach do skromnego przybytku muz.

Dwaj towarzysze zostali na dole.

— Słowo honoru, przesliczna kobieta! — nie wiesz, kto to?

— Zkądże ja mam wiedzieć,—to przecież twoja specjalność! realizm, studia z natury...

— Bądź zdrow! ja się muszę dowiedzieć. — Podał dwa palce na pożegnanie i pobiegł na górę.

W sali było kilkanaście osób, łatwo więc od progu już znalazł kogo szukał. Laura, wspierając się na ramieniu męża, przechodziła z nim kolejno od obrazu do obrazu, robiąc półgłosem uwagi, najczęściej ironiczne. — Nic jej się tu nie podobało, nic nie było godnem uznania,— oglądała przecie galerye włoskie i poczuwała się do wyrobionego sądu krytycznego o sztuce. Adam stawał niekiedy w obronie krytykowanych, podnosił zalety obrazów, ale sceptycznego usposobienia żony przemódz nie mógł.

— Ty bo się wstawiasz za wszystkim co swojskie...

— Wtenczas, gdy mi kto zachwala wyłącznie obce. Galerye ruchome jak ta, i zagranicą nie świecą arcydziełami.

— Ależ są przynajmniej rzeczy dobre a tu...

— Znajdują się i tu, choć ich mało.

— Przytem— dodała Laura — zdaniem mojem, owa sławiona swojskość krępuje u nas i obezwładnia artystów. Czyż w obec sztuki może istnieć narodowość!—artysta powinien znać tylko człowieka i jego naturę.

— Rzecz prosta, ależ każdy człowiek nosi na sobie jakąś cechę plemienną lub narodową, która go wcale nie pozbawia jego człowieczeństwa;—

dla czegożby artyście wolno było jedynie malować ludzi abstrakcyjnych, kiedy narodowość należy do cech nieodłącznych człowieka i stanowi żywioł różnaitości w sztuce?

— Ja mu też nie zaprzeczam prawa, ale uważam, że go nadużywają. Ciągły widok naszych dworków, naszych chłopków, naszych karczem, typów, strojów, dziejów i t. d. może wreszcie znudzić!

— Przyznaj, że gdyby u nas malowano tylko francuzkich fermerów, niemieckich burgerów i włoskich lazarónów—byłoby co najmniej śmiesznem! Każdy naród przynosi do wspólnej świątyni sztuki, to co posiada, co zdobył w ciągu wieków na swoją własność,—z tych różnorodnych scen, typów i krajobrazów przeziera zawsze ten sam człowiek i ta sama natura. Oto—patrz, widoki Sorrento.

— Jakież to zimne, mdłe i nieprawdziwe! — szepnęła Laura.

— Włoch zrobiłby to lepiej—nieprawdaż?

— O! z pewnością.

— A wiesz czemu? — bo mógłby mieć głębsze poczucie tej natury, jako swój rodzimój. Ten sam Włoch, gdyby odmalował naszą wioskę,—każdy z nas powiedziałby: jakież to nie nasze!

— Być może—obojętnie odrzekła,—przyznaję się jednak, że jestem kosmopolitką w sztuce.

— A ja pokłonię się przed kosmopolityzmem w sztuce wtedy, gdy zjawi się kosmopolityczny język i znikną wszelkie różnice narodowości.

— Do tego zmierzamy.

— Patrz, ilustracya do naszej rozmowy!— rzekł z uśmiechem Adam, wskazując obraz, przedstawiający Chrystusa jako pasterza, wśród mnóstwa garnących się ku niemu owiec. Podpis pod obrazem mówił: *jeden pasterz i jedna owczarnia.*

Laura skrzywiła się z lekceważeniem.

— Nie lubię obrazów religijnych.— W tej chwili spostrzegła, że ów blondyn widziany na schodach stał za nimi i zdawał się przysłuchiwać rozmowie. Zamilkła. Jednocześnie zamilkł i Adam, rozmyślając nad znaczeniem zagadki, która z dniem prawie każdym dlań rosła. I dawniej dysputował on z Laurą, i dawniej były różnice w ich poglądach, jednak zawsze przychodziło do porozumienia i zgody na jedno. Teraz, spostrzegał coraz częściej, że różnice ich zdań rosły, że przestrzeń ich dzieląca rozciągała się. Smuciło go to, pragnął harmonii zupełnej — tymczasem stawała się coraz trudniejszą. Czyżby dawniej miał on mieć więcej siły przekonywania? czy Laura ustępowała umyślnie, by go nie zniechęcać? Nie! myśl tę odpychał stanowczo, byłoby to jój niegodne! Czyż nie należało raczej tego uporu i drażliwości przypisać rozdrażnieniu nerwowemu?...

Uspokoilo go to trochę.

Po przejrzeniu wszystkiego co na uwagę zasługiwało, zabierano się już do wyjścia z sali, gdy najniespodzianie pojawili się w niej państwo Ozyccy. Mężczyźni podali sobie ręce i Adam

przedstawił żonę, oświadczając, że wracali właśnie z wizyty u nich.

Rozmowa w takich razach bywa tylko pretekstem do wzajemnego przypatrywania się sobie stron; kobiety zwłaszcza celują w bystrem orientowaniu się, tak, że gdy naiwny widz uważa się jedynie za świadka aktu grzeczności i serdeczności wzajemnej, one tymczasem obejmą okiem wszystko, od zapudrowanej plamki na twarzy aż do rozpiętego guzika w rękawiczce i wyglądającej z pod sukni białej falbany. Więc i tu, choć rozmowa trwała kilka minut zaledwo, Laura miała już czas powiedzieć sobie, że Ożycki miał powierzchowność przyjemną i inteligentną, że jego żona była mu pod tym względem równą, choć prawdopodobnie nie o wiele od niego młodsza, że strój miała gustowny choć niepretensjonalny i tak dalece pozbawioną była pretensyi, iż w czarnych gładko na czole uczesanych włosach przeglądała już siwizna, chociaż uważając z cery i rysów twarzy trzeba było liczyć pani Ożyckiej co najwięcej lat trzydzieści. Układ jej był poważny, ale sympatyczny, wielkie niebieskie oczy zdradzały rozum i dobroć zarazem, na gładkiem, wysokim czole świeciła myśl pogodna a dość szerokie usta składały się w rozmowie do bardzo miłego uśmiechu.

— Jakże ci się podobała pani Ożycka?— zapytał Adam, gdy już pożegnawszy się, schodzili ze schodów.

— Zdaje mi się, że będę zadowoloną z téj znajomości.

— Bardzobym się z tego cieszył.

Pozostawało jeszcze zwiedzić na dole wystawę rzeźby,—wstąpili więc do izby, w której sztukę tę dość skąpo prezentowały popiersia gipsowe, kilka figur i parę marmurów.

— Tu istotnie niema nic godnego uwagi—rzekł Adam rozejrzawszy się w około—chodźmy dalej.

Niebezpiecznem jest wypowiedanie podobnych zdań głośno;—gdyby Sępiński spostrzegł wyraz twarzy blondyna, który asystował im tu znowu, łatwoby się mógł domyśleć, jaką popełnił niezręczność. Na twarzy téj malowała się wzgarda, jaka się tylko z głęboko dotkniętej ambicyi artysty urodzić może. Zaledwo wyszli z pokoju—rozległ się w nim jeden wyraz, rzucony z taką siłą, że gdyby wyrazami można było uśmiercać ludzi, niewątpliwie od tego jednego Adam padłby trupem.

Wyraz ten był: osioł! tylko wymówiony tak, że zamiast jednego piętnaście s w nim syczało.

— Osioł!—powtórzył blondyn raz jeszcze, jakby napawając się rozkoszą zemsty,—on się zna na sztuce!—utrzymuje, że tu niema nic godnego uwagi!—A mój Samson! —wartoż być artystą w Polsce, gdy tacy porywają się do sądów!—Samson, w którym Buonarotti zmartwychwstał, którego mi Thorwaldsen pozazdrościł, do którego Canova ani się umył,—Samson niegodny uwagi!

Tu mistrz stanął przed swem dziełem i targał

hiszpankę zajadle. Samson gipsowy rozdzierał lwa z większą jeszcze zajadłością, włosy mu się najeżyły, oczy na wierzch wybiegły, nogi rozszedził tak, jakby i jemu katastrofa rozdarcia groziła,—ale to też nieszczęśliwy lew miał tak desperacką minę, tak żałośnie spojierał na swego pogromcę, że żal było patrzeć.

— I oto tacy wydają wyroki! tacy formują opinię, ach! ta opinia! rzuciłbym ją sobie, jak on lwa pod nogi i podeptał.—Kto mnie tu zrozumie i oceni! czy warto się nawet znizać do takich pojęć!— I to jest mąż takiej kobiety! istoty mającej pogląd wyższy, umysł wolny, ducha niepodległego. Czyż on ją może zrozumieć i ocenić, on co powiada, że tu niema nic godnego uwagi! Nie! wyrwać mu tę kobietę—byłoby zasługą, byłoby istotnym czynem dla idei!

Gdy Laura wyjrzała oknem karety, spostrzegła że nieznajomy blondyn jechał za nimi w dorożce. Uśmiechnęła się: od chwili przyjazdu do Warszawy śledzono ją po raz pierwszy—a tyle o tem słyszała.

Teraz zaczęła przemyśliwać nad możliwem ozdobieniem swego saloniku: należało go przedstawić gościom w należyтым porządku. Meble były nowe, ale zakurzone, rozpatrując się po ścianach, znalazła w kącie pajęczynę, na oknach kwiaty w doniczkach miały smutną minę gdyż nieporządek domowy odbijał się i na nich i podlewano je dość kapryśnie. Jednak ani kurz, ani pa-



jęczyna nie dolegały Laurze tyle ile portrety rodzinne na ścianach. Raziły one jej smak estetyczny, nie pozwalały na zawieszenie oryginałów Rembrandta, Ruisdaela i Teniersa a owa ukochana babka Adama, patrzyła na swoją wnuczkę tak groźnie, że spojrzenia jej zniesć nie mogła. Spojrzenie to prześladowało ją niekiedy jak zmora, malarz całą swoją siłę włożyć musiał w te oczy, one jedne w twarzy żyły i miały wyraz, któremu trudno się było oprzeć. Nienawiść do owjej babki powzięła Laura od pierwszego dnia pobytu w tym domu,—teraz wzrastała ona z dniem każdym.

— Mam prosić mojego pana o jedną łaskę — odezwała się pokornie i z pieszczotą Laura do męża, gdy po obiedzie zasiedli w salonie do rozmowy.

— Słucham,—cóż to za uroczysta jakaś prośba?

— Ale potrzebuję najpierw przyrzeczenia, że nie dostanę odmowy.

— Postaram się o to.

— Proszę o słowo!

— Nie mogę dawać z góry, bo nie wiem czy będę mógł dotrzymać.

— Będiesz mógł. Tu idzie tylko o twoje pozwolenie na jedną drobną zmianę w urządzeniu domu.

— Ależ, jeżeli tak — to twoja jurysdykcyja! Jesteś samowładną panią tego domu i wolno ci nawet pewnego pięknego poranku mnie wytransportować z gabinetu.

— Czy tak?—no to ja mniejszej chcę dokonać rzeczy. Chcę tylko do twego pokoju przenieść z salonu portrety—a na ich miejsce zawiesić moje oryginały. Wszak to będzie stosowniejszem, portrety rodzinne zawieszane bywają zwykle w sali jadalnej—nie w salonie?

— Wiem o tém, pozawieszałem je w salonie z tój racyi, że pokój ten uważanym bywa za pierwszy w domu,— a w liczbie przeróżnych przedmiotów jakie posiadam—portrety rodziców i babki są dla mnie najdroższą pamiątką. Gdyby oni żyli, wszak oddawalibyśmy im pierwsze miejsce w naszym domu, nieprawdaż?

— Niewątpliwie—rzekła Laura,— ale to co ma pamiątkowe znaczenie dla nas, nie ma go dla obcych, a ci widząc tylko wartość malowidła, przyznasz że bardzo niską, mogą śmiać się nawet z tego co dla nas drogie. Portretom więc będzie najlepiej u ciebie,—masz tam już mój, będziesz teraz miał wszystkich swoich,—zgoda?

— Powiedziałem ci, że masz zupełne prawo rozporządzania się w twoim domu.

— Zresztą—wstydy mi się przyznać—dodała—portret twojej babki robi na mnie takie wrażenie, że drzę cała gdy się z jej wzrokiem spotkam. Z tego powodu mama radziła mi, żebym unikała salonu...

— O! jeżeli tak—zawołał Adam—sam, natychmiast poprzenoszę portrety, by zaś moja pani nie unikała mego gabinetu, portretu babki w nim nie zawieszę.

Laura uściskała męża i wzięto się natychmiast do porządkowania. Z jakąż przyjemnością, na miejsce częstochowskich, jak je nazywała, małowideł, zaczęła zawieszać ulubione oryginały, jaką ozdobą stał się dla salonu Amor uwieńczony kwiatami, którego spojrzenie budziło uczucia rozkoszne i kazało marzyć o szczęśliwościach złotego wieku.

Na zamianie jednak obrazów nie skończyło się, Laura zakupiła sporo kwiatów w doniczkach, kazała oczyścić i odświeżyć cały salonik, przygotowując się na przyjęcie rewizyty Ożyckich, która mogła się stać początkiem stosunków z ludźmi. Wstępowało w nią nowe życie.

Stosownie do praw zwyczajowych, trzeciego dnia państwo Ozyccy przyjechali oddać wizytę. Ponieważ był to dzień powszedni, Adam poszedł do bióra i Laura sama gości przyjęła. Ucieszyło to ją, mogła rozwinać całą zręczność i umiejętność zabawiania gości, nie ulegając kontroli męża, którego o budzący się w nim zmysł krytyczny mocno już posądzała.

Z panią Ożycką rozmowa zawiązała się gładko i przyjemnie; mówiono o Warszawie, jej przyjemnościach, wygodach i kłopotach, oboje mieli dużo stosunków i doskonałą znajomość miasta. Jedno tylko zastanawiało Laurę, że osoba, którą jej Adam przedstawiał jako literatkę, mówiła o wszystkim—tylko nie o literaturze, a co gorsza, z największem zajęciem rozpytywała się o to, jak

młoda gosposia nieobyta z miastem dała sobie radę z urządzeniem domu. co sprawiło Laurze ambaras nie mały. Ona nie mogłaby nawet zdać sprawy z kosztów całodziennego utrzymania, a cóż dopiero z tego zkaąd się co bierze i poczemu płaci.

Ambaras ten nie uszedł najpierw uwagi pana Ozyckiego, który pośpieszył wmieszać się do rozmowy, by przenieść ją na inne przedmioty.

— Dziwi się pani może, znajdując w żonie mojej taką zawziętą gospodynię? — I ja ją podejrzewam często, że na to tylko tak żywo zajmuje się gospodarstwem, by poprawić opinię literatek, pomawianych zwykle o niepraktyczność.

— Z równą może słusnością, z jaką ja posądzaną bywam o literaturę! — odrzekła śmiejąc się pani Ozycka.

— Czyżby się pani z tém tała? — zapytała gospodyni—wiem od mego męża, że się pani literaturą zajmuje.

— Istotnie, zajmowałam się nią, albo raczej bawiłam się w autorstwo za czasów panieńskich, ale od kiedy zostałam matką, literaturą moją jest bajka, którą czytam Wandzi, *Wieczory w Ojcowie* syllabizowane razem z Tadzkiem i czasem — jako pozostałość żyłki autorskiej, powiastka dla *Przyjaciela dzieci*, ku wielkiej uciechu Wandzi, Tadzka i Jadwini razem, które nie mogą się nacieszyć tém, że *to mama dla nas pisała!*

— Czy rzeczywiście nic innego pani teraz nie pisze?

— Ukrywa się z tém,—dorzucił mąż.

— Masz słuszość, mój drogi, piszę jeszcze co wieczór rachunek wydatków całodziennych, lecz przy współdziale mojej Joasi, kucharki,—że zaś to jest naszą tajemnicą stanu, tych wspólnych opracowań nie pokazuję nikomu.

— Jednak pani drukowała swe prace?—ozwała się znowu Laura, której chodziło koniecznie o poznanie poglądów w tej kwestyi pani Ozyckiej.

— Ja nie poczuwam się do tego!—to mój mąż drukował, chcąc mi zrobić niespodziankę.

— Więc nawet bez wiedzy pani?

— Tak jest, podstępnie wyłudziwszy u mnie rękopism, niby do przeczytania, oddał go do druku i złożył mi w dzień imienin pierwszy egzemplarz książki.

— A! to ładnie! to bardzo ładnie!—wołała Laura ze szczerem uznaniem, — dał pan tém wymowny dowód, że nie wszyscy mężczyźni przeciwni są autorstwu kobiety; wyobrażam sobie, jak się pani tém ucieszyła!

— Istotnie, dziwne to na mnie zrobiło wrażenie, ale—powiem otwarcie, że było w tém więcej jakiegoś mimowolnego zawstydzienia, niż radości. Na myśl o tém, że wszystko, co dla siebie samęj tylko spisywałam, znajdzie się naraz w ręku ludzi zupełnie obcych a—co gorsza, w ręku krytyków—czułam prawie żal do Henryka, że był tak niedyskretnym.

— Dodam jeszcze, do czego by skromność mo-

jój żony nie pozwoliła jój się przyznać, że krytyka przyjęła książkę przychylnie.

— I to nawet nie zachęciło pani do dalszego pisania?

— Owszem, onieśmieliło. Dopóki pisałam tylko dla siebie, korzystałam z wolności zupełnej, mogłam swobodnie przelewać na papier co tylko przez myśl mi przeszło. Po tém uroczystem a niespodzianem przyjęciu mię do cechu piszących, uczułam nagle tyle przeróżnych więzów, tyle warunków, którym trzeba odpowiedzieć pisząc do druku, że odbiegła mię zupełnie odwaga. Zresztą, książka owa zawierała poglądy moje na wychowanie dzieci,—teraz więc przyszła kolej zastosowania owój teoryi do praktyki—a to przekonało mnie, że w wielu względach myliłam się i budowałam zamki na lodzie. Dziś, ile razy napaśnie mię chęćka do pióra, pytam się: czy nie lepiej chwilę wolną od zajęcia się dziećmi i gospodarstwem obrócić na kształcenie się własne, niż pisać, myśląc się w dalszym ciągu. Zresztą tego wolnego czasu tak mało, książek zaś do czytania tak dużo, że zamiast pisać — czytam, uważając iż jest to daleko korzystniejsze i bezpieczniejsze. Uznaję wielką słusność w dowcipnem powiedzeniu Woltera, że nic łatwiejszego jak rzeczy słabiej—nie napisać wcale.

— Ale czyta pani dużo?

— Mniej niżbym chciała, co znówu trzeba przypisać potroszę i naszemu nałogowi czytania pism

peryodycznych, nim się je przejrzy uważnie, upływa tyle czasu, że na książkę już go brak prawie.

— Ja zaś czytam nasze pisma z wielkiem zajęciem, odbijają one bowiem w sobie życie nasze społeczne, ze wszystkimi jego zaletami...

— I dziwactwami—dokończyła pani Ożycka.— Tak, istotnie jest to swego rodzaju zwierciadło.— Czy pani zna naprzykład artykuł niedawno w jednym z pism naszych drukowany p. t. *Sądy opinii publicznej?*

Laura drgnęła, ale umiała nie zdradzić wzruszenia. Mówiono o jej artykule, — jakże ciekawą była zdania o nim!

— Przypominam sobie—odrzekła spokojnie.

— Rzecz napisana z niewątpliwym talentem, ale ileż w tém przesady, egzaltacyi i wprost śmieśności! Wcale nie myślę apoteozować naszej opinii publicznej, wiem że się bardzo często myli i uprzedza, że nie zawsze na nią zważać trzeba, ale wniosek ztąd wyprowadzany, że ona krępuje wszelką samodzielność naszą, że składają się na nią wyłącznie same nietoperze, nieznoszące widoku światła, że więc należy koniecznie iść wbrew opinii, jeżeli się chce zrobić coś dobrego, uważam wprost za niebezpieczny.

— Co do mnie—odezwał się Ożycki—ze stanowiska mojego, jako prawnik i adwokat, mając liczne sprawy rozwodowe do prowadzenia, mam sposobność przypatrzenia się zblizka opinii publicznej, zarówno miejskiej, jak i prowincjonalnej...

— I do jakiegoż pan doszedł wniosku?

— Z początku nie wierzyłem wcale opinii, bo mi się zdarzyło widzieć, jak się ona myli często i jak niesłusznie potępia. Z czasem jednak doświadczenie niewiarę tę we mnie zachwiało. W bardzo wielu wypadkach, zwłaszcza w procesach rozwodowych, opinia mówiła mi już z góry to, o czém sam przekonałem się w końcu. Bądź co bądź, z wyjątkiem nielicznych wypadków, opinia, jeśli potępia kobietę, ma do tego zasadę słuszną. Wspominam tu jedynie o stosunku opinii do kobiety, ponieważ o tém tylko traktował ów artykuł.

— Więc i pan tak ostro do nas się odnosi?—zapytała z wdziękiem Laura, — podziela pan uprzedzenie opinii, która tak łatwo na kobietę rzuca gromy?

— Jako adwokat nie potępiam nikogo, tylko bronić jest mojem powołaniem, przyznaję się wszakże, iż często obowiązek obrony kobiet potępianych przez opinią bywa mi niewypowiedzianie trudnym. Opinia skłoną jest do potępienia kobiety w sprawach zatargu między małżeństwem, to prawda, ale też w znacznej części tych wypadków, jak mię doświadczenie uczy, opinia ma słuszość. Z wyjątkiem tych związków, w których mężczyzna jest łotrem lub waryatem, najczęściej my mężowie jesteśmy takimi, jakimi nas panie uczynią.

W tej chwili rozległ się w przedpokoju dzwo-



nek,—Adam powrócił z bióra. Rozmowa się ożywiła, ale że państwo Ozyccy mieli jeszcze parę wizyt do zrobienia, wkrótce się pożegnali, przy czem obie strony wyraziły gorącą chęć utrzymania zawiązanego stosunku i korzystania z niego jak najczęściej.

— Jakże ci się teraz wydała pani Henrykowa? zapytał Adam.

— Bardzo miła osoba, cieszę się, żeśmy się poznały,—odparła Laura,—w sercu jednak skrywała już pewną dla niej niechęć. Instynktem odczuła, że między niemi leży przestrzeń znaczna różnicy w poglądach i usposobieniach,—krytyka zaś artykułu rozdrażniła ją naprawdę. Więc i tutaj, w mieście przeznaczenie każe jej żyć z ludźmi zafanami, więc i tu nie będzie zrozumianą i ocenioną? Był to przykry zawód, — pocieszała się tylko nadzieją, że w domu Ozyckich, w którym tak wiele osób bywało, potrafi znaleźć ludzi odpowiednich swemu usposobieniu.

Gdy po obiedzie zabrano się w saloniku do zwykłej gawędy, przy czarnej kawie, Laura nie mogła się oprzeć chęci wybadania męża. Opowiedziała mu treść rozmowy z Ozyckimi, pytając czy zna ów artykuł, który stał się jej przedmiotem. Gdy Adam oświadczył, że go nie miał czasu odczytać, wyszukała mu ów numer pisma, ciekawa co też powie.

— Powiem ci—rzekł Adam, po przeczytaniu,— że gdybym nie wiedział, iż dotąd prac swych nie

drukowałaś nigdzie, gotów byłbym twierdzić, że to twoje pióro i twoje przekonania, o ile wypowiadałaś je przed naszym pobraniem się.

Laura lekko się zarumieniła.

— Zgadłeś,—tak, to mój artykuł.

— Dlaczegoż w takiej tajemnicy przedemną drukowany? Czy nie zasłużyłem u mojej pani na godność pierwszego czytelnika jej tworów?

— I pierwszego cenzora?—dodała z ironicznym uśmiechem. — Powiem ci otwarcie, że w naszych poglądach zachodzą takie różnice, iż wątpiłam czy otrzymam twoją absolucyą—albo raczej czy zasłuży na nią mój artykuł. Pani Henrykowa opowiadała mi, jakim sposobem dzieło jej ujrzało prasy drukarskie—dodała po chwili milczenia —bardzo mi się ten postępek Ożyckiego podobał, musi żonę kochać istotnie.

— Gdyby to tylko miała być miara przywiązania, wątpiłabyś pewnie o mojem dla ciebie, gdyż dotychczas nie robiłem ci nawet propozycyi drukowania prac twoich.

— Widocznie, że ich nie cenisz.

— Bynajmniej,—stało się tak jedynie dlatego, że—jak sobie przypominasz pewnie, odzywałaś się zawsze o swém autorstwie, jako o sposobie wyrażenia tego, co ci na sercu leży,— w braku możności podzielenia się niem z kimkolwiek inaczej.

— Nie potrzebujesz się tłumaczyć — odrzekła Laura—powiedz raczej szczerze, co myślisz o tym artykule.

— Zrobił on na mnie bardzo niemiłe wrażenie, jako zabytek tych czasów, w których czułaś się prześladowaną, posądzaną, krzywdzoną, a nie miałaś nikogo, ktoby cię zrozumiał i ocenił. Czuć w nim namiętne rozdrażnienie istoty osobiście dotkniętej; chciałbym przeszłość tę oddzielić od ciebie przepaścią nieprzebytą! — Zkądże ci przyszło drukować ten artykuł teraz, jakby usposobienie twe w niczem się, pomimo zmiany warunków, nie zmieniło. Któż cię tu, dziecko, prześladowuje? kto krępuje twą samodzielność? kto cię krzywdzi?—pytał Adam z tkliwym uczuciem, nachylając się ku żonie.

— Więc mój pan nie gniewa się za to, że bez jego wiedzy pozwoliła sobie przekroczyć szranki literackie? Więc mi pozwala pisać swobodnie?

— Co za pytanie! Jeśli ci to sprawia przyjemność i jest potrzebą twoją, pisz, dawaj mi rękopisma, odniosę kiedy tylko każesz do drukarni i będziesz miała nową zabawkę—książkę własną!

— Jakto? naprawdę, chcesz bym wydała książkę?—tuląc się do męża z kokieterijną pieszczotą, zapytała,—chcesz?

— Skoro tylko ty sobie tego życzysz...

— I zrobisz wydanie piękne, na welinie, o złotych brzegach?...

— Na pergaminie, jeżeli wolisz, by rzecz zachowała się aż do najpóźniejszych pokoleń — odparł śmiejąc się dobrodusznie.

— Ale jakże uważasz to moje zachcenie?—jako dzieciństwo prawda?

— Nie, jako niewinny kaprys mojej drogiej żoneczki, którą zadowolnić jest jednym z najprzyjemniejszych dla mnie zadań.

— A gdybym uważała wypowiedzenie tego co myślę i czuję, jako mój obowiązek w obec społeczeństwa, które potrzebuje reformy i poprawy?

— Tobym ci powiedział, że gdyby wszystkie podobne plany reformy wpływ swój choćby w mikroskopijnej ilości wywierały, w ciągu krótkiego czasu kamień by na kamieniu w społeczeństwie nie został. Szczęściem dzieje się inaczej — społeczność reformuje się ciągle, ale powoli, na podstawie naturalnego rozwoju i dzięki tym głównie, którzy nie ją, ale siebie reformują. Taka jest moja wiara w tym względzie.

— Lecz w takim razie jakaż racya bytu całej literatury? jakaż doniosłość słowa, jeżeli tylko same czyny mają wartość? — Każde będzie jedynie prózną igraszka!

— Każde z wyjątkiem tych, z którymi zostaje w zupełnej harmonii życie. Na szali losów tylko takie zaważyć mogą.

— Mogłabym to wziąć za przymówkę do mnie, zdajesz się utrzymywać, że ja inaczej piszę a inaczej postępuję.

— I tak jest, gdybyś postępowała w myśl swego artykułu, musiałabyś ciągle być w walce z opinią, a tymczasem, co o wiele lepsze, wolisz być z nią

w zgodzie i zamiast nią gardzić, wolisz pozyskać jej szacunek dla siebie. Walczyć z opinią bywa czasem świętym obowiązkiem, pogardzić nią zasługą,—ale to wypadki wyjątkowe, to ostateczności, tych nie potrzebujesz dziś— i nie będziesz potrzebowała!

Mówił to głosem miękkim, łagodnym, choć zupełnie poważnym. Podała mu czoło do pocałowania.

— Ten człowiek nigdy mnie nie zrozumie—mówiła sobie w duchu—jego poglądy ciasne, umysł w powijakach przesądów tradycyjnych. Nigdyż nie spotkam człowieka, któryby mię pojął i ocenił!...

I myśl jej na skrzydłach wyobraźni popłynęła gdzieś pod włoskie niebo i zaczęły przed nią powstawać jakieś dawne sceny, wspomnienia jakieś w których i postać Łomnickiego przemknęła chwilowo, pożegnana pogardliwym uśmiechem.

---

## VIII.

Zima zapanowała wszechwładnie na ziemi -- grube pokłady śniegu zalegały ulice. w mieście ruch zaczynał się już przedświąteczny, tém większy, że amatorowie szlichtady mogli do syta używać tej przyjemności.

Laura z matką codziennie robiła wycieczki do Łazienek, że zaś nie załowała pieniędzy i umiała wy-

bierać między woźnicami, znalazła wkrótce takiego, który za podwójną opłatę pędził konie, jakby je miał na stracenie. Laura przepadała za szybką jazdą: gdy w szalonym pędzie wiatr w uszy jej świstał, z pod kopyt końskich śnieg dokoła zasy pywał oczy przechodniom, a konie okrywały się pianą,—wówczas była w swoim żywiole, śmiejąc się serdecznie z matki, którą jazda podobna przestraszała.

Co dzień prawie, podczas wycieczek podobnych, widywała owego blondyna artystę, z wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych: śledził ją wyraźnie i prześladował ognistym spojrzeniem.

Bawiło to ją,—miała już więc w Warszawie kogoś, kto się w niej kochał, że zaś to był artysta—pochlebiało ambicyi.

Pewnego dnia, gdy matka była cierpiąca, pojechała sama,—nowość ta bardzo się jej podobała. Otulona aksamitnem futerkiem, w którym było pięknej kobiecie bardzo do twarzy, przy jej bladości i błyszczących oczach,—Laura rozkoszowała się błyskawiczną jazdą, sprawiały jej przyjemność wielką pełne podziwu i trwogi spojrzenia przechodniów i śmiała się w duszy z męża, który w tej chwili musiał siedzieć zapewne w biurze nad sto sem papierów i z właściwą mu powagą podpisy wać akta.

Nie mogła pojąć takiego życia,—to nie życie, to wegetacya, do której tylko słabe umysły nałamać się mogą. Adam używał opinii zdolnego i praco-

witego urzędnika, miał szacunek ludzi i poważanie. Jestże co łatwiejszego, myślała sobie Laura, nad pozyskanie takich faworów opinii!—byleby się tylko utrzymać w granicach pospolitości, ani na cal nie wykroczyć po za średnią miarę, trzymać się utartej ścieżki z zaparciem się w sobie wszelkich wyższych i żywszych porywów...

Mimowolnie przypomniła sobie innych mężczyzn, których znała, a których miano za łotrów i marnotrawnych synów społeczeństwa,—były to duchy niepodległe, w wolności zamiłowane, niedający się ugiąć pod jarzmo przesądów...

W szeregu tych duchów niepodległych, którym się przyjrzała w podróżach zagranicę, niewiadomo czemu pojawił się przed wyobraźnią Laury i ów artysta—blondyn, jój dzisiejszy admirator. Dotychczas zamienili z sobą tylko spojrzenia, ale widać że były one dość wymownemi, by zastąpić wymianę słów.

Ledwo przez myśl Laury przesunął się ów nieznamy, gdy naraz, jakby na zawołanie pokazał się jój w rzeczywistości, we własnej swój osobie. Sanki jego w tej chwili pędziły obok z niezmierną szybkością, tak że gdy, unikając spotkania się spojrzeniami, Laura lekko odwróciła głowę w inną stronę, za chwilę już go nie było, tylko w oddali, między obciążonemi szronem gałęziami parku Łazienkowskiego unosił się, jakby obłok biały, śnieg kopytami rozbujających koni w górę rzucony.

Jakież było zdziwienie naszej bohaterki, gdy

nagle uderzył jej oczy leżący przez nią na saniach bukiet róż wspaniałych. Zkąd on się wziął—łatwem było do odgadnienia. Laura zarumieniła się w pierwszej chwili sama jak róża i mało brakło by arcydzieło sztuki ogrodniczej znalazło się na śniegu,—po krótkim wszakże namyśle, wstrzymała się i kazała woźnicy jechać do domu.

— Co za śmiałość!—rzekła sobie w duchu,—jak on mógł odważyć się na to, czym go ośmieliła, nie wiedząc o tém, spojrzeniem? Czuła się obrażoną, ale nie miała żalu do sprawcy tej obrazury.—Adam by tak nie postąpił z pewnością... to szaleństwo... gdyby kto był widział, posądzono by mię o zmowę. Nie, nie pojedę już więcej do Łazienek— a zwłaszcza sama.

Taki był rezultat namysłu — róże jednak trzymała w ręku, napawając się ich wonią.

Czy ten szaleniec dalej się nie posunął?—przemknęła po głowie myśl,—może jest co między różami? Nie, nic nie było,—odetchnęła swobodniej.—Ostatecznie, w samem ofiarowaniu kwiatów nie było jeszcze nic tak zdrożnego.

Już się to nie powtórzy, nie pokaże mu się więcej, a szkoda róż tak pięknych i wonnych.

Jednak gdy sanie zatrzymały się przed domem, miała chwilowy kłopot z nieoczekiwanym darem. Adam z pewnością zapyta, zkąd ten bukiet?—róże w Grudniu nie są rzeczą zwyczajną.

Wbiegła szybko po schodach, z bijącym sercem, męża jeszcze nie było. Udała się do pokoju mat-



ki, która leżała w łóżku, cierpiąc na dokuczliwy reumatyzm.

— Przywożę mamie pewną niespodziankę, proszę się domyśleć!

— Ach, moja Lorciu, wiesz żem niedomyślna!

— Więc nie będę mamy fatygować. Proszę— czy nie pyszny bukiet! przypomniałam sobie, że mama przepada za różami.

— Przepadam moje dziecko; ależ cóż to za przesłiczne róże! jakaż ty poczciwa, że o mnie myślałaś.

— A widzi mama, chciałam jój zrobić przyjemność.

— Dziękuję ci! serdecznie dziękuję. Ależ to wydatek znaczny.

— Mama wie, że mi Adam niczego nie żałuje,

— Wiem, ależ to dla mnie! — wielka istotnie niespodzianka.

Do podobnych objawów pamięci córki nieprzyzwyczajona, pani Karpińska długo nie mogła przyjść do siebie, rozplakała się z rozczulenia, a gdy Adam powrócił, pochwaliła się przed nim dobrem sercem córki.

Pocałunek męża złożony na czole był drugą nagrodą, jaką Laurze jój dobroć zjednała. Ubawiło ją to niezmiernie,—bo i jakże śmiesznie wyglądał w tym razie Sępiński w swym zachwycie nad kochającym sercem córki.

Bukiet róż wywołał efekt zupełnie niespodziewany. Nazajutrz spadł deszcz i popsuł sanne zu-

pełnie,—trzeby było siedzieć w pokoju i zabawiać się czytaniem, gdyż właśnie z polecenia Adama przyniesiono z księgarni cały stos przeróżnych nowości.

By uchronić żonę od wszystkiego co mogło zagrażać jej w tym czasie, Adam otaczał ją coraz większą troskliwością, uprzedzając nawet życzenia. W miarę rosnącego przywiązania Adama, rosły także dziwaczne zachcianki i kaprysy Laury, która z dniem każdym śmielej i otwarciej występowała ze swemi przekonaniem, wypowiadając je często w sposób umyślnie przesadny. Mąż znosił wszystko z uśmiechem pobłażania.

Tymczasem święta nadeszły, gospodynie zaczęły się krzątać około przygotowań świątecznych, widziano je na targach jak w towarzystwie kucharek zaopatrywały się w prowizyę potrzebną do uczyty wigilijnej.

— Ale moja żoneczka nie pójdzie sama na targ, wszak prawda? — odezwał się raz wieczorem Adam.

— Ja, na targ? a toż po co?

— To dobrze, bałem się, byś nie zechciała zajmować się sama przygotowaniem wigilii.

— Jakto? więc i u nas ma się zachowywać ten barbarzyńsko-ojczysty zwyczaj pobożnego objadania się!

— Czy masz mię za smakosza, że z tego tylko powodu miałbym zachowywać zwyczaj starodawny.

— Nie, ale jesteś konserwatystą, a ludzie podobni nie mogą się pozbyć pewnych form obyczajowych, chociaż nawet widzą ich niewłaściwość.

— Nie przeczę, że w tem co godne zachowania, jestem zachowawcą, ale bądź pewną, że nie ze względu na korzyści gastronomiczne obstaję przy wigilii. Jest ona dla mnie symbolem ważnego znaczenia, a przytem miłym wspomnieniem czasów dzieciennych. Ale czy masz co istotnie przeciw temu?

— Nie, nic mi na tém tak dalece nie zależy,— możesz sam zamówić u kucharki wieczerzę, do jakiej przywykłeś.

— Nie o to mi idzie—chciałem zaprosić do nas na ten wieczór jednego z moich podwładnych w biórze, poczciwego chłopca, czém zrobiłbym mu przyjemność wielką. I tobie może miłym będzie jego towarzystwo — dość wykształcony, zdolny, muzykalny trochę...

— Owszem, poproś, nic mi to nie szkodzi—odrzekła Laura.

Po raz pierwszy od początku swjej gospodarki, Laura zajrzała do książki kucharskiej i zajęła się tem, by ucztą wigilijna, ów „barbarzyńsko-ojczysty zwyczaj“ wypadła jak najwspaniałej. Miał być ktoś obcy i to ktoś ze sfery jej męża,— Laura pragnęła sięgnąć po całkiem nową dotąd dla niej chwałę dobrej gospodyni, a zarazem okazać należyte zamożność domu.

Nowe to i oryginalne zajęcie zabawiło ją chwi-

lowo, krzątała się w eleganckim fartuszku, z kluczkami w ręku, w atłasowym czepeczku, z czem wszystkim było jej bardzo do twarzy, a o tём mówiły jej zwierciadła, do których uśmiechała się z zadowoleniem.

Adam nie mógł się nacieszyć widokiem żony, w tój nowój metamorfozie, matka uśmiechała się i mówiła, że jej Lorcia wszystko z siebie zrobić może, gdy zechce;—zaciekawiało ją tylko, jak to długo potrwa, była bowiem świadkiem budzenia się i znikania najrozmaitszych już upodobań: do czytania, muzyki, śpiewu, rysunków, języków starożytnych, nauk przyrodzonych i t. p.

Bądź co bądź, chwilowe to zajęcie się gospodarstwem wydało imponujące rezultaty, — wieczerza miała być wspaniałą, obfitość ryb, wyszukane ich przyrządzenie, zastawa stołu—wszystko to razem przeszło oczekiwania Adama, który nie miał zamiaru ani chęci takiego wystąpienia.

Gdy się już ściemniać zaczęło i pani Karpińska starym zwyczajem wypatrywała pojawienia się pierwszej gwiazdy na niebie, dzwonek w przedpokoju oznajmił przyjście zaproszonego gościa i wkrótce potём Laura weszła do saloniku. Mąż przedstawił jej Zygmunta Prońskiego.

Był to młodzieniec dwudziestoczteroletni, słuszny, kształtnie zbudowany, mocny brunet, z ognistemi oczami, nad któremi czarne brwi łączyły się z sobą prawie w jedną linię. Piękny nos rzymski, bujne lśniące wąsy nad różowemi wargami, silna

budowa szczęk dolnych — wszystko nadawało twarzy jego wyraz męskości i energii,—w chwili jednak wejścia Laury na twarzy tej odbiło się lekkie zakłopotanie, jakby pan Zygmunt nie przypuszczał, że jego szanowny i kochany, ale niepiękny i niezbyt już młody naczelnik, posiada tak młodą i piękną żonę.

A Laura wyglądała istotnie zachwycająco, jak to bywało zwykle przy obcych. Uśmiech z jakim powitała przedstawionego sobie gościa, sposób podania mu ręki, skinienie, którem zaprosiła go by usiadł,—każdy jej ruch miał tyle wdzięku, że robiła imponujące wrażenie.

Czytając wrażenie to w oczach młodego człowieka, Laura uśmiechnęła się mimowolnie;—pełna wyrazu twarz jego, na której każda przelotna nawet myśl i uczucie odbijało się natychmiast, była dla niej nowem zwierciadłem, w którym siebie podziwiać mogła. Takim było wrażenie pierwszej chwili,—po kwadransie ogólnej rozmowy zajęła ją szczególnie żywa gra tej młodzieńczej fizyonomii, nie zdarzyło się jej jeszcze widzieć twarzy podobnej jak ta, której każdy muszkuł się poruszał, każdy rys zmieniał się w miarę doznawanych wrażeń. Nie była to gładka zwierciadlana powierzchnia, zdolna jedynie odbić w sobie obraz cudzy, była to wrząca własnem życiem toń, głęboka i pociągająca.

Musiała przyznać Adamowi, że jeżeli chciał jej sprawić przyjemność, zapraszając do domu kogoś obcego, to wybór zrobił trafny.

Towarzystwo przeszło wkrótce do pokoju stołowego, w którym, po przełamaniu się opłatkiem, wszyscy usiedli do wieczerzy, w najlepszych humorach i harmonii.—Adam rozmowny był i wesoły, pani Karpińska rozpromieniona, Laura uprzedzając dla wszystkich uprzejma, — Zygmunt uczuł się wkrótce, jakby w kółku starych znajomych a do pozbycia się reszty nieśmiałości i zakłopotania dopomagał mu gospodarz, dolewając wina do jego kieliszków i zachęcając do picia.

Po skończeniu wieczerzy, która trwała dość długo, gość uproszony przez gospodynię zasiadł do fortepianu i dał się poznać, jako utalentowany muzyk. Z pod energicznych i silnych jego palców płynęły akordy pewne, śmiałe, melodye namiętne i burzliwe. Gra była pełną ekspresyi, jak powierzchniowość grającego. Laura zaczęła z nim mówić o muzyce.

— Kocham ją — rzekł Zygmunt — témbardziej im rzadziej mogę znaleźć sposobność grania.

— Wstyd mi się przyznać—odparła Laura—że pomimo ciągłej możności, a może właśnie dlatego, w ostatnich czasach zaniedbałam muzykę, niemam odwagi grać w obec tak gorącego jej wielbiciela, jakim pan jesteś.

— Powiedzeniem tém odbiera mi pani odwagę proszenia jej o zagranie jakiego ustępu,—a byłaby to dla mnie prawdziwa łaska, — tak rzadko mogę słyszeć muzykę inną niż katarynek, które przed oknami naszego bióra mają swe ulubione stanowisko.

— Ach!... istotnie, nie wspominałem ci o tem — dodał Adam — kataryniarze są naszą plagą, co dzień mącimy spokój wieczny wynalazcy tego fatalnego instrumentu; a to wszystko z winy pana Zygmunta, któremu jako melomanowi artyści uliczni nieustannie wygrywają serenady.

— Nie zniechęcają tém pana do muzyki?

— Owszem pani, tém usilniej pragnę słyszeć muzykę istotną, ilekroć nadarzy mi się sposobność.

Mówiąc to, patrzył prosząco na Laureę, która tem niemem spojrzeniem dała się namówić. Usiadła więc przy fortepianie i dźwięki sonaty Bethowenowskiej wspaniale rozplęły się wśród ciszy wieczoru.

Zygmunt słuchał z namaszczaniem, — gdy skończyła, słuchał jeszcze, jakby nie chcąc przypuszczać, by to już był koniec i lękał się spłoszyć natchnienie motyle, które zdawało się osiadać na klawiszach. Laura uśmiechnęła się i zagrała znowu, tym razem już króciej, wdzięczną gawotę Bacha.

— Aż mi wstyd — rzekła wstając — palce odmawiają posłuszeństwa, czuję, że gra moja staje się profanacją dzieł mistrzów!

— A widzisz Lorciu! czyż nie namawiam cię co dzień prawie, zagraj cokolwiek, — odezwała się matka, — szkoda twego talentu!

— Czyż mama nie wie, że zwykle tak bywa — dodał Adam — z panien muzykalnych bardzo mały procent trwa przy muzyce po zamążpójściu.

— Niezbyt to pochlebne dla mnie przypomnienie — zawołała Laura, którą odezwanie się męża widocznie dotknęło,—podobny los znajduje muzyka najczęściej u tych gąsek, które uważają ją, jako jeden ze środków łatwiejszego przypodobania się. Po dopięciu celu środek staje się zbytecznym. Nie, nie ta przyczyna mego zaniedbania się w tym względzie, raczej ty jesteś winowajcą, tak rzadko masz możność grania zemną — a istotnie, potrzebuję pewnego rodzaju emulacyi, byłaby bardzo skuteczną.

— Jeżeli o to idzie, możemy urządzać nawet zbiorową muzykę, pan Zygmunt bowiem grywa na skrzypcach.

— Czy tak? więc z pana meloman istotny?

— Szkoda tylko, że zarówno gra moja fortepianowa i skrzypcowa niewiele warte.

— Ach, o tém sąd do nas należy; jestem niezmiernie ciekawą pańskiej gry na skrzypcach.— Wszak skłonisz pana, Adamie, do zaspokojenia mojej ciekawości?

— Pan Zygmunt jest tak uprzejmym dla dam, że z pewnością nie odmówi, ja zaś cieszyć się będę, słysząc cię znowu grającą i śpiewającą. W atmosferze takich melodyj i harmonii, będziemy mogli zapomnieć o zimie i mrozach.

— Ale, czy pan nam nie odmówi swego udziału?—zapytała młodzieńca Laura z tak wdzięcznym uśmiechem, że mu serce żwawiej bić zaczęło.

— Po zaleceniu mnie tak pochlebne, przez



pana Sępińskiego, nie mi nie pozostaje jak tylko posłusznym być rozkazom pani.

— A, to bardzo dobrze, tak się pomyślnie składa, że będziemy mogli zaraz przystąpić do utworzenia kółka filarmonicznego, gdyż podczas świąt będziecie panowie mieli dużo wolnego czasu.

Układ ten tak rozweselił towarzystwo, że nawet mama Karpińska nie drzemała, a Zygmunt musiałby sprowadzić zaraz swe skrzypce, gdyby wzgląd na spóźnioną porę nie skłonił do odłożenia tego na później. Rozmowa toczyła się coraz żywiej i swobodniej, Laura zaśpiewała parę urywków Szopena i Moniuszki, nawet Adam usiadł do fortepianu, zachwalając swą ulubioną Etudę.

Dopiero około północy gość opuścił mieszkanie uprzejmym gospodarzy, pożegnany przez Laureę długiem spojrzaniem, które młodzieńcowi aż do rana nie dało spokoju.

— Jakże ci się Proński podobał? Nieprawdaż że miły chłopiec—zapytał żonę Adam, gdy zostali sami.

— Istotnie, jest on sympatyczny, ale wytłómacz mi teraz, jaki was łączy stosunek?

— Jest to syn byłego niegdyś dzierżawcy, który sąsiedował długo ze starym Łomnickim, polecił go mnie Erazm i ztąd od kilku lat kolegujemy z sobą w biurze, gdzie należy do najpilniejszych i najzdolniejszych urzędników. Lubiony powszechnie, za mojem wstawieniem się i poręczeniem dostał posadę zastępcy kassyera,

która zapewniłaby mu przyzwoite utrzymanie, gdyby nie to, że dopomaga staruszce matce swęj, mieszkającęj na wsi.

Wszystkie tęż wolne godziny poświęca lekcyom muzyki a przytem znajduje jeszcze możność własnego kształcenia się. Zasługuje ze wszech miar na szacunek i przyjaźń,—cieszy mię więc, że nie będzie dla ciebie niemiłym gościem.

— Owszem, przyznaję, że mi się podobał. Znac inteligencyą i zdolności.

— I, co więcęj, charakter nieposzlakowany. Człowiek, któremu można wierzyć zupełnie.

Laura zamysłiła się.

— Czy mój pan zadowolony dziś zemnie? — zapytała po chwili z kokieteryą, nie odwracając się od zwierciadła, przed którem rozczesywała swe bujne włosy.

— Zupełnie! — odrzekł Adam, zbliżając się do nięj,—byłaś zręczną, miłą i gościnną gosposią.— Podniósł do ust jęj rękę, ona oparła mu głowę na ramieniu, osłaniając go rozplecionemi warkoczami, których lekka woń fiołkowa rozkosznie pieściła zmysły.

— Należy mi się za to pocałunek w nagrodę — dodała cichutko, tuląc się do męza.

Była to jedna z tych chwil, w których Adam uwielbiał żonę, załując, że się jęj kiedykolwiek sprzeciwił i cokolwiek wziął za złe. Nie było to dziwactwem i pedanteryą sądzić za stanowiska zasad — to piękne, wdzięczne i rozpieszczone dziecko!

Nazajutrz, jako w pierwszy dzień świąt, kościoły wszystkie były przepełnione nabożnymi, w ich liczbie znaleźli się i Sępińscy. Laura tém chętniej wybrała się dziś na nabożeństwo, że w podarunku świątecznym dostała od męża piękne sobolowe futerko niebieskim aksamitem kryte, w którym jej było bardzo do twarzy. Aksamitny kapelusik z niebieską woalką, sobolowy zarękawek niebieskim jedwabiem podszyty, nawet aksamit niebieski na oprawie książki do nabożeństwa,—wszystko było tak dobrane, tak eleganckie, że niepodobna było nie skorzystać z okazji wielkiego święta, by się pokazać ludziom i przekonać się o wrażeniu, jakie musiało zrobić podobnie niebieskie zjawisko.

Wrażenie było istotnie niemałe, uwaga nabożnych w kościele zwracała się od Stwórcy ku stworzeniu, szeptano do siebie, zapytywano nawzajem a Laura, jakkolwiek zatopiona w modlitwie, widziała to wszystko. Zachowanie się jej w domu bożym było ze wszech miar wzorowe, pełne godności i powagi,—umiała widzieć nie patrząc, a piękne jej oczy spuszczone na książkę lub zwrócone w kierunku ołtarza żadnego śmiertelnika nie obdarzyły przelotnem choćby spojrzaniem.

Raz wszakże, a było to już w końcu nabożeństwa, oczy te spoczęły z wyrazem zajęcia na przeciskających się przez tłum dwojgu młodych ludziach: Zygmunt towarzyszył jakiejś młodej nieznanym. Za chwilę jednak gdy młodzieniec, spostrzegłszy

Sępińskich, uprzejmie im się skłonił, Laura była znowu zatopioną w modlitwie i nie widziała tego ukłonu.

Tymczasem młoda para wyszła już na ganek kościelny, że zaś śnieg zaczynał prószyć, Zygmunt rozpiął parasol i podał ramię swjej towarzysze, która przyjęła je z pewną poufałością.

Była to szczupła, słuszną blondynka, pociągających rysów, twarzy bladej, ale nacechowanej stałością woli i energią. Ten rys usposobienia nadawał dwojgu młodym ludziom pewne niby rodzinne podobieństwo, — wzajemny ich wszakże stosunek, o ile w zachowaniu się ujawniał, nie objawiał w nich rodzeństwa. Przechodnie ciekawie im się przyglądali.

— Z przyjemnością o tém myślę—odezwała się panna, że ci wszyscy, którzy nas tak ciekawie oglądają, nie znają mnie wcale,—nasze miasteczko dało mi się tyle we znaki nieustannem cenzorowaniem moich kroków, że w końcu nie mogłam się pokazać na ulicy, tak mię to drażniło.

— Niepodobna czego innego się spodziewać od mieszkańców małego miasteczka,—ale wyobrażam sobie, jakieby było zgorzenie na widok pani idącej z obcym człowiekiem.

— Za godzinę powtarzamy sobie na ucho niestworzone historye, a opinia parafialna zyskałaby nowy powód do potępiania mojej osoby. Ale, dajmy im pokój, smutne okoliczności postawiły mię w fałszywym świetle w obec nich wszystkich, nie

biorę im tego za złe. Mam panu dużo do powiedzenia.

— Jakie wieści? złe czy dobre?

— Zdaje się, że dobre.

— O! tych jaknajwięcej, — za tyle zmartwień i pracy, ile pani w Warszawie znalazła, należy się jej wreszcie jakaś pociecha.

— Rzeczywiście spotkała mię rzecz pocieszająca. Przed kilku dniami miałam najpierw list od matki, który mię serdecznie wzruszył i ucieszył.

— Czy może ojciec dał się przebłagać?

— O, nie!— smutno odrzekła — ojciec zabronił nawet wspominać o mnie przy sobie. Może Bóg da, że i to się z czasem zmieni. Ale matka moja napisała z taką słodyczą, z taką miłością, że mi wszystko przebacza, że się za mnie modli,—list jej oblałam gorącemi łzami! Tego jednak nie dość..

— Cóż jeszcze? Tak mię szczerze obchodzi wszystko, co losu pani dotyka...

— Dziękuję serdecznie i wierzę w przyjaźń pańską, której tyle już miałam dowodów. Czasem sama się łapię na osobliwym złudzeniu, że jesteśmy oboje dziećmi jeszcze i bawimy się w ogrodzie naszym w fortecę. Przypomina pan sobie nasze wojownicze usposobienia?

— Wspomnienia dzieciństwa są dla mnie zawsze drogie. Ale, miała mi pani opowiedzieć coś jeszcze...

— Tak, muszę się z panem rozmówić, ale chyba wstąpisz do nas na górę, bo za chwilę staniemy przed domem.

— A nie będzie to wielkiem zgorszeniem dla gospodyni pani?

— Nie, sędzę że poznała mię należycie i o pana jest spokojną. Zresztą, dopuściłam się małego kłamstwa, uważa pana za mego krewnego. Więc proszę, tam opowiem wszystko swobodnie.

Wbiegła lekko na schody starej kamienicy, za nią zdążał Zygmunt. Parę osób spotkanych spojrzęło na nich podejrzliwie, oni wspinali się wciąż w górę po skrzypiących i brudnych stopniach, aż doszli na trzecie piętro.

Tu przez okienko z rozbitą szybą przedstawiał się obszerny widok na gromady kamienic stykających się z sobą dachami i wieże kościelne wznoszące się po nad kamienice.

Blondynka zatrzymała się przy oknie, ręką przyciskając serce.

— Nadto szybko pani chodzi po schodach,— to może jej szkodzić.

— O nie! panie,— to chwilowe. Lubię nawet nasze poddasze, gdy ztąd patrzę na obszerną panoramę miasta, myślę sobie, ile też w tém mrowisku miejskiem znalazłoby się kobiet, podobnie jak ja rzuconych na los szczęścia!

— Tylko z mniejszemi zasobami woli i charakteru.

— Jesteś pan zbyt łaskawym sędzią.

— Tylko sprawiedliwym, opieram się na faktach.

— Jednak, nie wypada rozmawiać w sieni—  
wejdzmy.

Weszli tedy do mieszkania. Najpierw była kuchnia, w niej zastali gospodynię, kobietę jeszcze młodą ale schorowaną i zestarzałą przed czasem, wkoło niej kręciło się kilkoro dzieci.

Na widok przybyłej odbiegły one od matki i każde domagało się pocałunku „panny Julci.“

Po tém powitaniu młodzi ludzie przeszli do następnego pokoju, przedzielonego długim parawanem na dwie części.

W jednej, większej mieściła się gospodyni z liczną swoją dziatwą, drugą mniejszą oddała lokatorce.

Liche to było mieszkanie; sufit niski, popękany, podczas ulewy musiał mieć podobieństwo z przetakiem, ściany nosiły wyraźne ślady wilgoci, bieda wyzierała ze wszystkich kątów.

W pokoiku, do którego weszli, stało żelazne łóżko czystą kapą przykryte, przy oknie prosty drewniany stolik a na nim książek kilkanaście, w kącie szafka na rzeczy i dwa zydelki dopełniały umeblowania. Wiszący nad łóżkiem bronzowy pozłacany krucyfiks dziwnie odbijał od całego otoczenia.

Ale bo téż i lokatorka téj komórki nie zdawała się być do podobnego mieszkania przyzwyczajoną. Jej postawa, układ, ruchy, delikatne rysy twarzy, wykwintne drobne ręce,—wszystko mówiło, że to poddasze wypadkowo tylko stało się jej przytułkiem.

Zygmunt, z podziwem rozejrzawszy się w około,

pełnem współczucia okiem zaczął badać swą towarzyszkę. Na jej twarzy dawały mu się czytać dzieje kilku miesięcy przebytych w takim otoczeniu: bladą była i wynędzniała, z piersi kaszel wyrwał się chwilowo, a głos drżący i urywany świadczył, jak męczącym dla niej i szkodliwym było wybieganie na trzecie piętro.

— Panno Julio!—przemówił młodzieniec tonem wyrzutu—czyż się to godziło? kilka miesięcy spędzić na takim poddaszu!

— Cóż w tem strasznego? — odparła z uśmiechem. Gdyby mi kto dawniej pokazał podobne mieszkanie i powiedział, że mam w niem przebyć kilka miesięcy, możeby to mnie przestraszyło; ale przekonałam się, że do wszystkiego przyzwyczaić się można, kiedy trzeba.

— Ależ właśnie, że to nie było koniecznem, — gdybym mógł przypuścić, że pani się tak umieściła, poradziłbym na to z pewnością. Poprostubym nie pozwolił.

— Tak się panu zdaje; jestem zakochaną w swobodzie i samowolną, jak mię już w okolicy całej okrzyczano. Ale dajmy temu pokój. Nastręcza mi się właśnie sposobność zamiany tego poddasza na bardzo wykwintną klatkę, i sama nie wiem co poczną.

— Jak to mam rozumieć?

— Ofiarowano mi miejsce nauczycielki do trojga dzieci w zamożnym domu. Sama pani tu była, osoba jak się zdaje dobra i wykształcona. Mąż jej jest adwokatem i nazywa się...



— Ozycki?

— Tak, więc pan ich znasz?

— Znam ich dobrze z opowiadań Sępińskiego,— to jego przyjaciele.

— Właśnie on mię im polecił. Wiem, że i to zawdzięczyć powinnam panu, jednak co to za dobry człowiek, przyjaciel pański!

— Rzadki człowiek, to pewne. Skoro on panią polecił, pewny jestem, że Ozyccy przyjmą ją serdecznie.

— Więc mi pan radzisz przyjąć propozycyę?

— Koniecznie! Gdyby matka ujrzała panią teraz, rozplakałaby się z pewnością. Po kilkumiesięcznych trudach, bieganiu po lekcyach i po tyłu schodach dziennie— należy się pani jaknajprędzej spoczynek.

— O to mniejsza,— czuję w sobie dość jeszcze siły,— ale, zdziwisz się pan, mniej mam odwagi; pracy się nie lękam, choćby najcięższéj, ale boję się tłużywéj pozycyi w domu, do którego mam wéjść, którego nie znam. Lękam się niewoli moralnéj.

— Zbyteczna obawa, nikt panią u Ozyckich krępować nie będzie. Ludzie dobrzy, światli i postępowi.

Panna zamyśliła się.

— Moje zerwanie z rodziną własną odrazu stawia mnie w złém świetle; gdybym się jeszcze miała tym ludziom narazić...

— Po cóż te przypuszczenia? Według mnie najlepiej będzie postawić rzecz całą jasno i wyraźnie...

— I ja też myślałam o wtajemniczeniu pani Ożyckiej w moje stosunki,—jeżeli mię potępi, niech wie przynajmniej kogo w dom swój bierze.

— Myśl bardzo dobra. A czy była już mowa o warunkach?

— A jakże, propozycje dla mnie bardzo świetne.

— Więc nic nie pozostaje, jak przyjąć je i czemprędzej ztąd się wynosić.

— Dziś właśnie mam się ostatecznie z panią Ożycką rozmówić.

— Szczęść Boże. Sępińskiemu podziękować muszę za pocziwą jego pamięć o mojej prośbie, a pani powinszować, że się wszystko tak szczęśliwie złożyło.

— A cóż ja winnam panu za tyle dowodów pocziwój i wiernój przyjaźni?

— Nic pani nie winna. Przyjaźń jest uczuciem, które samo w sobie ma nagrodę. Pragnąłbym jedynie ze względu na dobro pani jak najmniej mieć powodów do okazywania przychylności mojej. Kiedyż ma być owa rozmowa ostateczna z panią Ożycką.

— Dziś o czwartój.

— W takim razie, niech się pani spieszy i wszelkich wahań zaniecha. Mam to przekonanie, że wszystko będzie dobrze.

— Pan bywasz w tym domu? znasz ich osobiście?

— Nie, znam tylko samego Ożyckiego, gdyż

często w biórze naszym bywa. Ale świadectwo człowieka jak Sępiński wystarcza mi zupełnie— a on się o nich odzywa zawsze z szacunkiem.

Zamyślili się oboje i przez chwilę była cisza. Panna patrzyła gdzieś w okno, on na nią z wyrazem serdecznej sympatii.

— Sama się sobie dziwię—przemówiła—to poddasze, które się panu tak strasznie wydało, było mi przyjemnem, czułam tu się swobodną,— a gdy wieczorem powróciłam z miasta i moja gosposia postawiła na stole szumiący samowar, zabierałam się do pracy z taką swobodą, jakby mi na niczem nie zbywał! A teraz niepokojem przejmuję mię myśl przeniesienia się do porządnego zapewne i wygodnego mieszkania, ale gdzie już nie będę u siebie. Ach, gdybyś pan wiedział—dodała—jakie tu udało mi się nabyć skarby! Za bezcen kupiłam u antykwaryusza kilka starych dzieł historycznych, dotąd mi zupełnie obcych. Wczora— albo właściwie dziś już, czytałam do godziny czwartej zrana i musiałam przemocą oderwać się od książki, by wreszcie zasnąć.

— Zaintrygowałem mocno Sępińskiego wiadomością, że pani z takim zamiłowaniem zajmuje się studjami historycznemi.

— Czy jest temu przeciwnym?

— Bynajmniej!... tylko dziwił się temu, jako niezwykłemu zjawisku. Kobiety dotychczas u nas nie oddawały się badaniom przeszłości a wiadomości ich ogólne w tym względzie nie przekraczają granic elementarnych.

— A jednak bywały przykłady pracy kobiecój na polu dociekań filozoficznych, jak np. pani Eleonora Ziemięcka. Czyżby poznawanie przeszłości miało być dla nas mniej dostępnem od zmundnej pracy rozwiązywania zagadek tego rodzaju?

— Nie sądzę. Zresztą Sępiński oświadczył, że służyć pani będzie swoją biblioteką, — a ma w niej cenne dla podobnych studyów dzieła.

— O! niechże mu pan podziękuj! Będę korzystać z jego grzeczności, jak najwięcej! Jak mi dziwnie i rozkosznie zarazem słyszeć, że areopag krytyki parafialnej, który wydał na mnie tyle wyroków potępienia nie znajduje poparcia w człowieku jak Sępiński. Sąsiadek moich zgodna o mnie była opinia, że widać chcę przebywać historye, gdy się tak w historyi kocham.

Zygmunt się uśmiechnął.

— Szła pani wbrew opinii.

— Och! obym jej nigdy sprzeciwić się nie potrzebowała! Wolałabym mieć ją za sobą, niż przeciwko sobie.

— Przyjdzie z kolei i do tego — odrzekł Zygmunt i powstał, by się pożegnać.

---

## IX.

Tegoż dnia, wieczorem w gabinecie pani Ozyckiej wesoły ogień płonął na kominku, rzucając blask czerwony na ściany pokoju.

Pokój to był niewielki, ale noszący na sobie ślady zamożności i wytwornego smaku gospodyni. Na posadzce rozpościerał się miękki perski kobierzec, meble niebieskim adamaszkiem kryte odpowiadały obiciu ścian i zwieszającym się malowniczo przy drzwiach i oknach makatom; misternie rzeźbiona z czarnego drzewa szafka biblioteczna, pełna ozdobnie oprawnych książek, przy jednem oknie podobneż biurko z wykwintnemi przyborami do pisania, przy drugim maszyna do szycia, stojąca, której część górną w ozdobnem zamknięto pudle—oto były główne sprzęty tego pokoju.

Na ścianach wisiało kilka stalorytów, kopie obrazów szkoły włoskiej, — nad biurkiem zaś portret Klementyny Hofmanowej.

Przy oknach na wzniesieniu stały kwiaty w emaliowanych doniczkach porcelanowych a z pomiędzy zieloności pąsowa kamelia pociągała ku sobie oczy.

Ponieważ okna wychodziły na dziedziniec, cicho było w pokoju, czasem tylko zdaleka dochodził stłumiony gwar uliczny.

Przed kominkiem siedziały przy sobie na kozetce dwie kobiety; jedną z nich była gospodyni domu, drugą—znajoma już nam z poddasza, panna Julia Grabowicka.

Pani Ożycka z wyrazem widocznej sympatyj patrzyła na swą towarzyszkę, w jej wielkich niebieskich oczach malowało się szczere zajęcie młodą osobą, którą nieznane jej jeszcze dotąd koleje losu

rzuciły na bruk miejski, na którym widocznie wypadkowo się tylko znalazła. Alabastrowa białosc płci, delikatne rysy ściągłej twarzy panny Julii, nacechowane odcieniem melancholii i stałością woli zarazem, musiały nasuwać mimowolną ciekawość: co też mianowicie skłoniło tę młodą, inteligentną i powabną osobę do opuszczenia domu rodzinnego i szukania kawałka chleba w ciężkiej, utrudzającej pracy i samotności.

Nie chciała wszakże gospodyni poruszać niedyskretnem pytaniem bolesnej strony życia kobiety, choć jej otwierała swój dom i powierzyć była gotową wychowanie dzieci własnych; z drugiej strony trudno snadź było pannie Julii zdecydować się na wyjawienie obcej osobie tajemnicy rodzinnej.

Mówiły więc z sobą dość długo o obojętnych przedmiotach,—wreszcie zamilkły obie, wpatrzona w ognisko. Przez chwilę trwało milczenie.

— Nim będę mogła przyjąć uprzejmą propozycją pani—zaczęła pierwsza panna Julia, — muszę wpieryw wyświadczyć się z tego, co mi na sercu leży. Dotychczas wie pani tylko tyle, że jest jedną z owych istot wykolejonych, które w dodatku miały nieszczęście narażenia się opinii ludzkiej — a co smutniejsza, opinii najbliższych sobie. Nie mogę na tém poprzestać, opowiem jak do tego przyszło...

— Nie będzie pani miała powodu żałować tej szczerości, zaufania jej nie zawiodę— a przekonana jestem z góry, że wszystko cokolwiek usłyszę, trafi do mego przekonania.

— Nie wiem... pragnęłabym uzyskać sobie uznanie pani, ale bywają w życiu kolizye obowiązków tak przykre i smutne, że my sami nie możemy być zupełnie pewni, czyśmy zbłądzili w wyborze, czy postąpiliśmy, jak należało. Historia moja dość długa....

— Czekam na nią z zajęciem i ciekawością.

Panna Julia westchnęła i mówiła dalej.

— Urodziłam się na wsi, w domu rodziców moich, którzy mieli i mają dotąd majątek ziemski, podobno znaczny, ale odłużony... Miałam brata i siostrę. Brat był i jest faworytem ojca, nas więcej kochała matka... Siostra moja starszą była ode mnie o lat kilka, brat najstarszy; o ile pamiętam nigdy on dla mnie nie miał serca,— zresztą różniemy się od siebie bardzo. Za to siostra kochała mię serdecznie; pomimo kilku lat różnicy między nami, co sprawiało, że była już panną dorosłą, gdy mnie jeszcze nazywano dzieckiem, — nie miałyśmy dla siebie żadnych tajemnic, dzieliłyśmy się złem i dobrem, w każdym zmartwieniu u niej znajdowałam najpewniej pociechę i otuchę; nigdy mnie matka nie pieściła tak jak Zosia i nie miałam do nikogo tyle ile do niej zaufania...

— Gdzież jest dziś siostra pani?—zapytała nieśmiało pani Ozycka.

— Umarła.

Tu łzy zakreśliły się w oczach panny Julii, powiodła ręką po czole, jakby chcąc odzyskać spokój dawny i po chwili mówiła dalej.

— Zosia zdolną była i wykształconą bardzo, — gdy się nam jeszcze lepiej działo, miała nauczycielkę, która wrodzone jej zdolności potrafiła rozwinąć szczęśliwie, prowadząc naukę gruntownie a systematycznie, jak to się rzadko u nas na wsi zdarza. Kiedy później nauczycielka ta dom nasz opuściła, bo ojciec uważał dalszą naukę za zbyteczną, Zosia zajęła się wykształceniem mojem sama, a że była dla mnie wymarzonym ideałem doskonałości, uczyłam się z całym zapałem, chciałam jaknajprędzej jej dorównać. Istotnie w kilka lat takiej nauki skorzystałam bardzo dużo. Mama patrzyła na to obojętnie, skarżąc się tylko czasem, że nie ma z nas takiego wyręczenia, jakiego się spodziewała. Ale ojciec przeciwnym był mój nauce; jego zdaniem wyższe wykształcenie dla kobiety jest zbytecznem, nauka zawraca nam w głowie, odrywa od obowiązków, dość, byśmy umiały czytać, pisać i rachować a w towarzystwie znaleźć się przyzwoicie—wszystko zresztą uważał za niepotrzebne.

W okolicy naszej istotnie żadna panna nie mogła się z Zosią mierzyć wykształceniem, wszystkie więc nazywały ją przemądrzałą, zarozumiałą, emancypantką, choć moja Zosieńka była istotnie tak skromną, potulną i bojaźliwą prawie, jak z nich żadna.

Nieraz mówiłam siostrze--po co znosisz tak pokornie ich przymówki i złośliwości?—gdybym była na twojem miejscu, odpowiedziałabym im tak, że nie miałyby więcej ochoty dokuczania. Wtedy ona



uśmiechała się i mówiła do mnie: Ty bo, moja Juleczko, jesteś zawadyką, gotową buntować się zawsze i stawać do walki! Wierz mi, że najlepszą odpowiedzią na nierozsądne zaczepki milczenie! im więcej poczuwamy się do naszej wyższości, tem powinniśmy być dla innych wyrozumialszemi. Nie trafiało to wcale do mego przekonania, to też mściłam się za siostrę, dokuczając tym, którzy jęj dokuczali, jak tylko mogłam. Od dziecka już nie miałam miłości ludzkiej.—nazywano mnie upartą, złością, krnąbrną, samowolną, a niestety nazywał mnie tak i ojciec mój, co nie mogło mi być obojętnem. Tak jednak kochałam Zosienkę, że byleby jęj nic złego nie robiono, gotowa byłam znieść sama wszystko. Miałam dopiero lat szesnaście, kiedy ojciec zabronił mi oddawać się nauce książkowej a kazał wyręczać matkę, zajmować się całym gospodarstwem, doglądać krów, drobiu—tak że po całych dniach nie mogłam zajrzeć do książki. Tęskno mi do nięj było a jeszcze więcej do lekcyi z Zosią. Jęj pozwalano czytać swobodnie, bo była słabego zdrowia, do gospodarstwa mieszać się nie mogła. Zresztą, coraz częściej zaczęli nas odwiedzać goście, ona musiała ich bawić, choć to dla nięj bywało męką prawdziwą.

Czasami ojciec wyjeżdżał z domu na dni kilka, wtedy powracałam do książki. Matka pobłażliwie na to patrzyła, bojąc się tylko, by wiadomość o zakazanej nauce do ojca nie doszła, jak wróci.

Kochała nas bardzo, ale więcej jeszcze bała się ojca i jego gniewu.

Pamiętam jak nieraz, gdy w domu wszystko się już uciszyło, zasiadałyśmy z Zosią do nauki. Historia była naszym ukochanym przedmiotem; z rozkoszą przenosiłam się myślą w owe odległe czasy, z których tyle wspomnień wielkich, tyle wypadków i ludzi niepospolitych uśmiechało się mojej wyobraźni. Nieraz gdy po paru godzinach takiego czytania zaczęłam rozwijać przed Zosią marzenia moje o przeszłości, która tak żywo, tak wyraźnie stawała przedemną,—ona brała mię za głowę, całowała w czoło i zmuszała prośbami, bym szła już spać. Mówiła, że to mię męczy, że gorączka mię opanowuje, że to szkodzić może, że ojciec ma słusność, odrywając mię od książki.

Każde słowo Zosi bywało dla mnie rozkazem,—szłam spać, ale spać nie mogłam.—marzyły mi się stare dzieje i starzy ludzie, serce biło na wspomnienie tego com czytała i co tak jasno, tak pociągająco przedstawiało mi się w opowiadaniach Zosi. Zazdrościłam ludziom co mogą odczytywać stare foliały, grzebać się w archiwach, mieć książek dużo pod ręką i z drobnych cegiełek odbudowywać gmachy leżące w ruinach.

— Z tém mojem upodobaniem odzywałam się nieraz, śmieli się ze mnie wszyscy a ojciec mówił wprost, że mam przewróconą głowę, że zemnie nic nie będzie, zem do niczego i t. d. Podobnież potępiał to usposobienie i brat mój, Jó-

zef. Dla niego obcem było i niezrozumiałem wszystko, z czego nie dało się wyciągnąć materialnej korzyści. Ojciec wziął dlań dzierżawę w sąsiedztwie i nie mógł się nacieszyć jego praktycznym gospodarstwem. I wszyscy mówili, że Józio ma głowę niepospolitą do handlu i wszelkiego przemysłu, że obrotny i niezawodny w spekulacjach,—rodzice oboje dumni byli z niego, słuchali z uwagą gdy mówił, zasięgali jego rady,—obok ojca Józio był drugą głową naszej rodziny.

Przykro mi wyznać, ale brat mój nie otrzymał żadnego prawie wykształcenia. Wyszedł z trzeciej klasy gimnazjalnej, uczyć się niechciał a ojciec nie zmuszał go ani nakłaniał do nauki. W nim miałyśmy z Zosią ciągłego prześladowcę. On jeden, co miał wpływ na ojca i mógłby wiele zrobić dobrego, ale nie robił nic—przynajmniej dla nas.

Zosia miała dlań rodzaj poważania, co do mnie, gotową byłam ciągle się z Józiem spierać. Jego pojęcia i zasady były mi zupełnie obce i przeciwnie,—nie mogłam pojąć jak on żyć może bez żadnej książki, oprócz kalendarza. Jemu wszakże nietylko, że życie takie wystarczało, ale chciał wszystkich do tego nakłonić, powtarzał że książki są zabawką próżniaków, że dziś wiedza i talent nic nie znaczą, a nad wszystkim panuje tylko pieniądz, tylko rachunek. Oburzało mię podobne dowodzenie, występowałam do walki z nim z całym zapałem i odchodziłam złażana przez ojca, który mi zawsze powtarzał, że Józef ma więcej

rozumu w głowie, niż my obie. Co do mamy, ilekroć wystąpiłam do walki z Józkiem, upominała mnie gestami, bym zamilkła, składała ręce, kiwała głową, bo biedna mama bała się nawet odezwać przy ojcu. Nic nie pomagały wszystkie prośby, kończyć się musiało zawsze na groźnym rozkazie ojcowskim: wynoś się! tyle razy powtarzałem, byś się do rozmowy starszych nie mieszała.

Tymczasem w domu naszym zachodziły zmiany jakiegoś, których nie mogłam nie dostrzedz,—mama częściej płakała, ojciec bywał w coraz gorszym humorze, rzadko siedział w domu, miał ciągle kłopoty i interesa,—zaczęli i do nas przyjeżdżać różni żydzi i urzędnicy jacyś,—powiedziała mi Zosia, że Józef wciągnął ojca w handlowe przedsiębiorstwa, które się powiodły jaknajgorzej, w skutek czego całemu majątkowi naszemu grozi ruina. Sama uważałam, że w ciągu kilku miesięcy ojciec znacznie zestarzał się i posiwiiał.

Tymczasem gości u nas bywało co raz więcej, różni panowie starali się o rękę Zosi. Był między nimi jeden dzierzawca, sąsiad nasz blizki, wielki mój a właściwie jedyny przyjaciel. Nazywał się pan Gustaw, miał lat ze trzydzieści, powierzchowność bardzo przyjemną i ujmującą, charakter zacny, o czém nawet ojciec wspominał. Co do wykształcenia — nie bardzo jeszcze wówczas mogłam się na tém poznać, zwłaszcza w człowieku, który pozyskał całą moją sympatyę. Jak teraz wiem, nie był on wykształconym istotnie,— w ca-

łej okolicy naszej nie mieliśmy ani jednego mężczyzny, któryby gimnazyum choćby skończył i on też poprzestał na kilku klasach, ale miał dużo rozsądku naturalnego, zdanie jego musiano szanować. Brat mój nazywał go dziwakiem, gdyż różnili się w pojęciach bardzo.

Pan Gustaw kochał Zosię — ja to widziałam i zdawało mi się, że ma wzajemność. Odzywała się o nim często z widoczną sympatyą. Co do mnie, byłam tak zarozumiałą na punkcie siostry, że gdyby o jej rękę starał się książę udzielny, nie wydawałoby mi się to wcale dziwnem. Że jednak w sąsiedztwie naszym książąt takich nie było a pomiędzy całą młodzieżą Gustaw miał najwięcej rozumu i zalet zarówno powierzchownych jak i wewnętrznych, przeto ułożyłam sobie z góry, że Zosia będzie panią Gustawową. Uśmiechało mi się i to także, iż w takim razie pozostałaby w najbliższem z nami sąsiedztwie.

Kiedy ja sobie tak układam projekta na przyszłość, przyjeżdża raz z ojcem z jarmarku niejaki pan Baltazar, którego nazwisko i powierzchowność harmonizowały z imieniem. Był to mężczyzna wielki, barczysty, z ogromną głową o bardzo krótko, przy samej skórze obciętych włosach, gruby, czerwonawy, najczęściej zasapany, mający już lat czterdzieści przeszło,—a jak się dowiedziałam, nowy dyrektor fabryki cukru, o kilkanaście wiorst od nas odległej.

Rodzice przyjmowali go z wielką serdecznością,

której celu nie mogłam zrozumieć, domyślałam się tylko, że ojciec musi mieć jakieś z tym panem interesa i zależy mu na jego przyjaźni. Gniewało mnie jednak; że ów pan Baltazar tak śmiało zalecał się do Zosi, do mojej najlepszej Zosi, której jak sądziłam nie wart był nogi ucałować.

Od tego czasu zaczął on u nas bywać coraz częściej, a jednocześnie odbywały się jakieś tajemnicze narady między rodzicami i Zosią, do których mnie nie dopuszczano. Dziwiłam się, że Zosia, która mi zawsze wszystko opowiadała, spowiadając się nawet z myśli swoich nietylko zamiarów i czynów,—teraz milcząca, zamknięta w sobie, nie zdradziła się ani jednym słowem. Nie śmiałam jakoś pytać co znaczą te tajemnicze narady i porozumienia—czekałam aż sama powie. Jak było męczącym dla mnie to czekanie — nie zdołam wyrazić,—ona milczała ciągle, widziałam, że kryła się przedemną ze łzami, słyszałam czasem w nocy, jak schowawszy twarz w poduszki, łkała spazmatycznie.

— Jednej nocy, nie mogłam się już powstrzymać,—wstałam cichutko, na palcach zbliżyłam się do jej łóżka, objęłam ją za szyję i rozplakałam się sama.

To ją rozbroiło ostatecznie, nie umiała już grać dłużej ze mną komedyi. Powiedziała mi, że rodzice żądają, by wyszła za pana Baltazara.

— To być nie może! — zawołałam tak głośno, że Zosia przestraszona dłonią zakryła mi usta.

— Ciszéj, ciszéj, dziecko drogie! — inaczej nie będę się mogła rozmówić z tobą swobodnie.

— Jakto! i tybyś miała pójść za tego wstrętne-go Baltazara, ty mogłabyś zostać jego żoną!...

— Muszę! — odrzekła, ocierając czerwone powieki—muszę!

— Chyba chcesz—zawołałam,— któż może ciebie zmusić do takiej ofiary, za co? po co?

Smutno uśmiechnęła się Zosia. Posłuchaj, Julciu—rzekła—widzisz sama czy to z wolą moją się zgadza! O! gdybym mogła wykupić się od tej konieczności jakąbądź ofiarą—nie wahałabym się wcale! Lecz poświęcać rodziców dla dobra naszego nie mamy prawa, a ja nie mam na to i serca.

Opowiedziała mi dalej szczegółowo, że rodzice w związku tym widzieli jedyny ratunek zagrożonego majątku, że ojciec pod błogosławieństwem kazał jej przyjąć oświadczyzny pana Baltazara a Józio przedstawiał jej czarno na białem, że inaczej wszyscy zostaniemy bez kawałka chleba.

W głowie mi się zawracało... to poświęcenie Zosi dla kawałka chleba wydało mi się czemś tak ohydny, tak strasznym, że we śnie tylko wymarzyć coś podobnego można! Wszelkie przedstawienia nie trafiały mi wcale do serca i głowy—czułam jedno tylko, że muszę ratować moją ukochaną bądź co bądź.

— Czy już ci się oświadczył? — zapytałam ją nagle.

— Nie, dotąd mówił tylko z rodzicami.

— Ha! więc dobrze! on się nie oświadczy wcale!—zawołałam znowu tak głośno, że Zosia musiała mnie powtórnie mitygować.

— Julciu! nie zrób jakiego szaleństwa!

Uspokoiliam ją i przyrzekłam, że będę rozsądną. Rozeszliśmy się znowu, ale już do rana nie spałam.

Pan Baltazar gościł u nas i miał zwyczaj zrana przechadzać się po ogrodzie. Wymknęłam się raniutko do ogrodu i czekałam tam na niego. Zdawało mi się, że projekt mój był niezawodny. Spostrzegłam go wkrótce idącego aleją — udałam się na spotkanie z nim,—zaczął zemną rozmawiać.

Jaka to była rozmowa—nie potrafię pani dosłownie powtórzyć. Chodziło mi o to, by go bądź co bądź zrazić do Zosi. Zapamiętałam, że raz mówił o nieszczęściu mężów mających chore żony. Zaczęłam niby od niechcenia ubolewać nad słabem zdrowiem Zosi, mówiłam, że się lękam o jej życie, że nocami jej kaszel budzi mnie ze snu, że należałoby rodzicom zawieść ją do Włoch i t. d.

Na razie zrobiło to na nim wrażenie, zaczął się wypytywać z pewnym niepokojem,—na nieszczęście zachęcona dobrym początkiem zaczęłam tak, jak dziś widzę, niezręcznie nacierać nań, dając przytem do zrozumienia, że go Zosia nie chce, nie kocha, że za niego nie pójdzie, takem się zapałem uniosła, że musiał się pomiarkować i wszystko spełzło na niczem! kiedy ja rozstałam się z nim



w najlepszej nadziei,—on po śniadaniu oświadczył się Zosi i został przyjęty!

Rozpacz mię ogarnęła,—padłam do nóg mamie, prosząc by ten potworny związek zerwała, myślałam że oszaleję! Mama nawet przestraszyła się moim stanem, zaczęła mię uspakajać i tłumaczyć, że to małżeństwo przyniesie szczęście Zosi, że pan Baltazar jest człowiekiem zacnym, prawym, że posiada wielkie kapitały, że nas wszystkich z kłopotów wyprowadzi, mój posag wyratuje, z żoną za granicę pojedzie gdyby było trzeba, że mój upór na nic się nie zda, że wreszcie powinnam brać przykład z siostry, która spokojnie i z rezygnacją przyjęła wolę ojca i wolę Boga!

To zapewnienie matki straszmem szyderstwem brzmiało mi w duszy, przyrzekłam, że się uspokoję, ale postanowiłam nie dawać za wygraną. Zdawało mi się, że pozostał jeszcze jeden środek ratunku. Napisałam list do pana Gustawa, doniosłam mu o wszystkim, zapewniłam że Zosia go kocha, że wychodzi za Baltazara przymuszona, zaklinałam, by do tego nie dopuścił. Zdawało mi się, że po otrzymaniu tego listu Gustaw wyzwie rywala na pojedynek i zabije. Głowa mi się paliła, czułam się zdolną popełnić szaleństwo!

Niestety! byłam bardzo jeszcze dziecinną. Pan Gustaw nic mi nie odpowiedział, ale też i nie odezwał się wcale. O pojedyнку nie myślał nawet zapewne—tylko zaprzestał bywać u nas i na tem się skończyło. Na dobitkę ojciec dowiedział się

od kogoś, że do niego pisałam, zostałam złajana, zagrożono mi, że jeżeli się nie uspokoję i nie przestanę mieszać się nie do swoich rzeczy, to pojedę do ciotki na Litwę, i na ślubie Zosi nie będę. Wieść o moim oporze rozeszła się po okolicy, wszyscy ubolewali nad rodzicami a niektórzy domyślali się, że robiłam wszystko przez zazdrość. Byli i tacy, którzy mię posądzali o tajemnicze jakieś porozumienie z panem Gustawem i wskazywali córkom na przykład, do czego to prowadzi samowola i zawrócona książkami głowa.

Cóż miałam począć!—uległam. Za miesiąc odbył się ślub Zosi—a w półtora roku po ślubie siostra moja leżała na katafalku!...

Opowiadanie to kosztowało pannę Julię dużo. Głos jęj drżał, pierś się wznosiła gwałtownie, w oczach kręciły się łzy, nerwowy kurcz gardła odbierał jęj prawie możność mówienia.

Pani Ozycka z żywym współczuciem zbliżyła się do nięj i ucałowała ją serdecznie.

— Niech mi pani daruje, że mimowoli przyczyniłam się do poruszenia tak bolesnych dla nięj wspomnień. Proszę teraz wypocząć trochę,—każę podać światło. Blask kominka ma dziwną własność wskrzeszania wspomnień przeszłości i przyprowadza nas o rozstrój moralny.

Wstała i delikatną dłonią uderzyła w srebrny dzwonek stojący na biurku. Służący przyniósł lampę i karafkę z wodą, do której gospodyni dodała proszków sodowych. Zarówno opowiadają-

ca jak i słuchająca miały na policzkach powypiekane rumieńce i wargi gorączkowo suche.

— Poniosła pani istotnie ciężką, bolesną stratę, przemówiła wreszcie pani Ożycka.

— Okropną, kochana pani!— jedynej istoty na świecie, która mię bardzo kochała i dla której byłabym zdolną szczęście własne poświęcić. O! gdyby ją pani знаła! gdybyś mogła jak ja przez te półtora roku widzieć tę powolną męczarnię konania, męczarnię pożycia z człowiekiem, którego nie mogła znieść prawie, który musiał budzić wstręt tylko. Pan Baltazar jest podobno zdolnym technikiem i dzielnym fabrykantem cukru—oto cała i jedyna jego wartość. Zresztą, człowiek bez żadnego wychowania, pełen brutalnych popędów, niepojmujący wcale, że mogą być u ludzi jakieś potrzeby moralne, żyjący w najgorszym towarzystwie, zgromadzający w domu swoim karciarzy i opojów—nie mam słów na określenie męki, jaką ta biedna kobieta przechodziła!

Jedyną jej pociechą byłam ja,—to też nie zważając na nic, na gniewy rodziców, na nienawiść jaką miał dla mnie Baltazar, większą część czasu spędzałam przy niej. Mieszkali tak niedaleko od nas, że mogłam dostawać się tam pieszo. Nosiłam książki, bo tam oprócz ksiąg technicznych nie było innych wcale, czytywałyśmy razem, i sprawiało nam rozkosz prawdziwą zapominać o nieszczęściach teraźniejszości, rozczytując się w prze-

szłości pamiątkach, w jej świetnych i czarnych chwilach, stwarzając sobie sztucznie świat nowy.

Cała okolica szydziła z nas, ledwo że nie dzieci opowiadały sobie o dwóch emancypantkach, które piszą historję, ślęczą po nocach nad starymi foljami, podczas gdy w domu chłodno i głodno!—Nie było w tém słowa prawdy,—Zosia gospodarowała zawzięcie, narażała się nawet, chodząc po piwnicach i lochach, zajmując się przygotowaniem częstych uczt i kolacyj, zmuszona często o drugiej i trzeciej w nocy wstawać z łóżka, gdy zabrakło gościom wina, albo mąż chciał uraczyć ich improvizowanem śniadaniem o świcie.

Tylko wtedy gdy wyjeżdżał z domu, lub szedł do swych podwładnych na hulankę, byłyśmy swobodne, mogłyśmy odetchnąć i sobą się cieszyć.

I ja—ciągle przebywając z siostrą, nie przeczuwałam, że tak prędko opuścić nas zechce! Owszem zdawało się, że siły jej służyły, nigdy się, zwłaszcza przed mężem, nie skarżyła. Nadzieja zostania matką dodawała jej wytrwania. Niestety! nadzieja ta strasznie się miała ziścić. W tydzień po przyjściu na świat dziecka — Zosia umarła. Za matką poszła i sierota...

Tu opowiadająca odetchnęła ciężko i po chwili mówiła znowu.

— Mogłaby pani pomyśleć, że całe to moje opowiadanie było zbytecznem i nie ma związku z własną moją historją. Tak jednak nie jest, związana ona z losem moim bardzo, więcej niżby

się wydawać, niżby się przypuścić mogło. Bo czyż mogłaby pani przypuścić, że ja, com tak siostrę kochała, co tak dobrze znałam jej nieszczęśliwe pożycie i tyle miałam sposobności poznania i ocenięcia charakteru mego szwagra, — że ja, i to w niespełna rok po śmierci Zosi, stanę się przedmiotem starań pana Baltazara, który jak niegdyś siostry, mojej ręki będzie się domagał!

— A rodzice pani?—zapytała pani Ożycka.

— Rodzice moi z większą jeszcze niż dawniej skwapliwością chwycili się tej myśli, bo okazało się, że stan interesów pozostał jakim był, pogorszył się jeszcze. Brat mój spekulacyami swemi pomnażał długi, które rosły z każdym miesiącem, szwagier miał wejść, jako współnik, do naszych interesów i kapitałem swoim spłacić długi, ale na to trzeba było czasu, potrzebował wpierv wycofać zkażynad swe kapitały. Zgon Zosi i jej dzieciątka zrywał stosunek jego rodzinny z nami, — brat mój lękał się, że wszystkie zamiary i obietnice spełzną na niczem. Przyjaciele rodziców, sąsiedzi wołali jednym głosem, że tylko przez nowy związek Baltazara z rodziną naszą możemy się ocalić. Rodzice nie poprzestawali na własnych przedstawieniach i prośbach, za ich wołą przyjeżdżały ciotki, kuzynki i sąsiadki nasze nalegać na mnie, bym się nie wzbraniała. Odwoływały się do mego rozumu, do serca, nawet do pamięci Zosi, która nie wahała się pójść na ofiarę interesów rodzinnych; matka płakała, brat zaklinał, ojciec kłę-

kał przedemną, to znowu groził, że mię wydziedziczy, przeklnie, za córkę znać nie będzie, z domu wypędzi, jeżeli nie posłucham jego rozkazów! Była to tortura, o jakiej ten tylko może mieć wyobrażenie, kto coś podobnego przechodził. Cała opinia zagroziła mi potępieniem, jeżeli się jej oprę — jeden tylko znalazł się człowiek w całej okolicy, pan Zygmunt Proński, daleki nasz powinowaty i towarzysz zabaw moich dziecinnych, który widząc co się zemną dzieje, dodał mi ducha, powiedział, że nie powinnam ulegz naciskowi. On mię oprzytomnił, ocknęła się we mnie cała dawna siła oporu,—uczułam, że istotnie nie powinnam się wahać w wyborze. Ojciec groził mi gniewem swoim, ależ czyż niepowinna byłam bać się gniewu Bożego za krzywoprzysięstwo? Czułam, że przez gardło moje nie przecisnęłaby się przysięga miłości pana Baltazara, że nie potrafiłabym tak nikiżemnie skłamać.

Widząc, że innéj rady niema, uciekłam z domu rodziców, uciekłam tajemnie i dostałam się do Warszawy, bez grosza w kieszeni, gdyż starczyło mi ledwo na opłacenie podróży.

— Ma pani tu kogo z rodziny, z przyjaciół?

— Nie,—nikogo. W pierwszych chwilach byłam zupełnie osamotnioną,—rozpacz dodawała mi odwagi i siły. Ale cokolwiek tu przeszłam, niczem jest wobec męczarni tam doznanych. Dopiero w miesiąc po moim pobycie tutaj, gdy miałam już jedną lekcję, która opłacić mogła mieszkanie, jakie pani widziała i kawałek chleba,—spotkałam

się z panem Prońskim, który mi wiele okazał współczucia i przyjaźni. Przez niego otrzymałam jeszcze parę lekcyj, jemu też zawdzięczam, jak sądzę, przyjemność poznania pani.

— Tak, rzeczywiście, dowiedziałam się o pani od pana Sępińskiego, a jemu opowiadał pan Proński. Ale, jakież teraz są stosunki pani z rodziną?

— Matka przebaczyła mi, miałam jęj list niedawno, ojciec nie chce słyszeć o mnie, nikt nie śmie wymówić przy nim mego imienia. Nie dosyć tego, sąsiedzi karząc mnie za to, zem poszła wbrew opinii, usiłują mnie zniesławić. Spotkanie moje tu z panem Prońskim posłużyło za pretekst. Szczeręj spowiedzi mojęj matka uwierzyła, ojca przebłagać nie mogłam—a opinię, da Bóg przekonam kiedyś, że mię niesłusznie krzywdzi.

— To jest wszystko co mi pani miała do powiedzenia?—zapytała pani Ożycka.

— Tak, pani,—wszystko.

— Niechże odtąd dom nasz uważa pani, jak dom najlepszych przyjaciół, którzy potrafią ją ocenić i szanować— a gdyby było potrzeba i bronić. Mój mąż jest adwokatem, jestem pewną, że coby w interesie pani zrobić było trzeba,—podejmie się tego jak najchętniej. A co do mnie, chciałabym sobie na przyjaźń pani zasłużyć.

Gospodyni uściskała serdecznie gościa— a w tęg samej chwili odezwał się dzwonek w przedpokoju.

— To wraca dziatwa moja z ojcem — zaraz ją pani przedstawię.

Nie długo trzeba było czekać na przedstawienie, drzwi się z łoskotem otwarły i wbiegło do pokoju troje dzieci: Wandzia, Tadzio i Jadwinia, z zarumienionemi z mrozu twarzyczkami. Każde trzymało w ręku jakiś podarek dla matki i z tryumfem rzuciły się w jej objęcia.

— Mamo, przyniosłem ci cukierki!—wołał Tadzio.

— Mamciu, odemnie ciasteczka!

— A ja mam winogrona—wykrzykiwały dzieci chórem.

— Dobrze dziatki, dobrze, ale najpierw grzeczność!—Proszę się pięknie przywitać z panną Julią, która wam będzie odtąd drugą mamą.

Dzieci wpatrzyły się ze zdziwieniem w nieznaną, najstarsza Wandzia ceremonialnie dygnęła.

— Nie tak! nie tak!—zawołała matka—rączkami za szyję—ot tak i całować w buzię.

Julia schyliła się z łagodnym uśmiechem ku dziatwie, która otoczyła ją wiankiem, nie bez zdziwienia jeszcze darząc pieściami.

Za kwadrans już towarzystwo całe było w jak-najlepszej komitywie a gwar dziecięcych głosów, jakby odgłosy srebrnych dzwonków, obijał się o ściany pokoju.



X.

Na początku Lutego w chwili największego szalu karnawałowego, odbył się świetny bal w reursie kupieckiej, którego królową opinia uznała jednogłośnie Laurę Sępińską.

Opinia w tym razie nie myliła się wcale i przypuszczać należy, że i Laura sama pozbyć się na ten dzień musiała wrogię dla niej usposobienia.

Trzeba było widzieć jak świetnie wyglądała małżonka pana Adama, w ciężkiej jedwabnej sukni złocistego koloru a osobliwego kroju, z płomieniami różami we włosach i u gorsu, z okiem jak listopadowa noc czarnem a iskrzącem się fosforycznie...

Umiała ona zawsze ubrać się tak, że strój jej nie rażąc nikogo, różnił się jednak od wszystkich innych, przyćmiewał je sobą. Tego wieczora miała w stroju swym jakiś wdzięk grecki, plastyczny; złocisty jedwab' przylegał do ciała, uwydatniając jego wspaniałe linie, na śnieżnej białości ramionach były przepaski różami ozdobione, drobne nóżki miały na sobie sandałki greckie, co wywoływało, jak łatwo się domysłć, wrażenie u mężczyzn i kobiet wręcz przeciwne. Kobiety gorszyły się tym strojem tém bardziej, im która mocniej czuła się przyćmioną przez ową bachantkę nowozytną;—mężczyźni szaleli. po każdym skończonym tańcu tłum ją oblegał — i gdyby nie prośby i nalegania Adama żadna polka, żaden walc nie zostałby opuszczonym.

Pomiędzy mężczyznami, którzy królowej balu ze szczególnem asystowali odznaczeniem, wzrostem i postawą prześcigał wszystkich ów artysta, stały pani Laury adorator i dawca bukietu róż, co tyle ongi przyjemności przyczynił pani Karpińskiej. Widok podobnie jak tamte płomiennych kwiatów w stroju pięknej pani upoważnił go do przypuszczenia, iż ustroiła się tak umyślnie dla niego.

Pan Edgar, tak bowiem wabił się ów artysta, nie przesadzał wcale w skromności, jak już z tego jednego rysu poznać można, — usiłował naśladować Cezara w łatwych zwycięztwach i do zupełnego podobieństwa brakło mu tylko—łysiny.

Laura jednak nie odpowiadała wcale na jego strzeliste spojrzenia,—hołdy przyjmując, jako swą należność, traktowała go dość oziębło a nawet wyniośle; natomiast błyskawice jój oczu w inną zwracały się stronę; a miały dwa cele.

Jednym z nich był hr. Albert. głośny lew salownowy, człowiek najlepszego towarzystwa i najgorszej opinii, głośny ze swych awantur niezliczonych, lubujący się w tém, że go wytykano palcami, a imię jego służyło za hasło buntu przeciwko wszelkim ustalonym prawom moralnym i towarzyskim. Pomimo to wszystko, przyjmowano go jeszcze wszędzie, a sąd jego o piękności kobiecój słynął z nieomyłności.

Drugim, mniej może widocznym, ale nie mniej wyraźnym celem, do którego zwracały się spoj-

rzenia i nęcące uśmiechy pani Laury, był Zygmunt Proński, który — co było także dość wyraźne, trzymał się opornie i unikał spadającego nań zaszczytu.

Ilekróć wybrała go do figury, lub tańczyła z nim cokolwiekbądź, Laura uśmiechała się wymownie do męża, jakby dając mu do zrozumienia, że młodzieniec jego przyjaźni zawdzięczał jej względy.

Oprócz tych dwóch i artysty Edgara, najwięcej rozmawiał z panią Sępińską znany literat—p. Ruffin Jastrzębiec, jedna z najpopularniejszych osobistości miasta, jedna z jego wielkości. Na czém opierała się wielkość p. Rufina—byłoby to zagadką do rozwiązania. Pisał bardzo mało—ale gadał za to wiele, czy, gdzie i czego się uczył — nikt nie umiał powiedzieć na pewno, ale że był powagą—wszyscy wiedzieli. Słynął jako znakomity stylistą, jako mistrz słowa, jako uosobienie dowcipu—cokolwiek powiedział, podawano sobie z ust do ust—a kogo pochwalił, ten dostawał patent popularności, Ceniono w nim oryginalność: umiał na przykład w rozmowie ze zwykłym śmiertelnikiem odwrócić się doń nagle plecami, nie odpowiadać na pytanie, lub nie uważać gdy mu podawano rękę. Kobietom mówił czasem impertynencye w oczy, zwłaszcza w oczy niezbyt piękne; z żoną nie żył, ale żył za pan brat ze światem zakulisowym, na palcach znał biografją i tajemnice aktorek, śpiewaczek i baletniczek, w teatrze siadywał

w pierwszym rzędzie, zakładając nogę na nogę i częstem a widocznem ziewaniem objawiając żywe zajęcie się sztuką. Pomimo wysokiego wyobrażenia jakie o nim miano, uważał się za nie dość cenionego i z gorzką ironią odzywał się o opinii.

— Uważasz pani — mówił do Laury, impertynencko wskazując siedzące naprzeciwko nich damy—jak te wszystkie urzędowe boginie naszych balów pozerają ją spojrzeniami! Jutro w moim dzienniku napiszę, żeś pani była królową balu, — dostaną złotaczki—jestem pewny.

— Czyżbyś pan był tak nietościwy?—szepnęła z rozkosznym uśmiechem.

— Ja?—słynę ze sprawiedliwości!—kogo ja pochwalę ten zostanie pochwalony przez wszystkich. Wszak niewątpliwie czytać pani musiałaś mój artykuł niedawny o pięknościach warszawskich? W Paryżu zrobił on ogromne wrażenie!—przyjaciel mój Hugo powiedział: gdybym był trochę młodszy, udałbym się nad brzegi Wisły oglądać tegoczesne Syreny. W całej Europie—ja i on tylko mamy smak w tym względzie—*c'est connu*. Powiedziałem raz hrabinie Pelagii...

Laura musiała przeprosić powagę warszawską, gdyż w tej chwili kilku tancerzy przyszło ją porwać do polki. Pan Rufin patrzył przez chwilę, jak unosiła się w wirze tańca, wzruszył ramionami i ziewnął.

— Pięknie się bawimy! — przemówił doń, w tej chwili hr. Albert, siadając na opróżnionem miejscu.

— A, tak!... wyśmienicie — odrzekł literat, biorąc go za rękę i zatrzymując ją w swęj dłoni—nasze zabawy mają w sobie coś usypiającego!

— Ale że piękna kobieta, to pewne, nieprawdaz?

— Tak, dość ponętna,—szczególniej u nas podobać się może. Ja utrzymuję, że naszym kobietom brak czegoś... brak, że tak powiem, tego co podobnych jak my hrabio bywalców pociąga. *N'est ce pas?*—Znałem w Paryżu...

Hrabia mu przerwał.

— Ale ta posiada wszystko — dużo wdzięku i śmiałości, ogień jest i rasa, o, jest. Ale, ale nie widziałeś moich folblutów, sprowadziłem je na wyścigi. Cacko! warto dać buzi!—a jak wytresowane! Przyjdź jutro—pokażę.

— No, ja znam się na koniach i rasach, — owszem zobaczę i napiszę w moim dzienniku.—Patrz, patrz jak tańczy!—*sapristi!* gdybym był hrabio na twojem miejscu...

— Wiem, wiem. Powiedz mi, co to za figura ten Sępiński?

— Biuralista, stary pedant, do reszty wyschnięty z zazdrości.

— Spodziewam się; ktoś mi go przedstawił — kwaśna figura.

— Gotów ci, kochany hrabio, drzwi zamknąć przed nosem.

— Żarty!... nie ma dla mnie drzwi zamkniętych. Ale mniejsza o to, mogą się znaleźć drzwiczki—i owszem.

Rufin zaśmiał się.

— To dobry koncept!—jutro będziesz figurował w moim dzienniku. Drzwi i drzwiczki,—udało ci się, kochany hrabio.

— A cóż to za drab z miną szablonowego artysty, który jój nadskakuje?

— Ach, ten?... to idyota, któremu się zdaje, że jest rzeźbiarzem. Edgar, przynosi sam reklamy dla swoich gipsatur, w których *figure* piszę przez *o* kreskowane.

— Ależ pedant z ciebie, redaktorze! — zawołał hrabia (który podobnie pisywał na wekslach dług przez *o*). — Wasza gramatyka to przesąd, wierz mi, lada kancelista pisze ortograficznie.

Ziewnął mówiący, zawtórował mu słuchacz i spojrzął na zegarek.

— Żeby już raz dawali tę sławną kolację! — Wiesz, zrazy nelsonskie bywają tu wcale smaczne...

Ziewanie stawało się w sali epidemicznem, co zresztą jast poniekąd właściwością publicznych balów w Warszawie. Wystawne stroje dam odstraszały od wzięcia udziału bardzo wiele lubiących się bawić, ale niezamożnych kobiet; ztąd na galeryi więcej się nierównie zebrało spektatorek, niż na dole uczestniczek balu. Wszędzie było gorąco nieznośne młodzież oddawała się tańcom nie dość zapalczywie, by zapał i dobry humor mógł zapanować w towarzystwie. Złota młodzież, o białych wymokłych twarzach i cienkich no-

gach, mazura nawet tańczyła tak, jakby za pańszczyzną, niejeden wyglądał w tańcu niby stary, zmęczony koń woziwoda, co ledwo się na nogach utrzymać może a galopować mu każą. Z początku pojawienie się Laury, jako nowość, ożywiło cokolwiek grono taneczne wkrótce jednak i z nią się oswojono. Damy nawet ziewały, zasłaniając się dyskretnie wachlarzami.

Z dam najmocniej przypadła do serca Laurze jedna z gospodyń balu, pani Erazmina N., którą tytułowano prezesową. Nawzajem pani prezesowa okazywała jej tyle serdeczności, tak się nią zajęła, tyle miodowych sypała słówek, że niepodobna było oprzeć się temu wszystkiemu.

Nie poprzestając na komplementowaniu Laury, zwróciła się z wynurzeniem gwałtownych uczuć i do jej męża. Sępiński, który dziś szczególnie usprawiedliwiał swe nazwisko, zaatakowany najniespodzianie, nie miał prawie czasu na przemówienie słowa.

— Jakie to dla mnie szczęście, że się tu z wami, szanowni państwo spotkała, prawdziwie nie potrafię wyrazić! Żoneczka pańska taka śliczna, taka miła, taka czarująca... o! chyba że pan będziesz zazdrośnym mężem—inaczej, mojem najgorętszem pragnieniem jest zbliżyć się do państwa, poznać ich lepiej,—jesteście prawdziwym skarbem tutejszego towarzystwa!... ja tak spragnioną jestem takich zażyłych serdecznych stosunków!... tyle mam dla pana szacunku, mąż mój nie miał

wyrazów prawdziwie... Musicie mnie przyjąć za waszą wierną przyjaciółkę!... zakochałam się w zachwycającej pani Laurze!...

Potok wymowy pani prezesowej ogłuszał Sępińskiego—chciał porobić jakieś zastrzeżenia, bronić się chłodem konwenansowych grzeczności, — wszystko się na nic nie zdało,—kłaniać się tylko mógł i uśmiechać.

Niespodziewaną tę a tak serdeczną przyjaciółkę znał już trochę z opinii—nieszczególniej. Była to kobieta nie pierwszej młodości, niegdyś piękna, czego zostały ślady. — wspaniałej postawy, nadzwyczajnie biała, z ognistemi dotąd jeszcze oczami, wytwornych ruchów, bogato a nader gustownie ubrana, żywa, wesoła, nader uprzejma i grzeczna—pani prezesowa przy świetle gazowem wyglądała młodo i efektownie.

Chodziły pogłoski, że nieboszczyk prezes był... ale czegoż ludzie nie wymyślą! iluż to mężów śmieje się serdecznie z tego co o ich żonach gadają! — Mówiono, że po śmierci męża pokazały się różne tajemnice, że na podstawie tych wiadomości sukcesorowie wytoczyli wdowie proces, że usiłowali obalić testament.—podobno nawet testament ów miał być... ale o tém mówić długo a może i nie warto.

Proces spełził na niczem, wdowa zrobiła dobrowolnie jakieś małe ustępstwa—a zresztą cały znaczny majątek został przy niej, i ta sama opinia, choć powtarzała to i owo, nie zamknęła przed nią



żadnych drzwi, owszem pozwoliła jej wejść w koło matron miejskich, otoczonych szacunkiem powszechnym. Prezesowa Erazmina była jednym z filarów dobroczynności; nieunikniona kwestarka w wielkim tygodniu, umiejętna kolektorka loteryi fantowej, hojna niekiedy ofiarodawczyni, znała całą Warszawę i wszyscy też ją znali, chyba że ktoś był odludkiem, jak Sępiński.

Obsypany słodyczami, poprzebijany jak rzeszoto serdecznemi spojrzzeniami prezesowej, napastowany co chwila przez kogoś, co mu się przedstawiało, Adam chmurzył się coraz więcej. I trzeba mu przyznać, że miał do tego słuszne powody.

Najpierw samo wybranie się na ów bal stało się wbrew jego woli. Napróżno przedstawiał żonie, że taniec może jej zaszkodzić, prosił by swą ciekawość poznania zabaw i wielkiego świata warszawskiego wstrzymała na później, — nie nie pomagało, nie nie trafiało do przekonania, — opór Laurę rozdrażniał, ten bal zaczął się jej przedstawiać, jako cel, który musi być osiągniętym, bez względu na wszelkie przeszkody.

Opierając się dłużej, łatwo było wywołać scenę, téj bał się Sępiński zarówno ze względu na zdrowie żony, jak i na przyszłość spokojnego dotąd pożycia. Rozsądek zmuszał do ustępstw — nie było innej rady.

Laura przyrzekła najuroczyściej tańczyć mało i mieć się na ostrożności, ale upojeniu muzyki i tańca trudno jej było się oprzeć. Rad był więc

Adam skrócić przynajmniej, o ile to było możliwem, pobyt na balu. To mu się udało,—prezesowa uskarżająca się na mocną migrenę, miała właśnie chyłkiem opuścić zabawę, gdy spotkawszy się z Sepińskim, nie mogła się wstrzymać od polecenia się jego pamięci i powtórzenia raz jeszcze zachwyków i komplementów. Skorzystał z tego Adam i namówił żonę, by wyjść razem z jej gorącą wielbicielką, zwłaszcza że już i kilka innych dam zabierało się do opuszczenia sali balowej.

Laura tedy, zarzuciwszy na ramiona płaszczyk gronostajowy, przyjęła chętnie ramię mężowskie i razem z prezesową, którą prowadził jeden z gospodarzy balowych, wyszła do kontramarkarni, gdzie usłużny artysta Edgar z wielką gracyą podał jej futro. Znalazł się tam i Proński, któremu Adam szepnął słów kilka.

— A proszę o nas nie zapominać!—dodała Laura, z czarującym spojrzeniem wyciągając ku niemu rękę.

Artysta rzucił nienawistnem okiem na człowieka, do którego mogło się stosować podobne zaproszenie, podczas gdy on, co futro trzymał, odebrał tylko proste: dziękuję.

Zygmunt nie zauważył go nawet — uśmiech i spojrzenie, jakim go obdarzyła Laura miały dlań własność silnego blasku. Jak gdy wpatrzymy się przez chwilę w słońce, odtąd długo i na wszystkich przedmiotach widzimy jego odbicie w postaci kręgów czerwonych, — tak gdziekolwiek spojrzal

młodzieniec, zewsząd patrzyły nań oczy czarne i migotały fosforyczne ich blaski.

Znalazłszy się wreszcie przy sobie w powozie, małżonkowie oddali się rozmyślaniom całkiem odmiennęj natury. Laura miała to uczucie, jakby ją doleciało powietrze wymarzonego kraju — krajem owym był świat zabaw i szału, przepychu, blasków i woni upajających, czuła się podrażnioną, upojoną—szczęśliwą.

Adam siedział zasepiony i chmurny. Ów świat do którego rwała się wyobraźnia i ognisty temperament Laury, nie był mu obcym, to też nie pożył go dla siebie a tém mniej dla żony, zwłaszcza w jej stanie dzisiejszym. Lękał się o jej zdrowie, wzbraniał tego balu ile mógł, a zmuszony w końcu ustąpić, niepokoił się i martwił.

W inny sposób, lecz niemniej także niespokojnym był Zygmunt. Piękność Laury dziwne robiła na nim wrażenie, — pociągała go i przerażała zarazem. Od swęj pierwszêj bytności w domu Sępińskich był u nich raz jeden jeszcze i postanowił sobie chodzić tam tylko w razie ostatecznej potrzeby.

Gdy czarne przenikliwe oczy tęg kobiety spoczywały na nim, czuł, jakby w duszy jego rozposcierał skrzydła czarne demon jakiś, nieznany dotąd a straszny.

Teraz, choć już powóz Sępińskich był daleko, młodzieniec stał jeszcze pod kolumną sali zadumany i smutny, wpatrując się w przestrzeń bezmyśl-

nie a w oczach jego uśmiechały się jeszcze różowe usta Laury, w uszach dzwoniły jej słowa i dłoń czuła dotąd uściśnienie drobnej, elastycznej rączki.

Otrząsnął się wreszcie z tego upojenia, powiódł ręką po czole, w twarzy odbiło się postanowienie stałe—niezmienne.

— Muszę jej unikać—to mój obowiązek.

W parę dni po balu, w Niedzielę, gdy Laura siedziała w saloniku, przeglądając nowe gazety i pisma a mąż jej rozmawiał z matką, dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju i służąca przyniosła kartę wizytową. Laura przeczytawszy ją, z pełnym radości pośpiechem oddała mężowi.

Na karcie stało: *Le comte Albert N...*

— Powiedz—rzekł szybko Adam, że pani niezdrowa a pan wyszedł na miasto.

— Jakto? czemu?—zawołała Laura.

Adam skinieniem ręki dał znak służącej, żeby rozkaz jego spełniła, a gdy się drzwi za gościem zamknęły, odpowiedział żonie.

— Nie mogę go przyjąć — przez szacunek dla ciebie.

— Nie rozumiem cię!—odparła zarumieniona— hrabia jest tak dobrze wychowanym człowiekiem, że z pewnościąby mi nie ubliżył.

— To też nie posądzam go, by chciał ci ubliżać, ale są ludzie, których sama obecność w towarzystwie obraża znajdujące się w niem kobiety. Do takich należy hr. Albert.

— Ach! jego opinia! — ironicznie odezwała się Laura.

— Tak, opinia, na którą jawnie zasługuje, która zatem mylić się w tym razie nie może.

— A jednak pomimo tej opinii—przyjmują go wszyscy.

— To nie stanowi; bym i ja go miał przyjąć. Wolno każdemu postępować, jak mu jego przekonanie dyktuje.

— Tak, szkoda tylko, że wy mężczyźni uwzględnicie jedynie własne przekonania, na nasze nie zwracając nawet uwagi. Gdybym ja na przykład miała korzystać z prawa o jakim mówisz, przyjąłabym wizytę hr. Alberta... Idzie więc poprostu nie o przekonanie, ale o władzę. Zwyczaj i opinia przyznaje ją tobie, jako panu i głowie domu—nam, upośledzonym pozostaje tylko słuchać w pokorze.

W głosie, jakim to mówiła czuć było rozdrażnienie.

— Czy ci tak bardzo zależało na znajomości z hrabią?—zapytał łagodnie Adam.

— Bynajmniej,—mnie idzie o zasadę, nie o osobę.

— Więc pozwól, że ci się z mego postąpienia wytłómaczę.

— Zbytek łaski! Po co się tłómaczyć, kiedy można rozkazać, a ktoś słuchać *musi*.

— Mylisz się, ani apodektycznych rozkazów ani też ślepego posłuszeństwa w stosunku naszym nie widzę potrzeby. Lecz pozwól mi mówić.— Sama przyznasz, że najliberalniejszą formą stosun-

ków społecznych i towarzyskich jest porządek oparty na wzajemności ustępstw...

— Chcesz mi przypomnieć, że wbrew twemu przekonaniu poszła na bal; dziękowałam już za to ustępstwo.

— Teraz przyszła kolej na ciebie, — nie było czasu na dłuższe porozumienie się nasze, a byłem pewny, że zgodzilibyśmy się w końcu na jedno. Zdecydowałem sam, nie czekając ustępstwa z twojej strony. Wszystko więc w porządku, — nieprawdaż?

— Jesteś doktrynerem, mój Adamie— to pewne. Ale mniejsza o hrabiego!—przemówiła weselej,--wszak zrobimy wizytę prezesowej? — przeciwnie temu nie mieć nie będziesz? Taka miła i serdeczna kobieta...

— Wolałbym, żebyś się więcej zbliżyła z panią Ozycką...

— A cóż to jedno drugiemu przeszkadza!—One nawet bywają u siebie nawzajem.

— Wiem o tem. prezesowa bywa wszędzie. - to swego rodzaju *perpetuum mobile!*—przyjaciółka całego świata.

— Zkądże taka złośliwość?... Nie dziwię się zresztą, że ją wszyscy kochają... Kiedyż się do niej wybierzemy?

— Kiedy zechcesz.

Adam uśmiechnął się ironicznie.

— Jakaż to znowu złośliwa myśl przemknęła ci po głowie?

- Pewna stara jak świat zagadka... Może ty ją rozwiążesz. Powiedz mi, czem się to dzieje, że wy, kobiety jesteście tak bardzo wrażliwe na pochlebstwa? Podczas gdy każdy cokolwiek doświadczeńszy mężczyzna pochlebców unika.—najlepsza z was nawet zawsze się da ująć miodowem słówkiem.

— Więc przypuszczasz, że dlatego...

— Nie nie przypuszczam,—dziwię się tylko, że przesadna słodycz prezesowej nie ostudziła w tobie porywów tak gorącej sympatii. Co do mnie, po nasłuchaniu się komplementów tej kobiety, przypomniałem sobie wszystko co o niej kiedykolwiek mówiono.

— Ciekawy objaw wdzięczności mężkiej.

— Nie stałoby się to z pewnością, gdybym mógł wierzyć w szczerłość pochwał, jakimi mnie pani Erazmina zasypała. Zresztą jest ona typem dobrze mi znajomym. Nie ma osoby słodszej dla wszystkich niż prezesowa.

— Należałoby mi się obrazić za niepochlebne wyobrażenie jakie o mnie powzięłaś, ale—ustępuję i w tym razie, a za dni parę pójdziemy z wizytą do prezesowej.

Rozmowa się przerwała, gdyż zadzwoniono znowu,—tym razem karta wizytowa oznajmiła przybycie pana Rufina Jastrzębca a zaledwo ten usiadł, przyniesiono inną, artysty Edgara.

Laura była uszczęśliwioną czarując przedstawicieli prasy i sztuki wdziękiem i uprzejmością. Już

się jej marzyło, że dom ich staje się ogniskiem miejscowej inteligencji, że będą o nim, o niej mówić wszędzie, że salon swój zrobi punktem środkowym życia warszawskiego. Wyobraźnia szybko działająca przedstawiła już jej mieszkanie inne, z kilku salonami, w salonach tych liczne zgromadzenie *śmietanki* towarzyskiej i artystycznej, znakomitości nawet zagraniczne śpiewające i grające a nadskakujące pięknej gospodyni z grzecznością pełną zachwytu. W jednej chwili, jakby w mglistym obrazie, ujrzała Laura i siebie z nutami w ręku zabierającą się do śpiewu na prośby natarczywe zgromadzonych gości... Śpiewała— a na fortepianie akompaniował jej Tausig, słuchał z zachwytem Rubinsztein, zazdrośnie spozierało grono śpiewaczek upokorzone i zaćmione...

Za chwilę inny obraz przedstawił się jej oczom... salon jej świeci pierwszorzędnymi gwiazdami świata literackiego a ona, w długiej, powłóczystej, aksamitnej sukni, odczytuje swoje utwory. Oto skończyła—uroczysta cisza zmienia się we wrzawę, słuchacze nie mogą pohamować zachwytu, obsypują ją wieńcami i bukietami, szampan strzela na wiwat, z wonią kwiatów unoszą się w powietrzu wyrazy: wieszczka, talent nieporównany! geniusz! A na mieście zazdrośnicy dostają żółtaczki, złośliwa opinia w bezsilnym gniewie kąsa sobie palce, wymyślają ludzie niestworzone o niej historye, ale muszą mówić o niej, myśleć o niej, pisać o niej—co za tryumf!



W tych błyskawicznych marzeniach były jeszcze i inne obrazy,—salony literackie zmieniały się czasem w sale balowe, — muzyka wyborowa grzmiała, mnóstwo wykwintnej młodzieży ubiegało się o spojrzenie, o uśmiech królowej balu, a ona unosiła się w walcu rozkosznym, upojona, rozmarzona... szczęśliwa.

Był tam i Zygmunt Proński, i hrabia Albert, i Edgar artysta i Łomnicki nawet i mnóstwo, mnóstwo innych mężczyzn— z wyjątkiem Adama.

Nie naturalniejszego nad to! Fantazyja, niepozabawiona cech rzeczywistych, porządkowała obrazy zmyślane logicznie i według praw przyrodzonych. Osoby miały przeznaczone im pewne funkcje—miał ją i Adam, lecz była to funkcja drugorzędna, niewidoczna: oto, gdy inni śpiewali, grali, tańczyli, pili lub chwalili—on płacił.

W praktyce życia funkcja ta ważna. ale o tem Laura nie miała nigdy dokładnego wyobrażenia— i jak nie mogła się zgodzić na przedstawienia niegdyś Lipienieckiego, że w obec stanu interesów Małej Łączki, wyjazd za granicę będzie ruiną ostateczną,—tak też przez myśl jej nie przechodziło nigdy oglądać się na możliwość majątkową męża.

Pod tym względem Laura była rozpieszczonem i naiwnem dzieckiem—wartości grosza nie знаła ani też miała pojęcie o trudnościach pracy zarobkowej. Kwestya pieniędzy wydawała się jej zawsze bagatelnią a w razie potrzeby umiała sobie ra-

dzie doskonale. W zaciąganiu długów istotną była mistrzynią—mógłby o tém powiedzieć Łomnicki, pan Baltazar Czuryłło i wielu, wielu innych. Nie rozumiała co to znaczy odmówić sobie czegoś, ze względu na niemożność finansową,—owszem postawić na swoim było według niej dowodem silnej woli—a w wolę swą wierzyła święcie, zwłaszcza że doświadczenie wiare tę stwierdzało dostatecznie.

Znając usposobienie żony, Adam chwycił się sposobu, który mógł i powinien był zmusić ją do rachowania się i oszczędności. Wyzначył jej wysoką pensyę roczną, płatną kwartalnie, a przeznaczoną na jej własne potrzeby. Oprócz tego na koszt utrzymania domu wypłacał żonie na początku miesiąca summę znaczną i składał także na jej ręce pieniądze dla matki. Wszystko razem wynosiło kapitał niemały, ale Laura nie zdawała sobie z tego sprawy.

Sposób w jaki mąż urządził z nią rachunki, przypadał jej do przekonania — mogła wydawać, nie będąc w szczegółach kontrolowaną i nie potrzebowała za każdą razą prosić go o pieniądze. W tym względzie szczególniej była drażliwą — jakas subtelna ambicya zamykała jej usta, ilekroć Adam dotknął kwestyi pieniężnej. Wziął ją bez posagu, spłacił dług Czuryłły, zachowywał się względem niej i matki z największą grzecznością, obowiązywało to do odpłacenia mu tém samem. Nie było w tém żadnego względu na interesa mę-

zowskie, ale była drażliwość osobista. Choćby się nawet miał dla niej zrujnować—nie myślałaby o tém wcale, ale łatwiejby jej przyszło pożyczyć w danym razie u Łomnickiego lub nawet u Czuryłły, niż odezwać się jednym słowem do męża.

Jeśli się komu kombinacya podobna wyda nie logiczną, śpierać się z nim nie będę,—ale też nie przedstawiam wcale charakteru Laury, jako wzoru logiki i konsekwencyi ogólnej, zwykłej.

Że zaś miała ona swą własną konsekwencyę, o tém świadczy przeszłość a przyszłość dopowie reszty...

Pierwszy raz w Warszawie spędzony karnawał upajał Laurę, wciągając kusząco w to życie nerwowe, sztuczne, podniecające, które zdawało się być jej żywiołem. Marzyła tylko o nowych zabawach, nowych strojach, zaczęła namawiać męża, by kupił konie i powóz, czemu się Adam oparł, choć namawiała go w imię jego własnej wygody. Istotnie mógł on teraz potrzebować powozu, gdyż obok swych zajęć biurowych przyjął kilka spraw do prowadzenia dla których musiał chodzić wiele i w różne strony miasta.

Hojnym będąc dla żony, stał się oszczędnym dla siebie bardzo, marzył już zawczasu, że będzie ojcem, dla przyszłej dzieciны swojej chciał przygotować podstawy niezależnego bytu; często wspominał o tem, dając niejako do zrozumienia, że się oszczędzać powinni oboje.

Nie myślała tak wcale Laura — parę tygodni

karnawałowych pochłoneło szybko całą jej pensję kwartalną, zapożyczyła się od matki, robiła oszczędności kuchenne, a pomimo to wszystko, czekał ją jeszcze jeden wielki bal u Prezesowej, z którą się zaprzyjaźniła,—a na ten bal zabrakło już jej zasobów.

Próżno jednak Adam prosił, przedstawiając jej względy zdrowia, próżno robiła swe przedstawienia kasa, w której ledwo szczątki zostały,—chciała być na balu a tego było dosyć.

W pierwszorzędnym sklepie, gdzie się już dała poznać i gdzie znano z opinii jej męża, otwarła się przed nią uprzejmie księga kredytu... Pierwszy dług w ten sposób zaciągnięty po ślubie usunął przeszkody finansowe, — prośby Adama dały się uchylić zapewnieniem, że to bal ostatni— i znowu miasto całe zabrzmiało odgłosem tryumfu, jaki odniosły na balu u Prezesowej wdzięki Laury, jej taniec. strój i czarujące obejście.

— No, teraz mężu— zawołała—gdy nad ranem wracali z tego balu,—już cię więcej niepokoić nie będę. Zamknę się w domu, napada mię gorączka pisania, nikt mnie nie zobaczy!

— Więc jesteś ze mnie zadowolona? — zapytał Adam ze smutnym uśmiechem.

— Kocham cię!—szepnęła namiętnie. tuląc się do jego piersi.

## XI.

Czas upływał szybko i zbliżała się coraz więcej tyle upragniona przez Sępińskiego chwila, w której miał zostać ojcem.

Wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy, przyjście oczekiwanego gościa było bardziej przez ojca niż przez matkę pożądane. Adam kochał żonę gorąco, z całą namiętnością serca, które się na chwilowe uczucia nigdy nie rozpraszało; ale było w tej miłości coś, co mu broniło być zupełnie szczęśliwym.

Tem ziarnkiem goryczy w słodkim kielichu miłości, tą plamą na słońcu, zgrzytem w harmonii—było usposobienie Laury.

Nadzieja, jaką miał Adam, że ta przekorna, samowolna, kapryśna natura da się złagodzić i usmierzyć miękkim z nią postępowaniem—słabła z dniem każdym. Laura nie zmieniała się wcale, tylko tam, gdzie była tego potrzeba, umiała zamilczeć, udać kapitulację, dostroić się chwilowo do tonu męża.

Gdy on miał ją za dziecko potrzebujące umiejętnę rękę i liczył na swój charakter i doświadczenie, że mu dadzą możność kapryśną pokierować wolą, — ona tymczasem patrzyła nań, jako na człowieka pełnego uprzedzeń, zacofanego doktrynera, którego że nawrócić nie było już można, należało mu ustępować — *dla świętego spokoju*.

Wprawdzie Adam nie widział tego jasno, ale do-

myślał się i przeczuwał— był więc zawsze powód uzasadniony do obawy. Kto niedając się przekonać ani ująć, dostraja się do harmonii z innym dla świętego spokoju, ten ustępować będzie jedynie tak długo—póki mu na tém zależeć będzie. Węzeł to dostateczny w spółce handlowej, ale za słaby w małżeństwie. Tu było więcej powodów do obawy niż gdziekolwiek, gdyż zmienne i namiętne usposobienie Laury kazało się lada chwila lękać, że taki stosunek jój dokuczy — a wtedy lada kaprys chwilowy, lada popęd namiętny mógł do nieobliczonych doprowadzić następstw.

A Laura tak się rwała do stosunków ze światem, tak ciasno jój było w ścianach domu, a między ludźmi robiła wybór tak nieszczęśliwy, że ostrożny i przewidujący Adam drżał w obec każdej nowej wizyty.

Ożycka nie przypadła do serca Laury,—nazywała ją pani Adamowa pedantką, nudziła się w jój towarzystwie, niekiedy żartowała nawet, że najulubieńszym tematem rozmowy dla Ożyckiej były dzieci, mąż i dom.

Spodziewał się Adam, że towarzystwo panny Julii Grabowickiej będzie jój miłym—i rzeczywiście z początku nowa ta znajomość ożywiła Laurę; Julia poszła także wbrew opinii, było więc w nich pewne powinowactwo duchowe.

Trwało to jednak niedługo. Po wieczorze u Ożyckich, na którym był także wprowadzony przez gospodarza Zygmunt Proński, Laura powiedziała mężowi:

— Nieznośna jest ta panna Julia!

— Cóż ci się w niej nie podobało?

— Niecierpię kobiet sentymentalnych! To najgorszy gatunek kokieteryi.

— Dlaczegoż ją posądzasz o kokieteryę? Może była istotnie smutną—pozycya jej nie do zazdrości. Oderwana od rodziny...

— Sama tego chciała. Zresztą dziwię się, żeś nie uważał, jak sentymentalnie nęciła ku sobie młodzież.

— Uważałem tylko, że dużo rozmawiała z Prońskim,—nic dziwnego, znają się z sobą dawniej, mają wspólne znajomości... owszem, mnie się panna Grabowicka bardzo podoba.

— Wyswataj jej Prońskiego?—zawołała śmiejąc się ironicznie. Gdzież jednak konsekwencya twoja, Adamie,—tak zawsze bronisz praw opinii— a przecież panna Grabowicka jest w walce z opinią.

— Bo też sam fakt walki takiej nikogo jeszcze w moich oczach nie potępia; że ktoś idzie wbrew opinii, tego mi jeszcze nie dosyć—pytam dokąd idzie i w imię czego staje do walki?

— Więc bunt przeciwko woli i rozkazom rodziców usprawiedliwiasz? ty, coś tak apoteozował prawa rodziny?

— W tym razie właśnie dlatego. Uważając związek rodzinny za święty,—nie mogę uznawać gwałtu i przymusu w zawiązywaniu rodziny, którą tylko miłość i szacunek wzajemny kojarzyć powinny.

— A jednak małżeństwa z nakazu były tak pospolite u nas w przeszłości, którą uwielbiasz,— a opór władzy rodziców uważany bywał za coś niesłychanego.

— Tak, i potępiam nadużycia, gdziekolwiek je znajduję. Niepodobna jednak nie uwzględnić okoliczności i ducha czasu.—to co wówczas było złem, dziś w obec podniesienia praw jednostki staje się jeszcze gorszem, —społeczność nie napróżno żyje rozwija się i postępuje.

Laura zamilkła, — odtąd jednak odzywała się o pannie Grabowickiej tylko z przekąsem i ironią.

Natomiast dla Prezesowej i jej otoczenia nie miała dość słów na pochwały. Wkrótce tak się z sobą zaprzyjaźniły, że się musiały nawzajem parę razy na tydzień odwiedzać. Bywały w tym domu przez post cały wspaniałe *rauty*, wieczory muzyczne i literackie, gromadził się świat artystyczny i dziennikarski, spotkać było można ludzi najrozmaitszych sfer. zajęć i opinii.

Przy zielonych stolikach zgrywano się w karty i bywały w obiegu tysiące, w ustronnych budoarach i alkowach kwiatami ustrojonych gruchały pary romantyczne, bawiono się doskonale, wolność panowała zupełna a gospodyni z prawdziwem mistrzostwem wywiązywała się ze swego obowiązku.

Wprawdzie złośliwi znajdowali i tu coś do powiedzenia, podawano sobie do ucha uwagi o niektórych damach tam bywających. podejrzliwie pa-



trzano na stałych rycerzy zielonego stolika, skarżono się, że po szklaneczce herbatki i skromnych zimnych przekąskach głód dokuczał i gościom później „cyganie się śnili,“ — ale nikt zaprzeczyć nie mógł, że Prezesowa Erazmina była wzorem uprzejmości i najlepszego tonu.

Przez cały post raz jeden tylko Laura opuściła wieczór tygodniowy u prezesowej—każdą razą towarzyszył jej mąż, dla którego było to ciężkim i przykrym obowiązkiem.

Po świętach mógł już trochę odetchnąć—żona wzięła się do powieści. Oddała się tej pracy z namiętnością, często do godziny trzeciej i czwartej zrana nie wstając od biurka, pracowała nad rękopismem; napróżno Adam usiłował przerwać tak gwałtowną robotę, częściej niż jego prośby, nafta gasnąca w lampie zmuszała ją udać się na spoczynek.

Powiększało to jeszcze z chorobliwego jej stanu wynikające rozdrażnienie,—z dniem każdym stawała się drażliwszą,—raz, gdy po wysłuchaniu odczytanego mu rozdziału, Adam zaczął robić uwagi swoje,—autorka dostała spazmów. Przekonał się, że krytyka była niemożliwą.

Za parę dni przyszła mu znowu czytać,—słuchał już w milczeniu. Powieść była pełną gorączkowej fantazyi, scen ponurych, jak noc pod biegunem i szalonych jak bajka wschodnia. Tendencya zawsze ta sama — jaskrawa, rażąca, krańcowa. Bohaterami ludzie wyjątkowi, ścierający się z o-

gólem, modelowani na wzór Korsarza i Don Żuana—z bajronowską pogardą dla zwykłych śmiertelników, z mussetowskiem zwątpieniem i miłością, z ironią i szyderstwem Hejnego.

Talentu było w tém dużo, ale talent ten pjany, rozczochrany, bezładny, jak biesiadnik wracający z bachanalii. widział gwiazdy przewodnie w odbijających się w kałużach ulicznych światłach latar ni i rozbijał się co chwila o mury na drodze stojące.

Adam umiał się na tém poznać, — zaszczycony zaufaniem chciał się wywdzięczyć radą doświadczoną, ale tej Laura nie potrzebowała, trzeba jej było pochwał, zachęty, okłasku—słuchacz kłamać nie umiał—milczał. Milczał i patrzył z niepokojem na rozognione oczy piszącej, na jej spalone wargi, na drżące nerwowo ręce, które pracowały nad obaleniem porządku towarzyskiego i rzuca niem nowych podstaw pod gmach społeczny...

Widząc, że mąż skąpy na pochwały, Laura zaczęła czytać matce,—ale zdarzało się to rzadko.

Pani Karpińska nie mogła jakoś przyjść do zdrowia. Jakby jej powietrze warszawskie nie służyło, prawie od chwili przyjazdu ciągle była cierpiącą. Lekarz odwiedzał ją stale, parę razy na tydzień szły recepty do apteki,—polepszenia nie było, chora stękała głośno, skarżąc się na dotkliwe bole reumatyczne.

Przykro było Adamowi widzieć zupełną obojętność żony dla matki. Jakby dla wynagrodzenia

pani Karpińskiej tej obojętności, on sam wstępował do niej co dzień i spędzał w pokoju chorój pół godziny, godzinę czasem, w miarę możności. Doktora sprowadzał sam, troszczył się o jej zdrowie, ujęta tem wszystkiem matka Laury nie miała słów na pochwałę zięcia.

Jej uwielbienie zaczęło wreszcie dokuczać córce, napominała ją często, karciała łagodnie, że jest za mało dla takiego męża czułą i uległą, wychwalała go przed nią przesadnie.

Zarówno jednak te częste uwagi, jak i ciągła choroba matki, potrzebująca opieki i doglądania, drażniły i niecierpliwiły Laurę coraz więcej. W nocy zwłaszcza przy pisaniu powieści, gdy z pokoju matki dochodziły ją jęki i zale, posuwało to stan jej nerwowy do najwyższego stopnia—gryzła zębami chusteczkę, łamała pióra, darła w kawałki papier już zapisany—stawało się to jej nie do zniesienia przykrem. Gdy raz na taką chwilę nadszedł mąż, Laura zerwała się z krzesła, wołając spazmatycznie:

— Adamie! ja nie wytrzymam!... niema innej rady tylko oddać mamę do szpitala!

Sępiński uderzony tą propozycją, spojrział uważnie na mówiącą.

— Uspokój się, Lorciu! połóż się — nocne pisanie rozdrażnia cię widocznie i męczy,—spocznij.

— To nic nie pomoże! te jęki nie dadzą mi zasnąć... niema innej rady—niema!

— Dobrze moje dziecko, pomówimy o tem ju-

tro... tymczasem, zrób to dla mnie, idź spocząć, już blisko druga...

— Położę się, ale jutro trzeba o tém na seryo pomyśleć.

— Dobrze — pomyślimy. Tymczasem, dobranoc ci.

Przyszła służąca rozebrać panią — Adam markotny i chmurny udał się do swego pokoju.

— Czyż to być może — pytał się z trwogą — czyż podobna, by jej serce było tak wyziębione.... Nie, to rozdrażnienie chorobliwe; — to być nie może.

Nazajutrz, chcąc się przekonać czy się nie myli, nie wyszedł z domu aż Laura ubrana przyszła mu oddać dzień dobry. Było już około jedenastej.

— Jakże ci się spało? — zapytał, całując ją w czoło.

— Zie, męczyłam się jeszcze długo. Adamie — trzeba dziś jeszcze pomyśleć o przewiezieniu matki.

— Jakto?—zawołał żywo dotknięty, więc ty na seryo o tém myślisz?

— A cóż w tém osobliwego?

— Ty byłąbyś zdolną oddać matkę chorą do szpitala? Mając swój dom, mając środki opłacenia dla niej wszelkich wygód.

Laura rozśmiała się.

— Ach! zapomniałam o tém. że ludziom jak ty szpital przedstawia się okropnie. Wszakże to uprzedzenie! Mamie będzie tam lepiej — opieka

lekarska ciągła, wszelkie wygody mogą być i tam zapewnione,—pokój osobny...

— Nie mówmy o tém— rzekł stanowczo Adam, dopóki ja tu jestem, matka twoja z nami zostanie.

Laura patrzyła nań zdziwiona.

— Stanie się jak chcesz — choć to mnie dużo kosztuje. Jednak i dla ciebie koszt byłby znacznie mniejszy...

— Któż ci powiedział, że skąpię na potrzeby matki?

— Ależ nie posądzam cię o to, tylko sam rozum dyktuje...

— A serce nic ci nie mówi! — przerwał żywo Adam.—czy ty nie masz serca kobieto, że tak łatwo choręj matki pozbyłabyś się z domu?

Laura zmieszała się i zamilkła.

— Miałam wzgląd na ciebie...— dodała półgłosem.

— Niepotrzebnie, moje zdanie już poznałaś, by zaś stękanie matki nie budziło cię ze snu, każ sobie posłać tu, w moim gabinecie—z tą nic nie słychać.

Na tém się rozmowa skończyła. Sępiński, idąc do bióra czuł na sercu ciężar, który go gnębił jak zmora.

— Nie, to przeminie — pocieszał się jeszcze,— święte uczucie miłości macierzyńskiej przerobi ją, podniesie. Może i przesadzam trochę... matka nie umiała zyskać sobie jej serca, nie zyskała nawet szacunku—w tém i jej wina... Tak, ale zawsze to matka.

Ważne zajęcie biurowe zwróciło myśl jego w inną stronę, uspokoiło go. Gdy przyszedł na obiad Laura powitała go tak czule a po obiedzie tak serdecznie zajęła się matką, gdy przeszli do jej pokoju, że Adam żałował już stanowczego tonu rannej rozmowy i wytłómaczył wszystko rozdrażnieniem nerwowem.

Od dnia tego upłynęło znów kilka tygodni—zaczęły się upały letnie, i jednocześnie emigracya warszawiaków do wód i na wieś, gdziekolwiek, byleby uniknąć łykania kurzu ulicznego i wyziewów miejskich. Sępińscy wyjechać nie mogli. Adam chciał być w tym czasie jaknajbliżej świata by w razie potrzeby żona jego mogła mieć pomoc wytrawnych lekarzy i należyłą opiekę.

Laura mniej od męża myślała o przyszłości,—niecierpliwilo ją, że siedzieć musi w domu i pozbawiona towarzystwa męskiego, które jej szczególniej stało się miłem. Mąż woził ją wprawdzie na spacer, co dzień prawie odwiedzali Łazienki i Ogród Botaniczny, ale spacerzy te ją nudziły, nic jej się nie podobało, kwaśną była, znudzoną, narzekającą—Adam martwił się, że nic na to poradzić nie może.

— Nie mówiliśmy z sobą jeszcze o jednej rzeczy—odezwał się raz po obiedzie, gdy zostali sami,—jeśli Bóg ci da żywą i zdrową dziecinę,—czy będziesz sama ją karmić?

Laura wzruszyła ramionami.

— Osobliwa kwestya! Czy cię to obchodzi ze względów oszczędności?

— Nie, z nierównie ważniejszych względów. Zarówno fizyologowie jak i moralisci godzą się na to, że jeśli matce względy na zdrowie nie stają na przeszkodzie, sama karmić powinna. Przypomnij sobie piękne zdanie Hoffmanowej: kochamy tego, który nam czyni wiele, ale więcej jeszcze tego, któremu my wiele czynimy. Matka tém silniej tém serdeczniej dziecię swe kocha, im bardziej czuje, że jęj ono winno zdrowie swe, siły i życie.

— Od czasu Hoffmanowej—odrzekła Laura — pojęcia nasze tak się zmieniły, że dziś jęj zdanie żadnej nie posiada powagi.

— Mógłby ktoś sądzić, słysząc cię tak mówiącą, że od czasu Hoffmanowej — matki przestały kochać swe dzieci, przestały pragnąć wzajemnego ich przywiązania a serca inaczej bić zaczęły niż wówczas. Łudzisz się dobrowolnie sama, bo i ty będziesz kochać swe małeństwo i ty nauczysz się marzyć nad kolebką, choć zdaje ci się, że jesteś zimną i rządzisz się tylko rozsądkiem.

— Być może — nie doznawszy jakiego uczucia — trudno nam o niem sądzić. Nic wreszcie nie mam przeciwko temu, bym sama karmiła, jeżeli tylko będę mogła...

W kilka dni po tęg rozmowie Laura czuła się cierpiącą i zasięgnęła rady lekarza, który odwiedzał jęj matkę. Gdy ten zapisał jęj jeden z niewinnych środków uspakajających — zapytała go ze znaczącem spojrzeniem.

— Nie prawdaż panie, że ja nie będę mogła sama karmić?

— Nie radziłbym—odparł zapytany — przypuszczam, że mogłoby to pani szkodzić... Zresztą—karmienie dziecka równa się niewoli!

— W razie potrzeby powołam się na zdanie pańskie w téj mierze. Mąż mój przeciwnego jest zdania.

— O! — zawołał z uśmiechem lekarz—w Warszawie nie zabraknie nam mamek, jak i nie brak nigdy podrzutków!

Przyszła nareszcie tyle upragniona przez Adama chwila, Laura powiła córkę. Wszystko się odbyło szczęśliwie, dziecina była zdrową i silną — szczęście ojca nie miało granic.

Zdziwiła się nawet Laura, znajdując w nim tyle tkliwości uczucia. Przez dni parę nie opuszczał domu, otaczał ją najczulszą opieką, uprzedzał myśli, rozumiał każde skinienie. Jego poważna zawsze i myśląca fizyognomia jaśniała takim szczęściem i miłością, że zdawał się odmłodzonym i piękniejszym. Kiedy mu raz pierwszy dano na ręce dziecko owinięte w pieluszki, patrzył na nie z taką rozkoszą, tak długo napawał oczy widokiem drobnej buzi otulonej koronką białego czepeczka, że Laura, jakby tknięta uczuciem, zazdrości kazała sobie podać dzieciątko, całowała jego drobne rączki i nóżki i wołała na nie pieścziwymi wyrazami.

— Jakże nazwiemy to nasze maleństwo?—pytała męża, patrząc nań okiem, w którym mgłę przebytych cierpień rozpraszał promyczek radości macierzyńskiej.



— Jak zechcesz, dziecko drogie! Jaby'm mu dał imię twoje, niech będzie Laura.

— Nie, nie chcę! nie lubię mego imienia, pretensjonalne jest i nieładne. Damy jęj imię twojęj matki—Adamie! niech się nazywa Terenia,—czy dobrze?

Zamiast odpowiedzi Sępiński przycisnął do ust piękną, delikatną, alabastrowej białości rękę żony i patrzył w jęj oczy z wyrazem wdzięczności i uwielbienia. Ona podjęła rękę, położyła mu ją na czole i odgarniać z niego zaczęła włosy z niemą, kobiecą pieśczołą. Rozmawiali tak z sobą spojrzzeniami i pierwszy może raz w życiu rozumieli się nawzajem. A między nimi, bezwiedny sprawca tego porozumienia, leżała mała Terenia, śniąca może o tém niebie, zkąd jęj duch przybywał, o nieskończonej harmonii i niezmaconym pokoju...

Adam czuł się nad wyraz szczęśliwym—i zdawało mu się, że świat cały szczęściem tém może obdzielić, że wszyscy razem z nim pić muszą z kielicha słodyczy, jaką mu los do ust przysunął, zwykle łagodny i grzeczny dla swego otoczenia—teraz czarował wszystkich serdecznością. Prezesowa, która przyszła odwiedzić młodą matkę, powitał po raz pierwszy z wyrazem szczeręj przyjaźni,—pani Karpińskiej okazywał tkliwość synowską, sługi obdarzał hojnie, przemawiał do nich z łaskawością niezwykłą,—radowano się w domu całym z przybycia małego gościa, który tyle przyniósł z sobą szczęścia rodzicom.

Kiedy raz pierwszy Adam wyszedł z domu — udał się do kościoła. Wśród mroku tu panującego migiała tylko żywszym blaskiem lampka wisząca przed wielkim ołtarzem. Poszedł tam, ukląkł przed kratkami prezbyterium, wsparł głowę na rękach i modlił się. Usta jego były nieporuszone, żaden wyraz z nich nie wychodził— jakby nie było wyrazu na określenie uczuć wdzięczności, nadziei, prósy, przepelniających mu serce.

Przypominała mu się w tej chwili cała młodość spędzona na pracy ciężkiej, samotnie i smutno, porównywał te chwile minione z terażniejszością i ledwo mógł dać wiarę swemu szczęściu. Ale też jako człowiek znający życie, tajemnie drżał przed przyszłością, bał się o to szczęście swoje.

Gdy rzadki a drogi gość w progi domu naszego wstąpi—radziłyśmy zatrzymać go u nas jaknajdłużej a radując mu się, jednocześnie lękamy się co chwila, że wstanie i nas pożegna...

A czyż jest rzadszy pożądan szy i trudniejszy do zatrzymania gość—niż szczęście?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



INSTYTUT  
BADAN LITERACKICH PAN

Biblioteka

<http://rcin.org.pl>

ul. Nowy Świat 10/12

00-330 Warszawa



Yaminy  
Mitorareka

---

uestyl  
1910 P.



F  
1026

1